

ZAWIERUCHA

Najnowsza
powieść autorki
bestsellerowej serii
Warszawianka.

SPALONA
ZIEMIA

IDA
ŻMIEJEWSKA

IDA
ŻMIEJEWSKA

ZAWIERUCHA

SPALONA
ZIEMIA



Redakcja
Paweł Wielopolski

Korekta
Agnieszka Czapczyk

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcia wykorzystane na okładce
©KathySG/Shutterstock

Zdjęcie autorki na okładce
Karolina Cisowska

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022

© Copyright by Ida Żmiejewska, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67343-56-5



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Motto

MAJ–WRZESIEŃ 1915

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

*Nigdy nie wiadomo, kiedy się kogoś najbliższego
widzi po raz ostatni.*

Magdalena Samozwaniec

MAJ-WRZESIEŃ 1915

ROZDZIAŁ I

I.

Od śmierci Maksymiliana Kellera minął dokładnie rok i choć wokoło zmieniło się prawie wszystko, Pola doskonale pamiętała szczegóły tamtego tragicznego dnia: przerażenie sióstr, rozpacz ciotki i bezsilność babci oraz nerwowe starania wszystkich domowniczek, aby przynajmniej ją – najmłodszą i najniewinniejszą – ochronić przed okrutną prawdą. Na pogrzebie pojawili się nieliczni żałobnicy, a po zakończeniu konsolacji mecenas Finkiel z zakłopotaniem obwieścił, że straciły nie tylko syna, ojca i brata, który dbał o nie i zapewniał im opiekę, ale także dom, pieniądze i całe dotychczasowe życie. Najmłodsza Kellerówna pomyślała wtedy, że same nie zdołają sobie poradzić. Że odtrącone przez znajomych zginą z rozpacz albo umrą z głodu.

Na szczęście nie ziszcila się żadna z jej katastroficznych wizji, a skandal szybko ucichł, bo w obliczu wojennych wydarzeń zdawał się wręcz trywialny. Na froncie zachodnim pod Ypres Niemcy wypuścili gaz chlorowy na alianckie okopy, we wschodniej Galicji oblegali Przemyśl, a w okolicach Gorlic bili się z Rosjanami, próbując przerwać front. Zacięte boje trwały też niedaleko Warszawy, nad Bzurą i Rawką, oraz w okolicach Przasnysza – nocami słychać było złowrogie pomruki armat.

W parny majowy dzień Pola stała przy grobie, w którym oprócz tatki i mamy spoczywali pradziadkowie, dziadek August i dwóch zmarłych w dzieciństwie stryjów.

– Nie tak powinno być – powiedziała półgłosem babcia Adela, wpatrując się w wypisane na marmurowej płycie imiona męża oraz trójki zgasłych

przedwcześnie dzieci. – Oni powinni pochować mnie.

Ciotka Klara uniosła do oczu chusteczkę, a zapłakana Nina przysunęła się do Stanisława, który przyszedł na cmentarz razem z nią. Julia z samego rana udała się na dworzec, aby pożegnać narzeczonego powracającego do rodzinnego majątku; skoro nie dotarła na cmentarz o czasie, pociąg pana Andrzeja zapewne się spóźnił. Zofia zaś wybrała się w daleką podróż na rozkaz organizacji; Pola, już od lutego należąca do POW, podejrzewała, jakie zadanie przypadło siostrze w udziale, ale w domu nie mogła wspomnieć o nim nawet słowem. Nieświadoma niczego ciotka na pewno nie wybaczy Zosi zaniedbania kolejnej rodzinnej uroczystości.

Zebrani pogrążyli się w modlitwie, a ciszę zakłócało tylko bicie dzwonów w pobliskim kościele Świętego Karola Boromeusza. Klara, która pierwsza odmówiła pacierze, zrobiła znak krzyża i coś nagle ją tknęło, gdyż spojrzała w bok i jęknęła. Reszta rodziny natychmiast popatrzyła w tym samym kierunku.

Alejką od strony nowej bramy, którą ku czci swej żony Honoraty ufundował pogrążony w żałobie pan Landsberg, biegła Julia, jedną ręką przytrzymując kapelusz, w drugiej dzierżąc wielki bukiet bżów i zupełnie nie zważając na to, że pannie szykującej się do zamęścia nie wypada zachowywać się w tak skandaliczny sposób.

– Prze... przepraszam – wyjąkała zdyszana, kiedy wreszcie zatrzymała się obok nich.

– Nie byłeś na mszy za duszę ojca. – Ciotka nie zdołała się powstrzymać i przywołała do porządku niesforną bratanicę. – To niewybaczalne.

– Przepraszam, ciociu. Pociąg się opóźnił... a chciałam poczekać, aż odjedzie. Zobaczę pana Andrzeja dopiero przed ślubem.

– Dobrze, że przynajmniej wszystkie szczegóły już ustalone.

– Co do jednego. – Julia uśmiechnęła się promiennie.

Od kiedy Andrzej Turzyniecki znowu pojawił się w jej życiu, była nieustannie w doskonałym humorze i bujała w obłokach. Pola – gdyby

oczywiście była złośliwa – dodałaby jeszcze, że siostra nabrała wyjątkowej odporności na rozumowe argumenty.

– Gdyby Turzyniecki odwlekał datę ślubu, wyzwałbym go na pojedynek – oświadczył Stanisław z udawaną powagą.

Nina spojrzała niepewnie na męża, jakby chciała mu przypomnieć, że to nie pora na żarty, ale wyraźnie zabrakło jej odwagi. Niewykluczone, że nie żartował, bo choć przez ostatnie miesiące z trudem dochodził do zdrowia, naprawdę czuł się odpowiedzialny za rodzinę, w której był jedynym mężczyzną. Pola zastanawiała się nieraz, na ile szwagier jest świadomy tego, co naprawdę wyprawiają siostry jego żony. Ufała jednak, że gdyby nawet odkrył, że dwie z nich należą do wrogiej Rosji organizacji, nie zrobiłby nic, aby im zaszkodzić. Zofia, która z nieznanego powodu nie darzyła sympatią męża Niny, miała na ten temat krańcowo różne zdanie.

Za to ciotka Klara przekonała się do niego całkowicie – dużą rolę odegrał w tym sposób, w jaki Staś walczył z wyniesioną ze szpitala przypadłością – ale nadal nie przeboleła nagłego ślubu. Teraz więc pilnowała, aby małżeństwo drugiej bratanicy zostało zawarte z pełnym ceremoniałem i zachowaniem wszelkich form i zwyczajów.

Julia, nie zwracając uwagi ani na Stasia, ani na ciotkę, starannie ułożyła bzy na granitowej płycie, a następnie zaczęła gorliwie odmawiać modlitwę.

Wtem nagły poryw wiatru przyniósł ze sobą ostre ziarenka piasku, świetlisty puch dmuchawców i płatki przekwitłych kwiatów. Chmury przysłoniły słońce i męczący żar nieco zelżał. Zbierało się na burzę.

– Wracajmy do domu – powiedziała w zamyśleniu Adela. – Jak mocno nie bolałaby nas śmierć Maksymiliana, życie musi toczyć się dalej.

2.

„Nareszcie!” Zofia odetchnęła z ulgą, potem zaś, w jednej dłoni ściskając uchwyt nesesera i rączkę walizki, a w drugiej doniczkę z rozłożystą

paprotką, zatrzymała się w drzwiach wagonu drugiej klasy, gdyż zamierzała zaczekać, aż wiatr rozwieje kłęby pary buchającej z kół lokomotywy. Mimo trwającej wojny pociągi na wschód kursowały w miarę regularnie, więc Dworzec Terespolski tętnił życiem. Korzystali z niego głównie Rosjanie coraz liczniej opuszczający Kraj Nadwiślański, warszawiacy wyprawiający się na wieś po zaopatrzenie, rosyjscy oficerowie wciąż zjeżdżający do miasta na urlopy oraz ojcowie ziemiańskich rodzin zmuszeni do pilnowania coraz bardziej niepewnych interesów.

Mleczna mgła wreszcie opadła, więc panna zeszła ostrożnie po schodkach na pełen ludzi peron. Oślepiąca ostrym promieniem słońca przymknęła powieki, ale zamiast się zatrzymać, nieopatrznie zrobiła krok do przodu, a wtedy ktoś wpadł na nią tak gwałtownie, że wypuściła z ręki bagaże; walizka przygniotła jej stopę, a neseser uderzył o ziemię z metalicznym brzdękiem. Zmartwiała i przycisnęła do piersi paprotkę – jeszcze tylko brakowało, aby zwrócił na nią uwagę jakiś szpicel.

– Stokrotnie proszę panią o wybaczenie.

Mężczyzna, który ją potrącił, wciąż stał obok, a jego niski głos wydał się Kellerównie niepokojąco znajomy. Uniosła głowę i jęknęła w myślach – Witold Tarłowski we własnej osobie. A to pech!

– Panna Zofia?! – Dawny konkurent wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, aż wreszcie oprzytomniał na tyle, że uchylił czapki: – Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedziała z westchnieniem.

Zapewne przyjechali tym samym pociągiem. Tyle dobrego, że nie wpadli na siebie wcześniej, bo musiałyby okłamywać go przez wiele godzin.

Spoglądała na niego w milczeniu. Nina i Pola wspomniały kiedyś, że bardzo się zmienił. Rzeczywiście, wyglądał lepiej niż w czasach, kiedy się do niej zalecał. Z nieśmiałego i – co tu kryć – niepozornego młodzieńca przeobraził się w przyjemnego dla oka mężczyznę. Zmężniał, nabrał ciała, a rysy twarzy, niegdyś po chłopięcemu łagodne, stały się bardziej wyraziste. Tylko szare oczy o skupionym i trochę smutnym spojrzeniu pozostały takie same jak niegdyś.

Nosił rosyjski mundur z dystynkcjami porucznika, a za nim podążał obciążony walizkami tragarz, więc zapewne dostał urlop... albo jakieś zadanie do wykonania. Zofia doskonale pamiętała opowieść Ireny o jego podejrzanych konszachtach z Ochroną. Organizacja nie wyjaśniła tej sprawy, gdyż śledczego, z którym komunikował się Tarłowski, nagle odesłano z Warszawy, on sam wrócił na front, a Irena... Irena nie zdołała zdobyć przekonujących dowodów jego winy, a co gorsza, kilka tygodni temu przez niepotrzebną brawurę została aresztowana i wywieziona gdzieś w głąb Rosji.

– Wybrała się pani po prowiant? – Witold przypatrywał się jej bagażom tak spokojnie, jakby nic nie wzbudziło jego podejrzeń.

– W Warszawie mało co można dostać, a rodzinę mamy dużą – odparła pospiesznie. – A co słyhać u pana? Przenieśli pana? Siostry mówiły, że jest pan u saperów.

Skoro los sprawił, że się spotkali, Zofia chętnie poznałaby szczegóły dotyczące jego służby. Taki zdolny inżynier na pewno robił coś ważnego. On jednak nie podjął tematu.

– Ciotka Eugenia umarła – powiedział krótko.

– Pani Richterowa?! Co pan opowiada? – Odruchowo dotknęła jego ręki, ale zaraz się cofnęła. – Najszczęśliwsze wyrazy współczucia.

– Dziękuję... I ja też chciałbym złożyć pani spóźnione kondolencje z powodu śmierci ojca. O ile się nie mylę, dziś mija rok od jego śmierci.

– Rzeczywiście – potwierdziła półgłosem.

Przed wyjazdem dała słowo ciotce Klarze, że wróci na czas i wraz ze wszystkimi weźmie udział we mszy za duszę tatki. Niestety, nie wywiązała się z obietnicy, gdyż z powodów, których nikt nie raczył zdradzić podróżnym, pociąg wyjechał z Kijowa kilkanaście godzin po czasie. Nic nie zależało od niej, ale i tak miała nieprzyjemne uczucie, że znowu zawiodła. Ojca. Babcie. Ninie. I ciotkę, która zapewne przez kilka miesięcy będzie ubolewać nad jej lekceważącym stosunkiem do własnej rodziny.

– Kiedy będzie pogrzeb? – zapytała, nie chcąc ciągnąć kłopotliwego tematu.

– Pojutrze – odparł Tarłowski. – Msza żałobna u Karola Boromeusza zacznie się w południe.

Nie spuszczała z niego wzroku. Wydawał się mocno przygnębiony. Nic dziwnego, pani Eugenia od wielu lat zastępowała mu matkę.

– Przekażę wiadomość babci. Na pewno przyjdziemy.

– Dziękuję. Odwiozę panią do domu – zaproponował nieoczekiwanie.

– Ależ nie trzeba – zaprotestowała, gdyż planowała wyprawę w zupełnie inne miejsce. – Pan na pewno się spieszy, a ja dam sobie radę. – Chwyła neseser i zaraz ugięła się pod jego ciężarem. Postawiła więc bagaż z powrotem, robiąc wszystko, aby nie upuścić paprotki: – Cudem dostałam konserwy – wyjaśniła pośpiesznie, nie patrząc rozmówcy w oczy.

– Chyba przeceniła pani swoje siły.

– Wezwę tragarza i każę mu zanieść wszystko do dorożki.

– Panno Zofio, przez wzgląd na dawną znajomość nie zostawię pani samej z tymi ciężarami.

Obowiązkowość Witolda zawsze ją przerażała; robił wyłącznie to, co należy, i zawsze dotrzymywał danego słowa. Czy taki człowiek naprawdę mógłby współpracować z Ochroną? Chyba tylko wtedy, gdyby ktoś przedstawił mu przekonujące argumenty. Ale czy takowe istniały? Boże kochany, znała tego człowieka, od kiedy była dwunastoletnią dziewczynką, a nic nie wiedziała o jego poglądach i o tym, co dla niego ważne. Nagle przypomniała sobie, ile trudu kosztowało ją napisanie na prośbę Ireny jego charakterystyki. Oczywiście bez trudu wymieniła najbardziej rzucające się w oczy zalety, a także cechy, które działały jej na nerwy, ale niczego więcej nie była już pewna w stu procentach.

A może wiedział o jej przynależności do POW i szykował prowokację? „Czyżby? – Zerknęła na niego spod rzęs. – Niemożliwe”.

Gdyby chciał zdobyć informacje, zwyczajnie zacząłby ją śledzić, a nie upierał się, aby bezpiecznie odstawić do domu.

– Zapewne wuj czeka na pana z niecierpliwością – rzuciła desperacko. – Jest teraz sam.

Te słowa chyba trafiły mu do przekonania, gdyż dłużej nie nalegał, a pomoc ograniczył do wezwania tragarza. Wysoki żylasty mężczyzna wyglądał na nieco zdziwionego faktem, że damski neseser może aż tyle ważyć. Walizka z ubraniami i osobistymi drobiazgami była dla odmiany lekka jak piórko. Kwiatem zajęła się sama. Przeszkadzał jej, co prawda, w podróży, ale pozwalał też zwodzić Ochronę: żaden szanujący się szpicel nie potraktowałby poważnie damulki targającej przez kawał Cesarstwa ledwo zipiącą paprotkę.

Zofia potrzebowała zaś dobrego kamuflażu, bo na dzień nesesera, pod owiniętymi w papier wędlinami i wielkim niczym młyńskie koło bochenkiem chleba, spoczywało dziesięć nowych browningów wraz z amunicją. Kijowski oddział POW zdobył je i przekazał na potrzeby zajmującego się dywersją Oddziału Lotnego w Warszawie. I to właśnie z ich powodu Kellerówna udała się w podróż.

Witold i Zofia minęli stertę kufrów, waliz i sakwojaży ustawianą przez numerowych obok wagonu pierwszej klasy, a potem skręcili w stronę dworca. Zanim jednak dotarli do budynku, w okolicach wejścia zaczęło się jakieś zamieszanie.

A niech to diabli! Żandarmi. Chyba ze dwudziestu. Zatrzymywali ludzi, którzy wydali się im podejrzani, i gorliwie przetrząsali ich bagaże w poszukiwaniu zakazanych rzeczy. Podobne sytuacje zdarzały się coraz częściej – im gorzej wiodło się Rosjanom na froncie, tym mocniej ściskali za gardło Kraj Nadwiślański. Wszędzie widzieli wrogów, szpiegów i sabotażystów. Areszty pękały w szwach, a na wschód transportowano nowych zesłańców, najczęściej młodych ludzi, którzy mieli to nieszczęście, że ściągnęli na siebie uwagę Ochrony.

Polacy przypomnieli sobie, za co znienawidzili zaborców i – ku satysfakcji Zofii – zaczęli wyzbywać się prorosyjskich sympatii, tak powszechnych na samym początku wojny. Niekiedy rewidowano podróżnych w pociągach: tym razem Kellerówna zdołała uniknąć kłopotów

tylko dlatego, że jechała w przedziale wraz z trzema siostrami Rosyjskiego Czerwonego Krzyża, z których jedna była ponoć córką jakiegoś generała.

W tej chwili mogło zabraknąć jej szczęścia. Nie miała jak zawrócić, zresztą nie zdołałaby nigdzie się ukryć. Serce biło jak szalone, a na języku czuła metaliczny posmak; nawet nie zauważyła, że przygryzła wargę aż do krwi.

„Myśl – powtarzała sobie bez przerwy. – Myśl!”

Witold zauważył, co się dzieje, ale milczał uparcie. Zofia nie mogła nic wyczytać z jego twarzy. Przypomniała sobie, że właśnie to denerwowało ją najbardziej – nigdy nie potrafiła odgadnąć, co Tarłowski czuje i co naprawdę myśli. Wiele kobiet, na przykład jego obecna narzeczona, uważało taką tajemniczość za fascynującą. Ona jednak lubiła wiedzieć, czego może spodziewać się po mężczyźnie.

Kolejka zdenerwowanych podróżnych posuwała się do przodu w różnym tempie, a Zofia wciąż nie wiedziała, jakim sposobem przechytrzyć Rosjan. Gdyby tylko miała pewność, że może ufać Witoldowi...

Dotarli do bocznych drzwi obstawionych tylko przez dwóch żandarmów – jeden akurat rewidował jakiegoś bliskiego apopleksji jegomościa. Zofia, nie namyślając się dłużej, wzięła głęboki oddech, a następnie spojrzała w twarz drugiemu strażnikowi i jak gdyby nigdy nic wręczyła mu paprotkę.

– Proszę potrzymać – powiedziała słabym głosem.

Żandarm odruchowo chwycił kwiat, ona zaś błyskawicznie sprawdziła, czy idący za nią Witold gdzieś nie przepadł, a następnie przymknęła powieki i bezwładnie poleciała w tył.

Zdążyła jeszcze pomodlić się, aby Tarłowski zdołał ją chwycić. Na szczęście wystarczyło mu przytomności umysłu, więc Zofia – ku swej niewyobrażalnej uldze – nie wylądowała na twardym podłożu, tylko w jego ramionach. Objął ją mocno, przyciągnął do siebie – przyjemnie pachniał wodą kolońską – a potem spokojnym tonem zwrócił się do żandarma:

– Przepraszam. Dziś tak duszno, że żona albo mdleje, albo wymiotuje.

Kłamał?! Witold Tarłowski kłamał jak z nut?

Zdumiona Kellerówna uniosła jedną powiekę na tyle, że udało się jej dostrzec, jak żandarm wybałuszył oczy i otworzył usta – zapewne nikt nie opowiadał mu publicznie o tak nieeleganckich dolegliwościach, a i oficerski mundur „męża” musiał na nim zrobić wrażenie. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Witold chwycił ją na ręce i nie czekając na pozwolenie, wyniósł na zewnątrz. Zdążył jeszcze dać znak tragarzom, aby bez zwłoki ruszyli za nim. Ten, który niósł jej neseser i walizkę – ewidentnie sprytny człowiek, który niejedno widział na tym dworcu – nie dość, że spokojnie wyminął zaskoczonego Rosjanina, to jeszcze w ostatniej chwili zdążył odebrać mu paprotkę. Drugi bagażowy także przeszedł bez problemu.

Tarłowski, wciąż nie wypuszczając jej z ramion, minął plac rozpościerający się przed budynkiem dworca. Szedł szybkim krokiem, więc tak bujało, że Zofia miała ochotę objąć go za szyję. Zabrakło jej jednak odwagi – po raz pierwszy w życiu dawny znajomy naprawdę ją zaskoczył i wciąż nie mogła przejść nad tym do porządku.

„Kłamał... Wie, że mam jakiś trefny towar – uświadomiła sobie nagle. – Ale skąd? Jakim sposobem?”

Cała procesja zatrzymała się dopiero na postoju dorożek. Witold ostrożnie postawił ją na ziemi, nakazał tragarzom załadować bagaże do stojącej najbliżej dryndy i powiedział:

– Przepraszam panią za te mało eleganckie słowa. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Nie szkodzi – wymamrotała.

– A jednak odwiozę panią do domu – oświadczył zdecydowanym tonem. Ciekawe, czemu przed laty nie był taki stanowczy? – Chcę mieć pewność, że dotarła pani bezpiecznie.

Martwił się o nią? Koniec świata...

– Dobrze. – Uznała, że lepiej z nim nie dyskutować. Później poszuka sposobu, aby dostarczyć broń do wyznaczonego lokalu.

Oby Tarłowski naprawdę nie miał nic wspólnego z Ochraną, bo inaczej na Syberii skończy nie tylko ona, ale i cała rodzina wraz z Balbiną.

Nie, nie doniesie. Mógł mieć żal do niej, ale nie skrzywdziłby jej Bogu ducha winnych sióstr. Tyle wiedziała o nim na pewno.

Zapłacił bagażowym, którzy zapakowali do pojazdu także i jego walizki – Zofia zanotowała, że koniecznie musi oddać mu pieniądze – i pomógł jej wsiąść do dorożki. Sam stawiał już nogę na schodku, kiedy usłyszał wołanie.

– Panie Witoldzie?! Tu pan jest!

Sabina. Kellerówna nie miała żadnych wątpliwości, że to ona. Zapewne dowiedziała się, kiedy przyjeżdża pociąg z Kijowa, i postanowiła wyjść narzeczonemu na spotkanie. Może i dobrze, że się zjawiała, uwolni ją od kłopotliwego towarzystwa.

– Dzień dobry pani. – Tarłowski nie wyglądał na szczególnie zadowolonego ze spotkania, ale bez zwłoki podszedł do uśmiechniętej od ucha do ucha Dresslerówny i pocałował ją w rękę.

Zofia uważnie obserwowała tę scenę. A więc nie myliła się, kiedy tłumaczyła Nince, że Witold nie szuka miłości, tylko dobrej partii. Dziwne, taki uczciwy człowiek... Nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, że podejrzenia o współpracę z zaborcą są zwyczajnie śmieszne.

– Zosia? – Zaaferowana koleżanka dostrzegła ją dopiero w tej chwili. – Co tu robisz?!

– Wracam z wyprawy po zapasy – powiedziała, uśmiechając się znacząco. – Zdobyłam trochę wędlin i konserw.

– Ach tak – rzuciła Sabina, która musiała odgadnąć cel jej wyprawy. – Jestem rada, że podróż się opłaciła. Wpadliście na siebie w pociągu? – Spojrzała podejrzliwie na Witolda, a potem także na Zofię, wyraźnie niezadowolona, że narzeczony odnowił znajomość z osobą, do której niegdyś się zalecał.

– Nie, dopiero na dworcu. – Zofia modliła się w duchu, aby Sabina przekonała Tarłowskiego, że powinni sobie pójść i pozwolić jej pozalaćwiać

swoje sprawy.

– Nie mogłem zostawić panny Zofii samej z ciężkimi bagażami.

– Skoro to taki problem – mruknęła koleżanka – to koniecznie musimy ją odwieźć.

– Cieszę się, że jesteśmy zgodni w tej kwestii. – Witold chyba nie wyczuł subtelnej ironii i wziął za dobrą monetę słowa narzeczonej.

– Proszę nie robić sobie problemu. Sama pojedę.

– Lepiej nie ryzykować, że ci walizka spadnie na nogę. – Sabina łypnęła na nią spod zmrużonych powiek.

Zofia nie rozumiała jej zachowania – przecież wiedziała, że wracająca z podróży kurierka powinna bezzwłocznie zameldować się przełożonym i oddać to, co przywiozła, a nie targać podejrzany bagaż do własnego domu.

– Odwieziemy panią. – Tarłowski zakończył temat, a Kellerówna zakłęła w myślach.

We troje usadowili się na szerokiej kanapie – Sabina oczywiście wcisnęła się między nią a narzeczonego – woźnica zaciął konia i drynda nareszcie ruszyła.

3.

– Może być pan z siebie dumny – powiedział z uśmiechem doktor Warliński. – To była tytaniczna robota.

– Nie dałbym rady, gdyby nie moja żona i pan – odparł Stanisław, spoglądając na Ninkę.

Uśmiechnęła się do niego, myśląc jednocześnie z goryczą, że choć niebezpieczeństwo minęło, ona nadal nie jest szczerą. Tyle że teraz nie maskuje uśmiechem przerażenia towarzyszącego jej od chwili, kiedy

pojęła, co dolega mężowi, ale obawę przed tym, że przestała być mu potrzebna.

Po tym jak publicznie spoliczkowała doktora Zawilskiego, z początkiem stycznia zwolniono ją ze szpitala w Korpusie Kadetów. Od tamtej pory zajmowała się tylko mężem, spędzała z nim prawie każdą chwilę, obserwowała go i dlatego zdawała sobie sprawę, że ich małżeństwa nie da się uratować. Nie umiała jednak oswoić się z tą myślą.

Szybko przywykła do obecności Stanisława. Do brzmienia jego głosu, do śmiechu, a nawet do narzekania; przez pierwsze tygodnie kuracji był okropnie drażliwy i przeszkadzał mu nawet cukier w herbacie. W bezsenne noce wsłuchiwała się w jego równy oddech. Lubiła ciepło jego ciała i tęskniła za nim, bo od wielu dni, choć był dla niej miły i uprzejmy, w ogóle jej nie dotykał.

Kochała go z całego serca miłością, której on najwyraźniej nie potrzebował.

– Od początku wierzyłam, że wyzdrowiejesz – powiedziała cicho.

Kłamała. Przez pierwsze dni nie wiedziała, co robić. Będąc już na skraju wytrzymałości, odważyła się wyznać prawdę rodzinie, a wtedy Julia przyprowadziła do nich doktora Warlińskiego, który jakimś sposobem przekonał Stanisława, że musi odstawić morfinę raz na zawsze.

Szczęśliwie okazało się, że jej mąż ma wystarczająco mocny charakter, aby konsekwentnie przestrzegać zaleceń, dlatego – choć był to bolesny proces – zdołał wytrzymać pierwsze najgorsze dni, kiedy organizm oczyszczał się z narkotyku.

O wiele dłużej trwała walka, aby uwierzył, że spokój i błogość, które daje morfina, to ułuda wiodąca na zatracenie. Ninkę wiele razy dopadało zwątpienie, ale doktor Warliński zachowywał się tak, jakby miał całkowitą pewność, że jego metody leczenia przyniosą odpowiedni skutek. I przyniosły, choć ona podejrzewała, że gdyby na miejscu Stanisława był ktoś mniej pewnie stąpający po ziemi, efekty mogłyby być zgoła inne.

Kiedy wydawało się, że najgorsze za nimi, z końcem lutego Stanisław zachorował na zapalenie płuc. Choroba co prawda nie miała szczególnie

ciężkiego przebiegu, ale dla człowieka po skomplikowanej operacji serca mogła stanowić zagrożenie. Dlatego jej mąż spędził prawie cztery tygodnie w Szpitalu Ujazdowskim, a jego przypadkiem interesował się sam profesor Weiss, który okazał się nie tylko znajomym babci, ale także jednym z mentorów Warlińskiego.

– Panu zawdzięczamy najwięcej – zwróciła się do doktora. Swoją drogą, Ninę zawsze ciekawiło, skąd Warliński wiedział tyle o morfinizmie, nic nie wskazywało bowiem, aby miał w tym względzie osobiste doświadczenie, ale wstydziła się zapytać wprost. – Nie wiem, jak moglibyśmy się odwdziaczyć.

– Proszę mi poradzić, co mam zrobić – zaczął ostrożnie doktor. – Pani Adela zaprosiła mnie na kolację, ale nie wiem, czy powinienem pójść.

– A czemuż to? – zapytał Stanisław.

– To spotkanie rodzinne. Panna Julia może nie życzyć sobie...

– Panna Julia nie jest gospodynią tego domu – przerwała mu stanowczo Nina. – Jeśli babcia pana zaprosiła, nie ma wyjścia, trzeba iść. – Uśmiechnęła się mimo woli.

Naprawdę nie rozumiała decyzji siostry. Andrzej Turzyniecki, za którego Julia zamierzała wyjść wkrótce za mąż, ani się umywał do pana Józefa. Siostra jednak nie potrafiła, a może nie chciała tego dostrzec; w ogóle zachowywała się niczym zaczadzona.

– Takie zaproszenie jest ważniejsze niż rozkaz generała. – Jej mąż także się zaśmiał. – Coś mi się widzi, że babcia postanowiła pana adoptować. Powiedziała wczoraj, że jedynie panu pozwoliłaby się pokroić po śmierci.

– Nie wiem, czym zasłużyłem na takie względy – rzekł wyraźnie rozbawiony tą wizją doktor. – Ale w takiej sytuacji nie śmiem odmówić.

– Rano Julia odprowadziła narzeczonego na dworzec. Pojechał do rodziców – rzuciła Nina jakby od niechcienia. Z pozorów te słowa nie były związane z tematem rozmowy, ale zarówno ona, jak i doktor wiedzieli, czego dotyczą. Skoro Andrzej zniknął z pola widzenia, Warliński mógł

spróbować porozmawiać z Julią, która od jakiegoś czasu unikała go wręcz ostentacyjnie.

– Dochodzi szósta. – Doktor spojrział na zegar. – W takim razie pora iść. Pewnie wszyscy już czekają.

– Rzeczywiście. – Nina zerwała się z miejsca. – Muszę tylko...

– Proszę, niech pan pójdzie pierwszy. – Stanisław wpadł jej w słowo. – Chciałbym chwilę porozmawiać z żoną.

Czy to już?

Zrobiłaby wiele, aby doktor nie zostawiał ich samych, ale Warliński skinął tylko głową i spokojnie, jakby doskonale wiedział, co nastąpi za chwilę, ruszył w stronę drzwi.

– Posłuchaj, Ninko... – zaczął z wahaniem Stanisław, unikając jej wzroku.

Wstrzymała oddech.

– Posłuchaj – powtórzył. – Przynieśli mi wezwanie do sztabu. Mam się tam stawić za trzy dni.

– Po co? – zapytała prawie szeptem.

– Pewnie zamierzają odesłać mnie na front. Ponoć wszędzie brakuje oficerów.

Mocno zacisnęła zęby; gdyby powiedziała choć słowo, na pewno nie powstrzymałaby łez.

4.

Pola otworzyła drzwi i zdębiała. Tuż za progiem stała skonfundowana Zofia tuląca do piersi doniczkę z przywiedłą paprotką – był to już trzeci kwiat, jaki przytargała do domu w ciągu ostatniego miesiąca. Towarzyszył jej Witold Tarłowski we własnej osobie. I Sabina.

Kilka dni temu zmarła pani Richterowa – warszawskie gazety pełne były jej nekrologów – więc najmłodsza Kellerówna po cichu liczyła, że spotka go na pogrzebie. A tymczasem czekała ją niespodzianka, której nie zepsuł nawet fakt, że Witold przyproceedził ze sobą narzeczoną.

– Dzień dobry, panno Apolonio – rzekł uprzejmie, zdejmując kapelusz. W drugiej ręce dzierzył skórzany neseser ciotki Klary oraz podróżną walizeczkę Julii; obie te rzeczy najstarsza siostra pożyczyła sobie bez pytania na podróż.

– Dzień dobry – odparła z uśmiechem i odsunęła się od drzwi. – Proszę wejść.

– Dokąd mam zanieść bagaż? – zapytał Tarłowski, kiedy tylko znalazł się za progiem.

– Prosto do kuchni, jeśli będzie pan tak miły – powiedziała Zofia słabym głosem.

Pola mogła tylko się domyślać, w jakim celu siostra pojechała do Kijowa, ale nie wątpiła, że nie powinna pojawiać się w domu z tym czymś, co stamtąd przywiozła.

– Czy dobrze słyszę, że odwiedził nas pan Tarłowski? – Z salonu, gdzie za chwilę miała rozpocząć się uroczysta kolacja, wyjrzała babcia. – Zosiu, moje dziecko, jestem szczęśliwa, że wróciłaś cała i zdrowa. – Cmoknęła w czoło zdenerwowaną wnuczkę, następnie, nie kryjąc zdziwienia, przywitała się z Sabiną i wreszcie wyciągnęła rękę do dawnego znajomego. – Witam pana. I proszę przyjąć najszczerze kondolencje.

– Dziękuję. – Witold z rewerencją ucałował jej dłoń.

Wyglądał na przygnębionego. Śmierć ciotki musiała mocno go ugodzić i zapewne długo będzie nosił po niej żałobę. Tak więc Sabina jeszcze poczeka na ślub. Pola wiedziała, że nie powinna czuć z tego powodu satysfakcji, ale niechęć do narzeczonej ukochanego była silniejsza niż przyzwoitość.

– Żałuję, że nie dotarły do mnie wieści o chorobie pani Eugenii – kontynuowała tymczasem Adela. – Na pewno złożyłabym jej wizytę. To była

taka dobra i urocza osoba.

– Ciocia mówiła o pani dokładnie to samo – odparł Tarłowski i na pewno nie była to czcza kurtuazja. – Często powtarzała, że odwiedziłaby panią, ale nie miała pewności, czy zostanie przyjęta.

– Jak to wszystko niemożebnie się pokomplikowało – powiedziała z westchnieniem babcia, a potem szybko dodała: – Niech pan postawi wreszcie ten bagaż, widać, że ciężki.

– Proszę wskazać mi drogę. – Witold znowu spojrzął na Zofię, zaś Sabina natychmiast przysunęła się bliżej niego, nie zważając na to, że tarasuje drogę.

„Zazdrośnica – pomyślała Pola. – Gdyby mogła, wysłałaby Zosię z powrotem do Krakowa albo i jeszcze dalej”. Sytuacja była nawet zabawna; wszyscy przecież wiedzieli, że para niedoszłych narzeczonych nigdy nie darzyła się uczuciem.

Najstarsza siostra bez słowa ruszyła w stronę królestwa Balbiny, a Witold zręcznie wyminął narzeczoną i podążył za nią. Dresslerówna chciała im towarzyszyć, ale zanim zrobiła krok, babcia wzięła ją za rękę i powiedziała:

– Panno Sabino, zapraszam do salonu. Właśnie siadamy do kolacji.

Zdezorientowana dziewczyna nie zaprotestowała, za to Pola, nie chcąc stracić ani sekundy z wizyty Witolda, pobiegła do kuchni. Zanim zdążyła przekroczyć próg, usłyszała głos siostry:

– Balbino, zrób miejsce. Przywiozłam zapasy.

Tarłowski ustawił neseser na podłodze, tuż przy stole. Służąca, która akurat kończyła obieranie jajek na twardo, spojrzęła na bagaż ze szczerym zdumieniem: cóż, w tym domu każdy wiedział, że kiedy Zofia gdzieś wyjeżdża, nie jest to na pewno wyprawa po jedzenie. Nie odezwała się jednak ani słowem, gdyż w drzwiach stanęła babcia, która zamierzała trzymać rękę na pulsie niespodziewanych wydarzeń.

– Dziękuję panu za pomoc – zwróciła się do Witolda. – Moja wnuczka bierze na siebie zbyt wiele. – Zerknęła na Zosię z ironicznym uśmiechem.

– I oczywiście nie wypuszczę pana bez kolacji.

– Nie chciałbym przeszkadzać w tak ważnym dniu – mitygował się Tarłowski. – Może innym razem.

– Nie ma mowy, zostaje pan z nami. Zresztą pańska narzeczona już siedzi za stołem. Proszę do niej dołączyć. My wydamy Balbinie ostatnie dyspozycje i też zaraz przyjdziemy.

Witold zawsze czuł respekt przed starszą panią Kellerową, więc skapitulował i bez słowa wyszedł z kuchni. Adela zaś, kiedy tylko zyskała pewność, że oddalił się na wystarczającą odległość, podeszła do Zofii i zapytała:

– Możesz wytłumaczyć, co to wszystko znaczy?

Wnuczka westchnęła ciężko, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Za to Balbina zamierzająca jak najszybciej zakończyć przygotowania do kolacji bez pytania otworzyła neseser i jęknęła na widok jego zawartości.

5.

– Co on tu robi? – Julia chwyciła Ninę za ramię i bez ceregieli wciągnęła ją do swojego pokoju. – Jak śmiał przyjść na rodzinną kolację? Kto go wpuścił za próg?

– Uważaj, boli. – Starsza siostra szybko wyswobodziła z uścisku. – Sama widziałaś, że przyszedł z Zosią.

– Żarty sobie stroisz?! Nie mówię o Tarłowskim, tylko o Warlińskim.

– Ach, tak – mruknęła Nina i spuściła wzrok. – Babcia go zaprosiła. Chyba uważa, że należy do rodziny... Po tym, co zrobił dla Stanisława – dodała szybko.

– To oczywiście duża zasługa. Ale bez przesady.

– W czym doktor ci przeszkadza?

– W niczym!

– To czemu tak się złościysz? Podobno nic cię z nim nie łączy.

Julia spiorunowała siostrę wzrokiem, a potem warknęła: – Zajmij się sobą! I zmień te czernie, bo wyglądasz jak wrona. Tylko patrzeć, jak Staś znajdzie sobie ładniejszą.

Nina nie odpowiedziała, tylko skuliła się jak po celnym ciosie w brzuch, a potem bez słowa wyszła z pokoju. Ona zaś poczuła się podle – nie powinna była kopać leżącej. Bez trudu dało się dostrzec, że morfinizm Stanisława zniszczył to małżeństwo: siostra wyglądała jak cień samej siebie, a szwagier zachowywał się, jakby przeproszał, że śmie zawracać jej głowę. Julię nachodziła czasami ochota, aby sprawdzić, co naprawdę dzieje się za zamkniętymi drzwiami ich mieszkania, ale zaraz przypominała sobie, że postanowiła nie rozmawiać z siostrami na tematy osobiste – wszystkie miały zastrzeżenia do jej przyszłego męża.

Ona zaś od dnia swoich zaręczyn z Andrzejem Turzynieckim miała wrażenie, że pomimo wojny żyje w pięknym śnie. Warszawa wydawała się jej krainą z baśni, a przyszłość jawiła się tylko w jasnych barwach. Miała zostać żoną człowieka, którego sobie wybrała, mieszkać z nim w zabytkowym pałacu jako bogata dziedziczka dużego ziemskiego majątku. A po wojnie wrócić do Warszawy, wynająć eleganckie mieszkanie, wydawać przyjęcia i oczywiście podróżować po świecie.

Mówiąc krótko – Julia była nieziemsko szczęśliwa.

To szczęście i wynikający z niego optymizm sprawiły, że zrezygnowała z dobroczynności i choć ciotka powtarzała, że to nie wypada, zatrudniła się w jednej ze znanych warszawskich pracowni krawieckich. Cóż, lubiła szyc i zależało jej, aby nauczyć się robić to dobrze. Inna sprawa, że zarabiała całkiem przyzwoicie: część wynagrodzenia oddawała babci na dom, a za resztę zamierzała kupić piękną tkaninę na ślubną kreację – wszak w tak ważnym dniu powinna wyglądać odpowiednio. Oczywiście robiła to w tajemnicy przed Andrzejem, któremu mogłoby się nie spodobać, że jego przyszła żona kala ręce pracą zarobkową.

Do tej pory wszystko szło jak po maśle i wyglądało, że nic ani nikt nie przeszkodzi jej w realizacji planów. Niestety, tylko pozornie, gdyż był jeden

człowiek, który robił wszystko, aby skutecznie przekłuć jej różową bańkę...

Zaraz po świętach Bożego Narodzenia Józef Warliński z całym ceremoniałem poprosił ją o rękę. Odmówiła mu kategorycznie, wyjaśniając przy okazji, że zależy jej na innym mężczyźnie, a ich znajomość była dla niej niewiele znaczącym epizodem. On jednak nie przyjął tego do wiadomości i wciąż prosił o kolejne spotkania. Starła się go unikać, ale jak na złość wciąż na niego wpadała, ponieważ regularnie odwiedzał Stanisława, który był jego pacjentem. Na dodatek babcia Adela zapałała do niego podejrzaną sympatią i często zapraszała na herbatę lub kolację. Tak jak dzisiaj. Julia wiedziała, co kryje się za tą gościnnością, i czasem żałowała, że kierowana niezrozumiałym odruchem przyprowadziła Warlińskiego na wigilię i przedstawiła całej rodzinie.

Zegar wybił szóstą. Za chwilę miała rozpocząć się kolacja, więc nieco już spokojniejsza Kellerówna wyszła z pokoju. Nie zdążyła zamknąć drzwi, gdy doktor stanął obok niej. Nawet nie musiała na niego patrzeć, z jakiegoś powodu zawsze wyczuwała jego obecność.

– Dzień dobry.

Chciała mu powiedzieć, że ma sobie iść, bo nie jest mile widzianym gościem, ale ku swej irytacji nie umiała się na to zdobyć. Kiwnęła więc głową na powitanie, gorączkowo zastanawiając się, co zrobić, aby nie usiąść z nim przy jednym stole. Może udać nagłą migrenę?

Że też Andrzej musiał wyjechać akurat dzisiaj!

– Unika mnie pani – powiedział Warliński. W jego głosie nie było wyrzutu, raczej smutek.

– Proszę się nie dziwić – odparła, zadzierając hardo głowę. – Chce pan ze mną rozmawiać, choć wie, że nie mamy o czym.

– Myślę, że jednak mamy – oświadczył. – Coś nas łączyło. Dała mi pani powody, żeby przypuszczać...

– Jak pan śmie! – Uniosła rękę i wzięła zamach; w ostatniej chwili złapał ją za nadgarstek.

Stali naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy. Czas mijał, z salonu dobiegał głos ciotki Klary, co oznaczało, że rodzina zasiadła już do stołu, ale Julia nie była w stanie odwrócić wzroku. Z trudem znosiła myśl, że wciąż ciągnie ją do doktora. Rzeczywiście, raz na zawsze powinni wyjaśnić sobie kilka kwestii, a potem rozejść się każde w swoją stronę.

– W takim razie dobrze – powiedziała, wciąż wpatrując się w jego twarz.
– Porozmawiam z panem. Pod warunkiem, że nie będzie mnie pan więcej niepokoił.

– Oczywiście – wyszeptał. – Ufam, że dotrzyma pani słowa.

– Pan wie, że nigdy nie zmieniam zdania.

6.

– Matko Boska! – Służąca złożyła ręce jak do modlitwy. – Toż to najprawdziwsza szynka. – Z lubością pociągnęła nosem. – Wędzona jałowcowym dymem. I kiełbasa... Skąd panienka wzięła takie cuda?!

– Cuda, zaiste – mruknęła babcia, też wyraźnie zaskoczona zdobyczami wnuczki.

– Jak mówiłam, że jadę po prowiant, nikt nie chciał mi wierzyć – rzuciła Zofia, której ulżyło, kiedy spostrzegła, że Balbina nie zdążyła dokopać się do właściwej zawartości walizy.

– A bo nigdy panienka nic nie przywoziła.

– Musi być ten pierwszy raz. Niech Balbina weźmie to. – Zofia wyciągnęła z nesesera chleb, dwie ogromne szynki, dwa balerony i cztery pęta kiełbasy, a po namyśle dołożyła jeszcze trzy puszki konserw. – Resztę muszę niestety zabrać. Nie wiozłam tego wyłącznie dla nas. I chyba trzeba skroić trochę na kolację.

– Pewnie, że skroję. To będzie prawdziwa uczta, a nie toto. – Z pogardą spojrzała na ugotowane jajka, które – oprócz cienkiego rosółu z ćwiartki kury oraz duszonego królika – miały być główną atrakcją kolacji.

Zofia przykucnęła przy walizie i chcąc uporządkować pozostałe w niej rzeczy, przesunęła jeden z baleronów, a wtedy spod zatłuszczonego papieru wyrzwał spory fragment lufy. Służąca zajęta rozkładaniem prowiantu na szczęście nie zdołała tego zobaczyć. Za to przed babcią, jak zwykle, nie dało się ukryć niczego.

– Zabierz neseser, moja droga – powiedziała spokojnie Adela. – Niech tu się nie brudzi.

Wnuczka pospiesznie zamknęła walizę, która zrobiła się ciut lżejsza, ale nadal ważyła swoje, a potem z trudem wytargała ją z kuchni i ukryła w schowku na korytarzu. Babcia nadzorowała całą operację.

– Jak śmiałaś przynieść to coś do domu?

– Nie miałam wyjścia – tłumaczyła szeptem. – Tarłowski uparł się, że mnie odwiezie.

Tyle dobrego, że dzięki niemu uniknęłam rewizji.

– Jezus Maria! Myślisz, że odgadł, co targasz?!

– Nawet jeśli odgadł, nikomu nie powie – odezwała się nieoczekiwanie Pola, która zmaterializowała się tuż obok. – To porządny człowiek.

– Co tu robisz? – Starsza dama łypnęła na nią groźnie. – Uczyłyśmy cię tyle lat, że nie wolno podsłuchiwać! A teraz powiedz mi, Zosiu kochana, co zamierzasz zrobić z tym czymś? – Wskazała neseser, którego kawałek nadal wystawał zza zasłonki oddzielającej schowek od korytarza.

– Po kolacji odwiozę, gdzie trzeba. – Popchnęła walizę, aby ukryć ją głębiej.

– Pojadę z tobą – zaproponowała natychmiast Pola.

– Dam radę sama. Ty sprawdzisz, czy nikt nie obserwuje kamienicy.

– Tak jest.

Babcia przyglądała się im z tym szczególnym wyrazem twarzy, który miewała zawsze wtedy, gdy nakryła którąś z wnuczek na wyjątkowym nieposłuszeństwie.

„Czyżby domyśliła się, że Pola...?” – Zofia jęknęła w duchu; wołała nie myśleć, co mogłoby to oznaczać.

7.

Początkowo atmosfera przy stole była dosyć sztywna. Goście, którzy wcześniej nie mieli okazji się poznać, zerkali na siebie ukradkiem znad talerzy, a zdawkowa konwersacja kręciła się głównie wokół pogody i braków w zaopatrzeniu.

Na szczęście ten stan nie trwał długo; biesiadnicy wyraźnie ożywili się zaraz po tym, kiedy Balbina – pękająca z dumy, jakby sama wykarmiła i ubiła wieprza – rozstawiła na stole półmiski z wędlinami. Cóż, wyglądało na to, że w obecnych czasach kielbasa potrafiła rozruszać każde towarzystwo.

– Toż to prawdziwe skarby. – Doktor Warliński o mało nie zagwizdał z podziwu. – Panie Stanisławie – zwrócił się do męża Niny – zapisuję panu na receptę solidną porcję. Trzeba nabierać sił.

– Właśnie – poparła go natychmiast babcia. – Jedz, chłopcze, póki jest, bo nie wiadomo, kiedy Zosia sprawi nam znowu taką niespodziankę.

Jej najstarsza wnuczka spuściła głowę. Widać było, że siedzi niczym na szpilkach, myśląc tylko o tym, jak szybko ulotnić się z domu wraz z nielegalną bronią. Zawsze przecież istniało ryzyko, że mogła być śledzona, a gdyby wpadli tu żandarmi, Stanisław nie zdołałby ich raczej przekonać, że wszystkie browningi należą do niego.

– Oczywiście, że będę jadł, dopóki mam okazję – potwierdził skwapliwie szwagier, czekający cierpliwie, aż Klara i Sabina nałożą sobie porcje. Tylko Nina podziękowała za poczęstunek i dalej dziobała widelcem jajko na twardo, które leżało na jej talerzu od samego początku kolacji. – Niedługo wrócę na wojskowy wikt.

– Coś już wiadomo? – zapytała zaniepokojona Klara.

– Niestety, na razie nie podali mi żadnych konkretów.

Ciotce wystarczyła ta odpowiedź, Pola podejrzewała jednak – wystarczyło spojrzeć na zaczerwienione oczy siostry – że Stanisław nie mówi prawdy, gdyż nie chce denerwować rodziny przy kolacji.

– Julciu, moja droga, dolej herbaty pannie Sabinie.

Julia, posłuszna jak rzadko, zerwała się z miejsca, aby wykonać polecenie. Nie brała udziału w rozmowie, ponieważ za bardzo zajmowało ją ignorowanie doktora Warlińskiego, które było o tyle kłopotliwe, że siedziała tuż obok niego, a on nieustannie podsuwał jej półmiski.

– Rozumiem pana doskonale, poruczniku – odezwał się milczący dotąd Witold. – Armijne jedzenie od dawna wychodzi mi bokiem.

– Proszę się przyznać. – Zofia nieoczekiwanie uśmiechnęła się do dawnego konkurenta. – Chciał pan odwieźć mnie do domu, bo wyczuł pismo nosem... a raczej tę doskonałą szynkę.

– Dziecko, co ty opowiadasz? – jęknęła ciotka zgorziona faktem, że bratanica w pozbawiony szacunku sposób zwraca się do człowieka pogrążonego w żałobie.

Za to Tarłowski... Tarłowski odwzajemnił uśmiech i beztrósco oświadczył: – Panno Zofio, zna mnie pani doskonale.

Pola o mało nie zakrztusiła się kawałkiem kiszzonego ogórka – nigdy wcześniej nie słyszała, aby Witold powiedział coś, co można by uznać za żart. Sabina także spojrzała na narzeczonego z niedowierzaniem, więc szybko się zmitygował i spoważniał. Dresslerówna zaś zmrużyła powieki i zwróciła się do koleżanki: – Taka z ciebie, Zosiu, znawczyni męskich preferencji, że chyba powinnam poprosić cię o naukę.

Zofia nie odpowiedziała, tylko zmierzyła Sabinę wzrokiem, z którego nic nie dało się wyczytać; Pola nie miała jednak wątpliwości, że rozzłościły ją te słowa.

Tymczasem Balbina podała kawę i sernik. A potem na polecenie babci przyniosła jeszcze kieliszki do koniaku.

– Stasiu, drogi chłopcze – Adela wskazała butelkę stojącą na komodzie – czyń, proszę, honory domu.

Rozmowy podlane alkoholem potoczyły się już gładko. Pola przez długą chwilę przysłuchiwała się konwersacji szwagra i Witolda na temat sytuacji na froncie; próbowali przewidzieć, jakie mogą być długofalowe skutki

gorlickiej bitwy i przerwania przez Niemców rosyjskiej obrony. A że obaj znali się na wojsku i brali udział w walkach, ich przemyślenia były nader interesujące i miały mniej optymistyczną wymowę niż artykuły drukowane w gazetach – tam każda informacja z frontu kończyła się słowami, że Rosjanie skutecznie odrzucili wroga albo odbili utracone wcześniej pozycje.

Dowiedziała się wielu rzeczy, była jednak rada, że żaden z panów nie wspomniał słowem o sprawie polskiej. Zosia nie miała więc okazji uświadomić im, w jakim wojsku – jej zdaniem – powinni teraz służyć i jakie nosić mundury.

Ciotce i babci zebrało się na wspomnienia, zaś Julia i Warliński na coś się umawiali.

Może więc istniał jeszcze cień szansy, że siostra zrezygnuje ze ślubu z mężczyzną, którego w tym domu nie lubił chyba nikt oprócz ciotki Klary.

Pola jeszcze raz potoczyła wzrokiem po zebranych i nagle uświadomiła sobie, że przy stole brakuje Sabiny, która już jakiś czas temu po angielsku opuściła salon. Niewykluczone, że źle się poczuła. Pola, pomna gospodarskich obowiązków, postanowiła sprawdzić, czy Dresslerówna nie potrzebuje pomocy, więc dyskretnie wstała ze swojego miejsca i wyszła z pokoju.

Sprawdziła obie toalety, ale żadna z nich nie była zajęta.

A więc gdzie mogła zniknąć narzeczona Witolda?

Wykluczone, aby poszła do domu bez pożegnania. A przede wszystkim bez narzeczonego, którego pilnowała jak oka w głowie. Raczej nie wpadła też na pomysł, aby pomóc Balbinie w kuchni – dla pewności Pola sprawdziła jednak i tam. Bez skutku. Kamień w wodę.

Zastanawiała się już, czy nie wezwać na pomoc którejś z sióstr, kiedy coś ją tknęło. Zajrzała najpierw do sypialni babci i ciotki, a potem do Zofii. Oba pomieszczenia były puste, ale zostało jeszcze trzecie. Szybkim krokiem przemierzyła korytarz i otworzyła drzwi pokoju, który dzieliła z Julią.

Sabina pochylała się nad starym biurkiem ojca i ostrożnie wodziła palcem po jego blacie.

Na widok gospodyni natychmiast się wyprostowała.

– Piękny egzemplarz – oświadczyła spokojnym tonem. – To chyba zabytek?

– Pamiątka rodzinna. Pradziadek przywiózł je z Monachium – rzuciła bez namysłu, a potem dodała: – Szukałam cię wszędzie. Myślałam, że źle się poczułaś.

– Rzeczywiście, trochę mi słabo. Pomyślałam, że chwilę odpocznę w spokoju. – Panna jakby od niechcienia rozejrzała się po wnętrzu. – Ale już mi lepiej.

Nie tłumacząc nic więcej, wyszła na korytarz i skierowała się do salonu, zaś Pola jeszcze przez długą chwilę nie ruszała się z miejsca, zastanawiając się gorączkowo, czemu widok Sabiny myszkującej po ich mieszkaniu tak mocno wytrącił ją z równowagi.

8.

Zapiski Poli

Tak dawno nie pisałam, pewnie z pół roku. Dziś jednak... Dziś naprawdę nie umiem się powstrzymać. Kotłuje się we mnie tyle myśli i uczuć. Muszę je uporządkować, inaczej eksploduję.

Zresztą moje prywatne sprawy są moje i nawet jeśli wyjdą kiedykolwiek na jaw, ucierpię na tym tylko ja.

Widziałam Witolda, który pojawił się u nas z Zosią. Towarzyszyła mu jeszcze Sabina, ale to nieważne. Wciąż powtarzam sobie, że ona nie liczy się wcale, bo tylko życzenie wuja trzyma go w tym narzeczeństwie. Nic, żaden gest ani słowo nie wskazuje, aby darzył ją uczuciem. Ona dla odmiany chyba uważa go za swoją własność i pilnuje jak Cerber. Nie udało mi się z nim porozmawiać – przez nią i dlatego, że w przeciwieństwie do mojego szwagra i doktora nie znam się na wojskowości.

Próbowałam o nim zapomnieć. Wystarczyła jednak chwila, jedno spojrzenie i jeden uścisk ręki, aby uczucie wróciło. Nie wiem, co będzie, jeśli on nigdy nie zobaczy we mnie kobiety i, nie daj Boże, ożeni się jednak z Sabiną. Uschnę w staropanieństwie jak ciocia Klara.

Nie ukrywam, nie znoszę Sabiny. Możliwe, że jestem do niej uprzedzona, ale wydaje mi się nieszczerą. Dałabym wiele, aby dowiedzieć się, czego szukała w moim pokoju, bo na pewno nie odpoczynku. Muszę porozmawiać o tym z Zosią. Dziś już nie zdążę, ale może jutro wpadnie do mnie, do pracy.

O, właśnie. Pracuję. Mimo protestów cioci Klary, która jak zwykle najchętniej zapakowałaby mnie do łóżka (sama wciąż pomaga bezdomnym!), trzy miesiące temu zatrudniłam się w taniej kuchni dla inteligencji, jednej z wielu podlegających Komitetowi Obywatelskiemu. Zarobki są tam symboliczne, ale przynajmniej mogę zjeść obiad, a to stanowi już sporą oszczędność. Poza tym wychodzenie i wracanie z pracy daje pewną swobodę, która ostatnimi czasy jest mi bardzo potrzebna.

A skoro wzięłam się w końcu za pisanie, to mogę wspomnieć też o innych sprawach...

Martwię się o Ninę. Od jakiegoś czasu wygląda na nieszczęśliwą i chwilami myślę, że wcale nie cieszy się, że Stanisław wydobrzeał. Choć ta jego choroba to była straszna rzecz.

Nina opiekowała się mężem cierpliwie, zabierała go na spacer do parków i na ślizgawkę, bo doktor Warliński mówił, że powinien spędzać dużo czasu na powietrzu. Nie skarżyła się, choć czasem z ich mieszkania dobiegały odgłosy kłótni. Początkowo byliśmy tym przerażone, ale okazało się, że oprócz krzyków nic się tam nie dzieje – to znaczy Stanisławowi zdarzało się w nerwach rzucić szklanką o ścianę

albo potłuc talerz, ale nigdy nie tknął żony. Inna sprawa, że i ona – ku zdumieniu nas wszystkich, a szczególnie Julii – też potrafiła na niego nakrzyczeć.

Teraz na górze panuje głucha cisza, zaś moja siostra mizernieje w oczach, a szwagier chyba nie marzy o niczym innym, tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić do wojska. Co się z nimi stało? Zapytałabym, ale boję się, że każą mi nie wtrącać się do cudzych spraw.

Julia zaś szykuje się do ślubu. Od kiedy Turzyniecki zaproponował jej małżeństwo, zachowuje się, jakby złapała za nogi samego pana Boga. A przecież sytuacja wcale nie jest łatwa – matka pana Andrzeja podobno nie chce zaakceptować jego wybranki. Babcia mówi, że dawniej, kiedy mieliśmy pieniądze, bez problemu przymknęłaby oko na nasze nieszlacheckie pochodzenie.

Teraz jednak, przynajmniej oficjalnie, okazuje się ono problemem. Choć zapewne większym jest brak posagu, ale tego tak doskonale wychowana dama jak pani Turzyniecka nie powie przecież głośno. Marudzi więc i robi wszystko, aby zyskać na czasie – do tej pory nie raczyła spotkać się z nikim z naszej rodziny.

Andrzej jednak najwyraźniej postawił na swoim, bo data ślubu została wyznaczona. Wygląda więc na to, że kocha Julię. Choć, szczerze mówiąc, nie wierzę mu do końca. Ma w sobie coś takiego... Nie umiem tego opisać, ale trochę się go boję i naprawdę dziwię się, że moja siostra nie wybrała doktora Warlińskiego. Doktor nie ma majątku, czasem zachowuje się, jakby żył w innym świecie, ale jest dobry. A kiedy nikt nie widzi, patrzy na Julię takim wzrokiem... Umarłabym ze szczęścia, gdyby kiedyś Witold spojrzął na mnie w taki sposób!

9.

Kolacja skończyła się na tyle wcześnie, że po godzinie kluczenia po mieście i kilkukrotnej zmianie dorożek Zofia zdążyła dotrzeć do lokalu na Hożej, zanim stróż pozamykał bramy kamienicy.

– Jesteś. – „Milska”, tymczasowa gospodyni konspiracyjnego mieszkania, szczerze ucieszyła się na jej widok. – Nareszcie.

– Przepraszam – rzuciła, łapiąc oddech; samodzielne wtarganie nesesera na trzecie piętro okazało się sporym wyzwaniem. – Miałam problemy.

Ponaglana przez koleżankę weszła do środka, postawiła bagaż zaraz za progiem, a potem rozmasowała dłoń, w którą bezlitośnie wbijał się uchwyt. „Milska” wyrzała na korytarz, omiotła go uważnym spojrzeniem i dopiero kiedy uznała, że wszystko jest w porządku, zamknęła drzwi.

– Żandarmeria? – zapytała, kiedy wyściskała koleżankę na powitanie.

– Na szczęście nie – odparła z uśmiechem. – Znajomy, który postanowił zaopiekować się mną i moją walizką. Wołałam nic mu nie wyjaśniać. To narzeczony naszej Sabiny – dodała po chwili. – Zresztą ona też przyszła na dworzec.

– Powinna była odwieść go od tego pomysłu.

– Może nie wpadła na to.

Dziwne, ale dopiero teraz Zofia uświadomiła sobie, że Dresslerówna z wielką chęcią przyjęła zaproszenie do ich domu i wcale nie oponowała, kiedy babcia postanowiła zatrzymać ją i Witolda na kolacji. Może chciała odwiedzić Ninkę? Nie, do tego nie potrzebowałyby przecież żadnych pretekstów.

– „Gryf” już zamierzał cię szukać – opowiadała tymczasem „Milska” – ale przyszedli „Roman” i „Mikita”. Od trzech godzin siedzą w pokoju i rozmawiają.

Ruchem głowy wskazała drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, które jak na zawołanie stanęły otworem i pojawił się w nich „Roman”, czyli sam komendant warszawskiego POW. Był młody – dopiero niedawno ukończył studia medyczne – i raczej niepozornej prezencji, ale miał w sobie tyle wewnętrznej siły i charyzmy, że nikt nie wątpił w to, czy sprosta obowiązkowi związanym z tak wysokim stanowiskiem. Zofia na jego widok stanęła na baczność.

– Panie poruczniku, melduję...

– Spocznij. – Machnął ręką jakby od niechcienia. – Czemu tak długo?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, z sąsiedniego pokoju wyłonił się „Mikita”, a po chwili jeszcze „Gryf”, a dla niej po prostu Janek. Miała ochotę mocno go uściskać i pocałować, ale z konieczności musiała ograniczyć się do oficjalnego powitania; ku swemu przerażeniu dostrzegła bandaż na jego ramieniu. A więc byli ostatnio na jakiejś zbrojnej akcji...

– Nie zdołałam uwolnić się od uprzejmego znajomego – powtórzyła to, co już powiedziała „Milskiej”. – Odwiózł mnie do domu. Chyba niczego się nie domyślił, ale... – Zawahała się.

Już kilka godzin temu pojęła absurd tych podejrzeń, ale i tak powinna o nich zameldować.

– Mów – polecił „Roman”.

– To Witold Tarłowski. W zeszłym roku Irena... to znaczy „Czarna” podejrzewała go o współpracę z Ochroną.

– Ach, to ten... – Porucznik zamyślił się na chwilę, a potem spojrzał na nią i zdecydowanym tonem oświadczył: – Zostaw nam tę sprawę i więcej o niej nie myśl ani nikomu nie opowiadaj. Zrozumiano?

– Tak jest!

– A teraz melduj. Ile „bronków” przywiozłaś tym razem?

– Dziesięć. Do tego amunicję... i nieco zapasów.

„Mikita” bez słowa chwycił neseser, podrzucił go niczym piórko, rzucił na stół i otworzył. Błysnęły mu oczy – nie wiadomo, czy na widok nowiutkiej broni, czy zapasu wędliny.

Szybko rozwiał jej wątpliwości, ponieważ wyciągnął z walizy pęto kielbasy, powąchał je i z niedowierzaniem zapytał: – Dziewczyno, skąd to masz?! Nie pamiętam, kiedy widziałem takie cuda... W przeciwieństwie do browningów – dodał, widząc, że dowódca otwiera usta, aby przywołać go do porządku.

– To dla nas? – upewnił się Janek, który z ogromnym zainteresowaniem, wręcz nie licującym z powagą jego szarży, oglądał zawartość bagażu.

– Tak – odparła z uśmiechem. – Wszystko dla was. Z pozdrowieniami z Kijowa.

Próbując po trochu tego i owego, wypakowali wałówkę i zaczęli kolejno sprawdzać pistolety.

Zofia spoglądała na ukochanego. Stęskniła się za nim i najchętniej zostałaaby na noc, ale wiedziała, że dziś to niemożliwe. Mogła więc tylko pochłaniać go wzrokiem. Pomyślała, że Witold nie może równać się z nim pod żadnym względem. Janek – smukły, ciemnowłosy i energiczny – miał w sobie dwa razy więcej życia niż jej dawny konkurent. Ciągle coś planował, organizował i walczył bez względu na ryzyko. Kiedy go poznała, natychmiast skojarzył się jej z Kmicicem, bohaterem ulubionej książki z dzieciństwa, którą znała prawie na pamięć.

– Późno już. – Ukochany niby mimochodem zerknął na zegar.

– Rzeczywiście. – Zosia zerwała się z miejsca; nie miała pojęcia, że tak się zasiedziała. – Muszę iść.

– Nie będziesz nigdzie szła sama o tej porze. Odprowadzę cię.

Zofia, która doskonale poradziłaby sobie bez pomocy, nie protestowała; wręcz przeciwnie – była szczęśliwa, że jemu też jej brakowało i robił wszystko, aby spędzić z nią sam na sam choć pół godziny.

„Roman” nie oponował, ale „Milska” jak zwykle zachowała przytomność umysłu.

– Nie powinieneś wychodzić o tej porze – oświadczyła. – Lepiej, żeby stróż nie przyglądał ci się za dokładnie.

– Spokojnie. – Janek uśmiechnął się do niej łobuzersko. – Nic mi nie będzie, a stąd przecież i tak wkrótce się wynosimy.

– „Milska” ma rację – wtrącił się „Mikita”. – Zamiast siedzieć na... – Urwał, w porę przypominając sobie, że słuchają go kobiety. – Wiecznie gdzieś cię nosi.

– To chociaż złapię dla Zosi dorożkę.

– Ale wracaj zaraz – mruknął „Roman”, odkładając na stół ostatniego browninga.

– Tak jest. – Janek zabrał już całkowicie opróżniony neseser.

„Milska” zamknęła za nimi drzwi. Bez słowa zeszli po schodach i opuścili klatkę schodową. Dopiero na podwórzu Janek chwycił ją za rękę i pociągnął w najciemniejszy kąt.

– Za długo cię nie było, kwiatku – mruknął i pchnął ją lekko na ścianę; neseser łupnął głucho o ziemię.

Oparła się plecami o chropowate cegły i zaraz poczuła dotyk dłoni ześlizgujących się z ramion na piersi, a po chwili obejmujących ją w talii. Potem było ciepło przyspieszonego oddechu i niecierpliwe wargi na jej ustach.

Przymknęła powieki i zatraciła się w pocałunku. I jedna myśl kołatała jej w głowie – tak, to był mężczyzna dla niej.

Szkoda tylko, że nie jej.

ROZDZIAŁ II

I.

– To był wyjątkowo wzruszający pogrzeb – oświadczyła z niezachwianą pewnością Maria Zapiórkiewiczowa, hojnie słodząc herbatę; z okazji wizyty przyjaciółek ciotka wyjęła przechowywaną na wyjątkowe okazje resztkę białego cukru najlepszego gatunku.

Damy zmęczone udziałem w smutnej uroczystości zebrały się w salonie Kellerów, aby nieco odsapnąć i wymienić się ploteczkami. Ostatnimi czasu rzadko miały taką możliwość, gdyż zarówno ciotka Klara, jak i pani Maria ciężko pracowały w sekcji bezdomnych Komitetu Obywatelskiego.

– Już dawno nie widziałam tylu żałobników – kontynuowała Zapiórkiewiczowa. – Prawda, Leokadio?

Spojrzała na doktorową Łapińską, jak zwykle oczekując od niej potwierdzenia swych słów. Doktorowa w milczeniu pokiwała głową.

– Cóż się dziwić – powiedziała z westchnieniem babcia. – Przez całe życie nikomu nie powiedziała złego słowa. Anielskiej cierpliwości kobieta.

– Pani Eugenia miała wyjątkowo dobre serce. – Klara odstawiła szklanekę i też dołączyła do chóru wychwalającego nieboszczkę. – Łożyła pieniądze chyba na połowę warszawskich ochronek. Nie tylko chrześcijańskich, ale i żydowskich.

– Kochała dzieci – wtrąciła pani Maria. – Bolała nad tym, że nie doczekali się z Edmundem własnych.

– Za to doskonale wychowali młodego Tarłowskiego – przypomniała Adela.

– Pamiętam, jak Richter przywiózł go do Warszawy po śmierci matki... – Doktorowa uznała za stosowne wreszcie coś powiedzieć. – Miał pewnie ze dwa lata wieku. Mój mąż uważał, że dzieciak nie wyżyje, bo to było straszne chuchro. Siostra Richtera umarła na galopujące suchoty... Nawet kuracja w Szwajcarii nie pomogła.

– A ojciec?

– Przepadł bez wieści – odparła Łapińska. – To był typowy łowca posagów... Na szczęście Witold wdał się w matkę.

– Rzeczywiście – zgodziła się Zapiórkiewiczowa. – Aż szkoda go dla Dresslerówny... Że też wasza Zosia go nie chciała! Powinnyście byli – spojrziała z przyganą na ciotkę – podsunąć mu szybko Ninę. Albo i Julię.

– Moje wnuczki to nie lalki na półce, żeby je komuś podsuwać – oświadczyła Adela, zerkając przy tym na Ninę, która co prawda siedziała z nimi przy stole, ale była tam obecna wyłącznie ciałem. Jej serce znajdowało się przy Stanisławie, który jeszcze nie wrócił ze spotkania w sztabie, zaś umysł przebywał w ciemnej otchłani ponurych myśli.

– Dobrze się czujesz, moja droga? – zapytała doktorowa. – Taka jesteś bladziutka.

– Martwię się o męża. – Nina ocknęła się z zadumy. – Pewnie zechcą wysłać go na front.

– Musisz w końcu nam go pokazać – powiedziała Zapiórkiewiczowa. – Skoro już wydobrzał z wojennych chorób. Zaraz, zaraz... Jak on się nazywa?

– Stanisław Woyda – odpowiedziała jej Adela.

– Woyda... Mówi mi coś to nazwisko. A tobie, Leokadio?

– Zupełnie nic – mruknęła doktorowa, która akurat nakładała sobie kolejną porcję ciasta.

– Pierwszy raz słyszę.

– Mnie na pewno obilo się o uszy... I widzisz, będzie mnie to prześladować, dopóki sobie nie przypomnę.

– A jak idą przygotowania do ślubu Julii? – zainteresowała się Łapińska.
– To przecież niedługo. U kogo szyje suknię?

– U Brzezińskiego na Nowym Świecie pomogli jej wszystko skroić, ale szyje już samodzielnie.

– Jak to: samodzielnie? – zapytała ze zgrozą pani Maria. – Klaro, jak możesz pozwolić na coś takiego?! Przecież to przynosi pecha! I źle wróży małżeństwu.

– Ma pani absolutną rację – przytaknęła babcia z błyskiem rozbawienia w oku. – Moja matka sama uszyła sobie suknię i już na weselu przypadł jej ojciec chrzestny. Cała rodzina szukała go bite dwie godziny... Nawet nad Wisłą chodzili sprawdzić, czy aby się nie utopił.

– I co? Znaleźli go?

– Sam się znalazł. Zwyczajnie uznał, że już wystarczy zabawy, i poszedł piechotą do domu, nie mówiąc o tym nikomu.

– Droga pani Adelo – zaczęła Zapiórkiewiczowa – lepiej nie dworować z takich rzeczy.

Los bywa przewrotny, a na świecie są sprawy, których nie obejmiesz rozumem. Na przykład dzisiaj Oktawia Burzyńska zemdląca na pogrzebie...

– No tak. – Babcia nie kryła uciechy. – Była oburzona faktem, że wdowiec nie życzył sobie otworzyć trumny.

– W dziejach Warszawy mało jest wydarzeń, które by nie oburzyły Oktawii – wtrąciła Łapińska z udawaną powagą. – To pewne jak Bóg na niebie.

– Oktawia zobaczyła ducha. – Pani Maria spojrzała na przyjaciółkę z wyrzutem. – A przynajmniej tak twierdziła, kiedy wnuczka zdołała ją docucić.

– A tak desperowała, że dziewczyna chce iść na studia medyczne... – mruknęła Adela. – Teraz ma jak znalazł.

– Nie rozumiem, co to za moda, że wszystkie panny kończą medycynę – westchnęła Klara.

– Kończyły już wcześniej – przypomniała jej Łapińska. – A wnuczce Oktawii trudno się dziwić, ma przecież przykład w rodzinie.

– Nie zmieniajcie tematu. – Zapiórkiewiczowa postanowiła przywołać rozmówczynię do porządku. – A strzeżonego pan Bóg strzeże, więc zakażcie Julii tego szycia. Nie chcę, żeby spotkało ją nieszczęście. To taka bystra dziewczyna, wspaniale spisywała się u nas. Brakuje mi jej pracowitości.

– Nie przypuszczałam, że tyle wytrzyma – powiedziała Klara. – A tymczasem... – Urwała, bo z hoku dał się słyszeć odgłos energicznych męskich kroków i po chwili do salonu zajrzał Stanisław.

– Dzień dobry. – Stropił się na widok nieznanym mu dam. – Najuniższej przepraszam, podobno jest tutaj moja żona.

Nina zerwała się z miejsca; zamierzała pożegnać się grzecznie i opuścić salon, ale babcia postanowiła wykorzystać sytuację.

– Wejdz, drogi chłopcze. – Skinęła na Stanisława, a potem zwróciła się do przyjaciółek córki i nie bez dumy w głosie oświadczyła: – To jest właśnie mąż mojej wnuczki.

Pani Zapiórkiewiczowa wbiła w przybysza zdumione spojrzenie. Przez długą chwilę przyglądała mu się w milczeniu, wreszcie zaczęła coś mówić, ale jej słowa zagłuszył trzask tłuczonej porcelany – ciotka Klara najpierw upuściła filiżankę, a teraz chrząkając znacząco, zerkała na panią Marię spod zmrużonych powiek.

2.

– Należą się dwie kopiejki – powiedziała Pola i nabiła kwotę na kasę, a następnie, kiedy szufladka wysunęła się z chrzęstem, skrupulatnie przeliczyła monety i każdą włożyła do odpowiedniej przegródki. – Dziękuję. – Uśmiechnęła się do starszej, skromnie odzianej damy, która

codziennie zaglądała do nich a to na porcję ciepłej zupy, a to na herbatę i lekturę gazet.

Kellerówna wiedziała, że kobieta jest nauczycielką muzyki, która z powodu wojny straciła większość uczniów i teraz ledwo wiąże koniec z końcem; zapewne mogłaby korzystać z darmowych obiadów w którejś z kuchni komisji rozdawniczej Komitetu Obywatelskiego, ale najwyraźniej uważała, że w tym mieście są ludzie bardziej potrzebujący pomocy.

Kiedy obsłużyła wszystkich czekających, Pola uważnie rozejrzała się po sali. Polubiła jadłodajnię na ulicy Szpitalnej właściwie od pierwszego dnia. Było to nieduże miejsce, ale widne – przed wojną mieścił się tu skład apteczny, którego właściciel jeszcze w poprzednim roku wyjechał do Piotrogradu – zastawione trzema rzędami stołów, w porze obiadowej gwarne i pełne ludzi, a po południu nieco spokojniejsze. Znała z widzenia większość bywalców, którzy powracali tu prawie codziennie.

Początkowo bała się, że nie opanuje nieśmiałości, ale działalność w konspiracji i dostarczanie nielegalnych gazetek do przeróżnych adresatów okazały się skutecznym lekarstwem na tę przypadłość, a codzienne przebywanie w tak ludnym miejscu jak jadłodajnia postawiło tylko kropkę nad „i”. W nauce obsługi kasy pomogło jej zaś to, że zawsze doskonale radziła sobie z rachunkami.

Bardzo chciała pracować, ponieważ w domu się nie przelewało. Ruble wartością niewiele przewyższały papier, na którym je wydrukowano, więc oszczędności topniały w zastraszającym tempie, a do tego trudno było dostać za nie coś w dobrym gatunku, nawet chleb z dnia na dzień tracił na jakości. Pola myślała nieraz, że oddałaby wiele za puszystą pszenną bułkę, ale musiała zadowalać się niesmacznym ciemnym pieczywem, którego składu wolała nie dociekać. Balbina robiła, co mogła, aby gotować jak najoszczędniej i jak najpożywniej, ale przecież z pustego i Salomon nie naleje. Gdyby nie Stanisław, który jako wojskowy rekonwalescent dostawał czasem coś z armijnych zapasów, oraz Andrzej Turzyniecki, zaopatrujący ich w produkty ze wsi, przędliby naprawdę cienko.

– Polu, idź coś zjeść. – Ze swojego kantorka wyłoniła się pani Klementyna, znajoma ciotki Klary i pani Zapiórkiewiczowej, która zarządzała jadłodajnią od samego początku jej istnienia.

– Zaraz zaczynamy wydawać.

W lokalu codziennie w porze obiadowej biedni warszawscy inteligenci mogli za kilka kopiejek zjeść porządną porcję zupy, w której – dzięki usilnym staraniom pani Klementyny – często pływały kawałki mięsa.

– Dziękuję. – Pola poczuła nagle, że jest okropnie głodna. Kilkugodzinne stanie za ladą pochłaniało siły i energię, a czekało ją jeszcze sporo pracy.

Bez zwłoki poszła na zaplecze, gdzie w dawnym magazynie apteki urzędowały kucharki i ich pomocnice. Pachniało tam smakowicie mięsnym wywarem i gotowanymi jarzynami.

– Niech panna wsuwa – powiedziała dobrodusznie pani Bronia, najmłodsza z czterech tutejszych kucharek, hojną ręką nalewając jej zupę. – Dziś kartoflanka jak ta lala. Na prawdziwych wieprzowych żeberkach.

– Tego mięsa tyle, co kot napłakał – prychnęła pani Lodzia, najokazalsza i najgroźniejsza z całego personelu.

– A ponoć na kolei stoją we wagonach żywe byki – wtrąciła szczerbata podkuchenna Wikcia, przerywając szorowanie ogromnej patelni. – I te byczyska muczą tam z głodu, bo nikt im ani żarcia, ani wody nie daje.

– Czemu ich nie rozładują? – Lodzia podejrzliwie zerknęła na koleżankę.

– A bo nie ma prikazu. Moskal jeden z drugim nie może się namyślić, kto ma u nasz je wszamać.

– Same wszamią. – Bronia energicznie zamieszała chochlą w garze. – Niech diabli porwą te ruskie porządki!

Pola usiadła przy stole przeznaczonym dla pracowników i zamieszała łyżką w talerzu w nadziei, że zupa szybko przestygnie, jednocześnie przysłuchując się dyskusji kucharek. I nie po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że Zosia specjalnie pomogła jej zatrudnić się właśnie w tej jadłodajni – panowały tu nastroje bardzo sprzyjające antyrosyjskiej konspiracji. I dziwnym trafem kilka osób stąd działało w POW.

Ona sama bez trudu dała się przekonać siostrze, że racja leży po stronie brygadiera Piłsudskiego i jego legionistów. Złożyła więc prawdziwą przysięgę i przez kilka tygodni uczęszczała na przeróżne arcyciekawe szkolenia – a to ze służby wywiadowczej, a to z terenoznawstwa, a to z nauki o broni oraz materiałach wybuchowych, a także ze sporządzania szkiców i raportów – które miały obowiązek przejść wszystkie nowe osoby. Chcąc wszystko zachować w tajemnicy, wmawiała ciotce Klarze, że uczęszcza na kurs sanitarny, na który obie z babcią pozwoliły jej w chwili noworocznej słabości.

Oddział żeński POW dzielił się na cztery sekcje. Wywiadowczą, w której pracowała Zofia oraz inne najbardziej doświadczone dziewczęta. Intendentury, która zajmowała się zaopatrywaniem we wszystkie niezbędne rzeczy ludzi z różnych względów ukrywających się przed władzami, a także ochotników zgłaszających się do Legionów, w tym dezertersów z carskiego wojska. Sanitarną, którego członkinie – doskonale wykształcone pielęgniarce – zatrudniały się w szpitalach i tam zbierały informacje; wśród nich była Sabina Dresslerówna. I kolporterską, która rozpowszechniała nielegalne niepodległościowe wydawnictwa nie tylko wśród ludności cywilnej, ale także wojska.

Pola należała do tej ostatniej. Roznoszenie bibuły było pracą wymagającą pomysłowości, sprytu tudzież szerokich rękawów przy płaszczach i sukienkach, ale – jak do tej pory – nieszczególnie angażującą. Tak więc w domu nikt nie zorientował się, czym oprócz pracy zarobkowej zajmuje się najmłodsza z dziewcząt.

Nina, której obie z Zosią obawiały się najbardziej, w zwykłych warunkach pewnie by coś wywęszyła, ale przez ostatnie pół roku całą jej uwagę pochłaniał Stanisław. Julia zaś celebrowała swą wielką miłość do Andrzeja i nie wtrącała się w cudze sprawy – o ile siostry nie wtrącały się do niej. Zaangażowanej w pracę społeczną ciotce umykała połowa rodzinnych spraw, zaś babcia... Po babci można było spodziewać się wszystkiego.

– Już jestem! – Do kuchni wpadła zdyszana Karolina Wójcikówna, która była koleżanką Poli z pracy i z organizacji. Prawie jednocześnie wstąpiły do

POW, biegały na te same zajęcia, więc teraz też trzymały się razem.

– A panna zawsze wie, kiedy przylecieć – powiedziała ze śmiechem Bronia. – Prościutko na samiutki obiad.

– Nos mnie przyprowadził – rzuciła wesoło dziewczyna. – Zupa pani Broni pachnie już na Chmielnej.

– Niech panna wtraja. – Kucharka postawiła na stole drugi talerz z kartoflanką. – Bo potem nie zdąży.

Pola jadła spokojnie, ponieważ jej zupa zdążyła przestygnąć, zaś Karolina niecierpliwie dmuchała na to, co nabrała na łyżkę.

– Chyba szykuje się coś ważnego – powiedziała szeptem, pochylając się ku Poli. – Wczoraj znowu nosiłam broń do „Uranii”.

– O niczym nie wiem – stropiła się Kellerówna. – Też tam byłam ostatnio, ale dali mi bibułę, jak zwykle.

Towarzystwo Pomocy Szkolnych „Urania” zajmowało przestronny dziesięciopokojowy lokal na pierwszym piętrze kamienicy przy Brackiej 16. Z racji oficjalnej działalności we wszystkich pomieszczeniach stały niezliczone szafy, półki, skrzynie i gabloty wypełnione najróżniejszymi przedmiotami, wszędzie było pełno książek i papierów, a każdego dnia przynoszono i wynoszono stamtąd ogromne ilości paczek. Na dodatek kierownik „Uranii” był szczerym sympatykiem organizacji. Nic więc dziwnego, że zatrudnione w firmie dziewczęta z POW – w tym pomagająca w dziale buchalterii Zofia – właśnie tam urządziły podręczny magazyn; najpierw druków, a potem także broni, amunicji i materiałów wybuchowych. W „Uranii” odbyło się ponoć już kilka rewizji, ale żaden żandarm nie umiał połapać się w panującym tam rozgardiaszu.

– Mówię ci, coś się szykuje – powtórzyła Karolina między jedną łyżką zupy a drugą. – Widziałam na Brackiej samego „Gryfa”.

Pola też go kiedyś widziała. Nawet dwa razy. Najpierw też w siedzibie magazynu, a kilka dni później przypadkiem na mieście. Szedł z Zofią. Zapewne wykonywali jakieś zadanie, więc udała, że ich nie zna. A oni chyba wcale jej nie zauważyli.

– Twoja siostra ma szczęście.

– My też wiecznie nie będziemy kurierkami. Zobaczysz.

– Nie o tym mówię. – Koleżanka uśmiechnęła się znacząco.

– A o czym? – Pola odsunęła pusty talerz i spojrzała na nią wyczekująco.

– Jak to? Nie wiesz? – zdumiała się Karolina. – Przecież oni się kochają. Podśluchałam, jak nasza „Mada” opowiadała o tym Hani. I jeszcze mówiła, że „Gryf” ma żonę we Lwowie... To prawda?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła chłodno. – Nie wsadzam nosa w sprawy Zosi.

Próbowała zachować spokój, ale poruszyło ją to, co właśnie usłyszała. Siostry miawały przeróżne miłosne perypetie, ale Poli nie przyszło do głowy, że któraś z nich mogłaby wdać się w romans z żonatym mężczyzną. Coś takiego w ich rodzinie było niedopuszczalne, więc jeśli Karolina mówiła prawdę, to rodzice właśnie przewracali się w grobie. A ciotka Klara... ciotka Klara zapewne nie ma o niczym pojęcia, bo inaczej rozpętałyby w domu piekło, a potem wezwała do Zosi egzorzystę.

– Pora na nas. – Zerwała się z miejsca. – Dziękujemy bardzo – zwróciła się do kucharek.

– Pyszna zupa.

W czasie jej nieobecności w głównej sali zdążyła ustawić się spora kolejka. Pola pospiesznie wróciła na swoje miejsce przy kasie, a Karolina zajęła się przyjmowaniem zamówień.

Pani Bronia razem z Wikcją wytargały z zaplecza pierwszy parujący kocioł i ustawiły go na zwykłym miejscu, między ladą a wielką szafą z talerzami.

Pola rutynowo wbijała na kasę kolejne kwoty, liczyła monety, wydawała resztę, spoglądała na smutne i zrezygnowane twarze, od czasu do czasu witając się ze stałymi bywalcami, i zupełnie nie zwracała uwagi na upływający czas. Wreszcie, gdy tłum znacznie się przerzedził, ktoś zatrzymał się przed nią i wesoło zawołał: – Dzień dobry!

Po drugiej stronie blatu stał wysoki jasnowłosy chłopak i uśmiechał się do niej od ucha do ucha. Pola też przywitała go uśmiechem. Znali się całkiem dobrze: chłopak miał na imię Michał, studiował prawo na uniwersytecie i też należał do POW.

– Poproszę o zupeę. – Wsunął jej pieniądze prosto do ręki w taki sposób, że ich palce splotły się ze sobą. Pola miała wrażenie, że celowo nie cofał dłoni, chcąc przedłużyć tę chwilę. Nie przestawał się uśmiechać i patrzył jej prosto w oczy; speszona spuściła głowę.

A kiedy wreszcie odszedł od lady, aby zająć miejsce przy stole, zerknęła na zegar; do końca zmiany brakowało tylko kwadransa. Skoro jednak Michał pojawił się w jadalni, oznaczało to jedno: dodatkową pracę.

3.

„Jeszcze tylko pięć minut – pomyślała Zofia, patrząc na zegar jak na najgorszego wroga.

– Tylko pięć minut i wstaję”.

– Nie chcę, żebyś szła. – Janek, który chyba umiał czytać w myślach, przytulił ją do siebie. – Zostań. Najlepiej do rana.

– Nie mogę.

– To rozkaz! – Roześmiał się.

– Powinam wracać do domu. – Łagodnie uwolniła się z jego objęć, usiadła na łóżku i zaczęła zbierać z podłogi porozrzucaną bieliznę.

– Stróż cię nie widział. – Podniósł się z poduszki i oparł na łokciu. – Nigdzie nie doniesie.

– Moja ciotka jest gorsza niż Ochra. – Z czułością poczochnęła mu włosy. – Zresztą muszę się spakować. Jadę przecież do Lublina.

Wiedział o tym doskonale, bo sam wydał jej taki rozkaz: ktoś musiał przywieźć stamtąd cudem zdobytą amunicję.

– Szkoda, że nie spakowałaś się dzisiaj.

Konspiracyjne lokale przeważnie nie bywały puste, więc ich wspólne chwile były nader rzadkie, więc kiedy dokądś się wybierała, a Janek dawał jej znak, że mogą się spotkać, znikwała z domu na dzień przed planowanym wyjazdem.

– Nieopatrznie powiedziałam babci, że mam pociąg dopiero jutro.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – Przywarł do jej pleców i cmoknął w szyję. – Jak wyjeżdżasz, też nie wracasz na noc.

– Mieszkam z nimi, więc muszę szanować zasady. Babcia i tak jest cierpliwa. Podejrzewam, że wie wszystko nie tylko o mnie, ale i o Poli. Zaś co do wyjazdów... Znasz takie powiedzenie: czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal?

– Gdyby sprawy układały się inaczej, poszedłbym do pani Adeli i oświadczył się o twoją rękę.

– Wiem. – Odwróciła się i zbliżyła twarz do jego twarzy, jednocześnie zadając sobie pytanie, czemu ten mężczyzna przyciąga ją jak magnes. – Ale jest, jak jest. I nie wracajmy do tego tematu.

Doskonale pamiętała dzień, w którym straciła dla niego głowę. Wtedy też był maj, podkrakowskie lasy odurzająco pachniały młodą zielenią, a on prowadził zajęcia ze strzelania dla damskiego oddziału Drużyn. Kiedy stanął za nią i zaczął demonstrować, jak ma przyjąć prawidłową postawę i wycelować, nie mogła opanować drżenia rąk. Nagle spojrzała mu w oczy i opuściło ją całe zdenerwowanie, za to pojawiło się uczucie, przed którym nawet przez chwilę nie zamierzała się bronić; zawsze wierzyła, że prawdziwa wielka miłość uderza niczym grom z jasnego nieba.

Jeszcze tej samej nocy kochali się szaleńczo w najgęstszej kniei, jaką zdołali znaleźć w pobliżu obozu, leżąc na trawie pełnej natrętnych mrówek i patrząc na rozkołysane wiatrem gałęzie drzew.

O tym, że jest żonaty, nie chciała pamiętać. Zwłaszcza w takich chwilach jak ta. Na samym początku znajomości postanowiła, że będzie na niego czekać ile trzeba albo na zawsze pozostanie jego kochanką. Długo wierzyła

w to bez zastrzeżeń, ale ostatnio z coraz większym trudem znosiła beznadziejność swojej sytuacji.

– Zostań, kwiatku – poprosił jeszcze raz, głaszcząc ją po ramieniu.

W tym momencie Zofię ogarnęły złe przeczucia.

– Coś szykujecie?

Milczał, ale i tak wiedziała, że trafiła w sedno. Zwykle dopiero po czasie dowiadywała się, że Oddział Lotny, dla którego z taką determinacją zwoziła broń z coraz to innych miast Cesarstwa, zniszczył gdzieś tory kolejowe, wysadził w powietrze ważny strategicznie most, przeciął linię telefoniczną albo napadł na któryś z rosyjskich urzędów. Być może nie były to spektakularne akcje, ale jasno dawały odczuć Rosjanom, że powinni wynosić się z Kraju Nadwiślańskiego.

Tak więc jutro oboje zaczną wykonywać swoje zadania i nie wiadomo, kiedy spotkają się znowu. Chciała poprosić Janka, aby na siebie uważał, ale zrezygnowała – bandaż, który wciąż nosił na ramieniu, świadczył o tym, że i tak nie dotrzyma słowa.

Nagle poczuła, że żadna siła nie zmusi jej do opuszczenia tego miejsca. A widząc wpatrzony w siebie z zachwytem oczy ukochanego, zapragnęła znowu poczuć ciepło jego ust, wpleść mu ręce we włosy, zachłysnąć się zapachem rozgrzanego ciała.

– Zostanę – rzuciła prawie bezgłośnie. – Ale muszę wyjść bardzo wcześnie.

Bez słowa pociągnął ją z powrotem na łóżko.

4.

– Czy wiadomo już coś konkretnego? – zapytała babcia, nawet nie starając się ukryć niepokoju. – Podali jakąś datę? Choćby przybliżoną?

– Pułkownik, który przewodniczy komisji, wysłałby go na front choćby jutro – westchnęła Nina. – Ale lekarze mówią, że potrzebuje jeszcze

miesiąca, żeby wydobrzeć całkowicie.

Miesiąc... Czyżby tyle jeszcze miało potrwać jej małżeństwo? Z trudem powstrzymała łzy. Nie chciała, aby babcia dowiedziała się o jej nieszczęściu. Nie miała siły słuchać rad. Na brak miłości i tak nic nie pomoże.

– To bardzo mało czasu. – Ciotka splotła nerwowo palce. – W takiej sytuacji nie mogę już zwlekać.

– W jakiej sytuacji? – zapytała podejrzliwie Adela, sięgając po kieliszek z koniakiem.

Ostatnimi czasu można było dostać go tylko na czarnym rynku i kosztował krocie, ale żadna z domowniczek nie śmiała wspomnieć o tym babci.

– Z czym zwlekać? – zapytała zaniepokojona Nina.

– Skoro twój mąż – Klara spojrzała niepewnie na bratanicę – ma wrócić na front, powinien się dowiedzieć. Musi poznać...

– Na miłość boską – jęknęła babcia. – Klarcu, mów jaśniej, bo trafi mnie apopleksja.

– Wiem, kim są krewni Stanisława – rzuciła ciotka. – Domyśliłam się, kiedy go tylko zobaczyłam. Ale wołałam się upewnić. Potem okazało się, że jest... że wymaga leczenia i nie chciałam przysparzać mu nerwów. Teraz wyzdrowiał i ma znowu iść na wojnę... Muszę mu powiedzieć. Tym bardziej że nawet Marysia Zapiórkiewiczowa już się zorientowała.

Nina mocno zacisnęła palce na uchwycie szklanki i wstrzymała oddech.

– Mów! – Adela wbiła w córkę wyczekujące spojrzenie. – Natychmiast. Bo oszaleję!

– Nie zauważyła mama, że Stanisław jest uderzająco podobny do Amelii Osnowskiej?

– Masz na myśli mecenasową Rapacką? – upewniła się babcia.

Nina nie skojarzyła damy, o której wspomniała ciotka, aczkolwiek jej nazwisko brzmiało znajomo.

– Istotnie – potwierdziła Klara. – Choć jeszcze bardziej przypomina jej córkę, tę lekarzkę.

Poznałam ją jakiś czas temu, zanim wyjechała do Rosji.

– Mówi ciocia o pani Helenie Rapackiej? – Ninkę nareszcie olśniło i wszystkie elementy układanki powskakiwały na właściwe miejsca. Przypomniła sobie jasnowłosą doktorkę, która jesienią przyjmowała ją do pracy w Lazarecie Miejskim. Rzeczywiście, tamta kobieta była podobna do Stanisława. Miała takie same niebieskie oczy w kształcie migdałów, owal twarzy, ten sam uśmiech. – Spotkałam ją kiedyś.

– Klarcu, jesteś pewna? – zapytała Adela, nieszczerze zachwycona odkryciem córki. – Podobieństwo to nie wszystko. Sama wiesz, że zdarzają się różne przypadki.

– Rodowe nazwisko pani Osnowskiej czy też, jak mama woli, Rapackiej to Woyda. Poza tym miała starszego brata, którego po powstaniu zesłano na Syberię. Żona z małym dzieckiem pojechała za nim. Ta historia brzmi chyba znajomo?

Ciotka zakończyła swój wywód i spuściła głowę. Sprawiała wrażenie, jakby czuła się winna, że rozwikłała rodzinną tajemnicę i tym samym narobiła wszystkim kłopotu.

– Staś przez chwilę był z nami na pogrzebie Eugenii... Zanim poszedł na spotkanie do sztabu. I to jego musiała zobaczyć Oktawia Burzyńska, a nie żadnego ducha – powiedziała z namysłem Adela, a potem jednym haustem wypila cały kieliszek koniaku. – Oktawia to siostra Amelii Rapackiej – wyjaśniła po chwili zdezorientowanej wnuczce. – Wygląda na to, że chłopak jest bardzo podobny do dziadka.

– Czy te panie o tym wiedzą? – zapytała z wahaniem Nina.

Odkrycie ciotki nieco ją przytłoczyło. Inna sprawa, że zawsze obawiała się chwili, kiedy mąż odnajdzie krewnych. Obawiała się, ale jednocześnie na nią czekała – w końcu każdy powinien znać swoje korzenie.

– Nie wiedzą – oświadczyła ciotka. – Uważam, że Stanisław powinien dowiedzieć się pierwszy.

– Na pewno bardzo się ucieszy.

– A może pożałuje, kiedy zobaczy wszystkie trzy babki naraz. – Adela uśmiechnęła się krzywo.

– Aż trzy?

– Tak, moje dziecko. Oprócz Amelii i Oktawii jest jeszcze Rozalia, chyba najznośniejsza z nich. W każdym razie nie wyklęła córki, kiedy ta postanowiła zostać aktorką. Za to Amelia wyrzekła się obu swoich dziewcząt.

– Za co? – zapytała zdumiona Nina, której coś takiego nie mieściło się w głowie. Tatko miał wszelkie powody, aby wydziedziczyć Zosię, ale taka myśl nie przyszła mu nawet do głowy.

Za to często powtarzał, że marnotrawna córka wróci do domu, jak tylko zmądrzeje.

– A kto to wie? – westchnęła babcia. – Pewnie za to, że nie chciały słuchać matki. Ta młodsza, Helena, była podobno bardzo piękna.

– Jest piękna do tej pory – zapewniła ją Nina.

– I taka piękność zamiast zostać gwiazdą salonów, pojechała za granicę na studia. Nawet nie wiem, czy wyszła za mąż... Zaś Oktawia Burzyńska, odkąd jej mąż stracił cały majątek i umarł, mieszka raz u jednej siostry, raz u drugiej. Pewnie żadna nie może z nią długo wytrzymać.

– Jakby jednak nie patrzeć – wtrąciła Klara – Woydowie to bardzo porządna rodzina. Pradziadek twojego męża – spojrzała na bratanicę – miał duży majątek niedaleko Warszawy. Stracił go oczywiście po powstaniu, ale ludzie do tej pory dobrze go tam wspominają.

Porządna rodzina. Duży majątek. Powstanie styczniowe. Nic dziwnego, że ciotka tak szybko pogodziła się jej nagłym zamążpójściem.

– Musimy powiedzieć mu prawdę – oświadczyła babcia. – Krewnych się nie wybiera, więc niech się dzieje wola nieba. Na szczęście Stanisław jest dorosły, ma profesję i żonę, więc nawet Amelia Rapacka nie zdoła narobić mu w życiu bałaganu.

ROZDZIAŁ III

I.

Choć było dopiero późne popołudnie, w mieście nagle zapadła ciemność. Julia, spoglądając trwożliwie na bure skłębione chmury, które szczelnie zakryły niebo, szła ulicą Teodora i modliła się w duchu, aby dotrzeć do celu przed burzą.

Zagrzmiało. Drgnęła nerwowo i przyspieszyła kroku – przyznawała się do tego niechętnie, ale od dziecka panicznie bała się piorunów. Grzmot pogroził jej po raz drugi, a potem kilka razy błysnęło i na ziemię spadły pierwsze ciężkie krople. Kellerówna, nie zważając na nic, rzuciła się biegiem w kierunku gmachu Collegium Anatomicum, od którego dzieliła ją już niewielka odległość; liczyła, że zdąży dopaść drzwi, zanim żywioł rozsiale się na dobre.

Że też dała się namówić Warlińskiemu na to spotkanie! Cóż jednak miała robić? Należało wytłumaczyć mu raz na zawsze, że nie ma dla nich przyszłości.

Na niebie zadrgały zygzaki błyskawic, a ona, biegnąc co sił prawie pustą ulicą, powtarzała w myślach, że nic się nie stanie, bo Bóg nad nią czuwa.

Rozpadało się na dobre tuż przed tym, zanim dopadła drzwi budynku. Odetchnęła z ulgą – dach nad głową, zwłaszcza tak solidny jak ten, skutecznie chronił przed piorunami, a ulewa nie zdążyła przemoczyć jej do suchej nitki. Krople ściekające po szyi przyjemnie chłodziły rozgrzaną skórę.

Rozglądając się po holu, czekała, aż złapie oddech; nic tu się nie zmieniło od grudnia. Nawet wejścia do dalszej części Collegium pilnował chyba ten sam portier co wówczas.

– Dzień dobry. – Podeszła do niego. – Przyszłam do doktora Warlińskiego.

Portier popatrzył na nią bez cienia zdziwienia. Widać Józef uprzedził go o jej wizycie.

– Pierwsze piętro, pracownia anatomiczna. Gabinet...

– Dziękuję – rzuciła niecierpliwie. – Wiem, gdzie to jest. – Zaczynała denerwować się coraz bardziej i dałaby wiele, aby mieć już za sobą to niechciane spotkanie.

Ruszyła korytarzem w kierunku klatki schodowej. Mijający ją lekarze i siostry miłosierdzia, spieszący się dokądś i wyraźnie zajęci swoimi sprawami, nie zwracali na nią uwagi. Na piętrze szybko znalazła znajomy gabinet. Nie popełniła dawnego błędu i nie czekała beczynn timer w holu, tylko od razu weszła do środka i szybkim krokiem pokonała korytarz; drzwi na samym jego końcu były uchylone. Poczwała nagle, że ma wielką ochotę zawrócić i uciec z tej jaskini smoka. Dziwne, przecież nigdy wcześniej nie bała się Józefa. Zarówno ją, jak i jej rodzinę spotkały z jego strony same dobre rzeczy. Poza tym nie było niczyjej winy w tym, że Andrzej bardziej pasował do roli jej męża niż on.

Odetchnęła głęboko, policzyła w myślach do trzech i już miała zapukać, kiedy usłyszała znajomy głos: – Panno Julio, czy to pani?

A więc wiedział, że przyszła. I że boi się wejść.

– Tak – szepnęła głucho, ale zaraz odchrząknęła i powtórzyła głośnie: – Tak, to ja!

Spodziewała się jakiejś odpowiedzi, zaproszenia, ale Warliński po prostu otworzył szerzej drzwi. Stali naprzeciwko siebie, oboje zakłopotani; uświadomiła sobie nagle, że kiedy dochodziło między nimi do konfrontacji, Józef tracił cały rezon.

Nie mogła zaprzeczyć, lubiła mu się przyglądać. Miał taką wyrazistą twarz... Kiedy się śmiał, nie było wątpliwości, że śmieje się z całego serca, a kiedy trapił go smutek... Nie, dość!

Koniec. Nie mogła rozczulać się nad tym mężczyzną. Nie po to tu przyszła.

– Dzień dobry. Jestem, tak jak pan sobie życzył.

– Proszę. – Odsunął się i wpuścił ją do środka. Zaraz za progiem zauważyła znajomy ludzki szkielet pokryty grubą warstwą kurzu; czyżby od miesięcy nikt tu nie sprzątał? Zza okna wciąż dobiegał miarowy szum deszczu i wściekle pomruki burzy. – Napije się pani herbaty albo czegoś...

– Nie trzeba. – Wpadła mu w słowo. – Proszę mówić, co ma pan do powiedzenia, i kończmy tę farsę. Nie mam czasu. – Wydawało się jej, że im będzie bardziej obcesowa, tym łatwiej rozstaną się na zawsze.

Ujął jej dłoń, a ona zanim ją cofnęła, nieopatrznie spojrzała mu w oczy i wtedy straciła cały tupet.

– Kocham panią – powiedział tak cicho, że z trudem zdołała go usłyszeć; szum ulewy prawie zagłuszył słowa.

Zaskoczył ją tym wyznaniem – wcześniej, nawet tego dnia, gdy przyszedł do niej z kwiatami i pierścionkiem, nie wspomniał słowem o uczuciach. Przekonywał tylko, że zrobi wszystko, aby była szczęśliwa i wiodła życie na odpowiednim poziomie. Nie dziwiła jej ta oficjalna przemowa; za drzwiami salonu, czujna niczym żandarm na służbie, stała ciotka Klara i słuchała każdego słowa. Inna sprawa, że Józef był chyba taki sam jak ona – uważał miłość za słabość, do której nie należy przyznawać się głośno.

– Proszę za mnie wyjść – kontynuował. – Turzyniecki... Uważam, że Turzyniecki nie jest pani wart.

– To akurat nie panu oceniać. – Wreszcie zdołała odsunąć się od niego na bezpieczną odległość i zaraz odzyskała pewność siebie. – Moje małżeństwo jest wyłącznie moją sprawą.

Wciąż padało, odgłos grzmotów przybierał na sile, ale Warliński tak ją zdenerwował, że pierwszy raz w życiu nie zwracała na to uwagi. Czemu śmiała rościć sobie do niej jakieś prawa i dyktował, co powinna robić? To, że przyznał się do swoich uczuć i oddał jej władzę nad sobą, wcale nie znaczy, że ona odpłaci mu tym samym.

– Przepraszam. Naprawdę myślałem, że coś jest między nami.

Poruszyła się niespokojnie, bo nagle dopadła ją nieprzyjemna myśl, że Zosia miała rację: nie powinna była igrać z uczuciami Józefa. Tyle że pochlebiało jej jego zainteresowanie. Niestety, okazało się, że przez swoją próżność zraniła człowieka, którego zdążyła szczerze polubić.

– Nie zostanę pańską żoną – powiedziała spokojnym tonem. – Wybrałam Andrzeja, zanim jeszcze poznałam pana. Myślałam, że mnie porzucił po tym, jak... Ale to nieprawda. Długo chorował i nie mógł wrócić do Warszawy. Teraz chce mnie poślubić. Wbrew woli matki. Powiedział, że nie przeszkadza mu ani skandal w naszej rodzinie, ani nawet brak posagu.

– Nie przeszkadza mu? – rzucił Warliński z przekąsem. – Łaskawca.

Chciała znowu przywołać go do porządku, ale huknęło ogłuszająco. Piorun uderzył gdzieś w pobliżu. A zaraz potem drugi. Nie wytrzymała – pisnęła ze strachu i odruchowo uchwyciła się ręki doktora. On zaś po chwili wahania objął ją ramieniem. W jego gestach brakowało zwykłej śmiałości, postępował tak, jakby za nic w świecie nie chciał jej uchybić. Podniosła głowę.

– Przepra...

Zanim skończyła mówić, grom strzelił po raz trzeci. Rozległ się głośny trzask łamanego drzewa. Ciężkie od wilgoci liście plasnęły w okno, które natychmiast otworzyło się na całą szerokość. Słoik z wnętrzościami jakiegoś martwego stworzenia spadł z parapetu i z brzdękiem potoczył się w kierunku szafy pełnej różnych czaszek, a z biurka doktora sfrunęły na podłogę wyrysowane ołówkiem szkice przedstawiające rozkrojoną żabę i jakieś inne stworzenia. Powiało chłodem, a woda z rozbryzgujących się na parapecie kropli deszczu wpadła do gabinetu.

Wtem zawiasy skrzypaneły złowrogo, okno zachybotało; jeszcze chwila, a zamknie się ze wściekłym impetem, tłukąc szybę na tysiące kawałków. Józef bez słowa wypuścił ją z objęć i zwinnie wskoczył na parapet. Oparł się o futrynę i nie zważając na wciąż szalejącą ulewę i mocny wiatr, wepchnął opierającą się ramę na właściwe miejsce i szybko zasunął skobel. Zanim zszedł, posprawdzał jeszcze wszystkie lufciki.

– Już w porządku.

Nieoczekiwanie uśmiechnął się do niej. Wyglądał inaczej niż przed momentem; pod ciężarem wilgoci jego niesforne loki opadły i zwinęły się w pierścienie, zakrywając czoło i wpychając się do oczu. Koszula lepiła mu się do ciała.

– Jest pan cały przemoczony. – Nie myśląc, co robi, dotknęła jego ramienia.

– Pani też jeszcze nie wyschła. – Zanurzył rękę w jej włosach, a ona ku swojemu przerażeniu poczuła dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. – Gdzieś tu był spirytus. Chce pani trochę na rozgrzewkę?

Tak, miał całkowitą rację, trzęsa się, ponieważ zmarzła. Tak, to na pewno chłód. Nic innego. Nie mogła przecież pragnąć...

– Pocałuj mnie – poprosiła cicho, zastanawiając się, cóż za szatan pchał ją do tego szaleństwa. Gdzie podział się jej wstyd. I rozsądek. – Po raz ostatni.

– Chcę cię całować przez całe życie – mruknął, patrząc jej w oczy.

– Pocałuj mnie teraz. – Nie miała pojęcia, czy wypowiedziała te słowa, czy tylko je pomyślała.

Objął ją znowu, tym razem śmieiej, i przycisnął policzek do jej skroni. Stali bez ruchu, blisko siebie. Czas mijał i chociaż nic się nie działo, Julia czuła, że jej serce bije coraz mocniej, a oddech przyspiesza. Nadal chciała, aby Józef ją pocałował, ale nie miała odwagi poprosić po raz trzeci.

Cichnący szmer ulewy, odgłos oddalających się grzmotów, szum liści powalonego przez piorun drzewa, martwe oczy wypchanej sowy – przez chwilę miała wrażenie, że to wszystko jej się śni.

– Nie – odezwał się wreszcie Warliński zdławionym głosem. – Nie będę całował zaręczonej kobiety, tylko dlatego że ma taki kaprys.

Strzał był celny. Julia natychmiast oprzytomniała i zapytała samą siebie – jak mogła zachować się w tak haniebnym sposób? Przecież Andrzej ufał jej, poprosił o rękę, a ona nie chciała za męża żadnego innego mężczyzny.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – wymamrotała, odwracając głowę, ponieważ nie mogła wytrzymać jego wzroku. – To twoja wina. Zadałeś mi coś.

– Dlaczego się nie przyznasz? – Wciąż stał obok niej i chyba nie zamierzał się cofnąć. – Przecież też mnie kochasz.

– Nieprawda!

– Gdyby Turzyniecki nie raczył się namyślić i wrócić, bylibyśmy już zaręczeni. A może i po ślubie.

Momentalnie pożałowała wszystkich ciepłych myśli, jakimi kiedykolwiek obdarzyła tego człowieka – jego arogancja była doprawdy niezmierną, a w tej chwili osiągnęła apogeum. Babcia miała rację, kiedy mawiała, że niektórym ludziom wystarczy dać mały palec, a oni zaraz wezmą sobie całą rękę, a do tego jeszcze wejdą na głowę.

– Jest pan bezczelny!

– A pani smarkata – odparował; po raz pierwszy usłyszała w jego głosie cień śpiewnego wschodniego akcentu. – Czemu tak pani spieszo do tego ślubu? Proszę poczekać choć kilka miesięcy. Lepiej poznać narzeczonego.

– Znam Andrzeja wystarczająco dobrze i wiem, czego się po nim spodziewać.

– Czy kiedykolwiek prosiła go pani o pocałunki?

Na chwilę zaniemówiła z oburzenia. Ale tylko na chwilę.

– Andrzej mnie szanuje! – rzuciła ze złością. – Czeka... czeka ze wszystkim do ślubu.

A pan jest podły!

– Gdybym był podły, spełniłbym pani prośbę. I nie poprzestałbym na całowaniu. Nie sądzę, żebym napotkał jakiś opór.

– Pan jest... – Rzuciła się na niego z pięściami, ale chwycił ją za nadgarstki i unieruchomił. Znowu stanęli ze sobą twarzą w twarz.

– Szybko skończyłbym pani narzeczeństwo – kontynuował tym samym poważnym tonem – bo po czymś takim nie śmiałyby pani wrócić do Turzynieckiego. Nie umiałyby pani go okłamać.

– Czemu pan tego nie zrobił? – zapytała kpiąco, choć chciało się jej płakać. Przeklinała własną głupotę. Niewiele brakowało, a zniszczyłaby sobie życie. Nie doszło do tego, bo Warliński okazał jej litość – jakże nienawidziła go w tej chwili!

– Nie wybaczyłyby pani sobie tej zdrady. I mnie, że panią do niej skłoniłem. Proszę jeszcze raz – zaczął łagodniejszym tonem. – Niech się pani zastanowi. To ważne.

– Wiem, co mam robić. – Wyswobodziła ręce z jego uścisku. – A pana... pana nie chcę widzieć nigdy więcej!

Na potwierdzenie swych słów opuściła wzrok i wtedy pośród walających się pod jej nogami anatomicznych szkiców spostrzegła rysunek, który wcale do nich nie pasował – swój własny portret.

Jeszcze tylko tego brakowało! Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem wymaszerowała z gabinetu, z trudem powstrzymując się od trzaśnięcia drzwiami. Cały korytarz, a potem schody pokonała biegiem, a portiera minęła bez słowa. Zatrzymała się dopiero na ulicy. Oddychając ciężko, ze zdziwieniem skonstatowała, że już nie pada. Niebo zaczynało się przejaśniać.

2.

– Dziękuję, że zechciały panie oddać mojej Eugenii ostatnią przysługę – powiedział Edmund Richter, który kilka dni po pogrzebie małżonki złożył im niespodziewaną wizytę.

Tak szczerze, był ostatnią osobą, którą Zofia spodziewała się ujrzeć, i gdyby mogła, nie wystawiałaby nosa z pokoju przez cały czas trwania jego wizyty. Nie tylko dlatego, że poprzedniego dnia, po różnych perturbacjach, wróciła z Lublina, który okazał się bardziej niebezpiecznym miastem niż Warszawa, ale także z tego powodu, że niepokoiło ją, co z takiego spotkania może wyniknąć; cztery lata temu Richter poczuł się tak urażony jej postępkami, że po raz pierwszy od początku znajomości pokłócił się z tatką i zrezygnował z planowanej spółki.

Problem w tym, że ani ciotki Klary, ani Julii, ani Poli nie było w domu i babcia wyraźnie zażyczyła sobie jej towarzystwa. Musiała więc siedzieć za stołem w salonie, popijać herbatę i robić dobrą minę do złej gry.

– Pańska żona była świętą kobietą – oświadczyła Adela. – Ze wszech miar zasługiwała na szacunek. I za życia, i po śmierci.

– Wierzyłem, że uda się ją uratować – westchnął Richter – choć lekarze od początku nie dawali nam wielkich nadziei.

Starsza dama w odpowiedzi tylko pokiwała głową; często powtarzała, że świeżo owdowiały mężczyzna przede wszystkim musi się wygadać, i teraz stosowała tę zasadę w praktyce.

Zofia myślała zaś, że pan Edmund niewiele się zmienił od ich ostatniego spotkania. Trochę brakowało mu do pięćdziesiątki – był niewiele młodszy od ich zmarłego ojca – ale wyglądał najwyżej na czterdzieści lat, ponieważ nie zdążył jeszcze osiwieć ani wyłysieć. Do tego miał szybkie, nieco nerwowe ruchy i nawet teraz, kiedy cierpiał z powodu bolesnej straty, sprawiał wrażenie, jakby rozsadzała go energia.

– To nieodżałowana strata – kontynuował. – Zostaliśmy z Witoldem jak te sieroty. – Spojrzał na Zofię, być może mimochodem i odruchowo, ale ona i tak poczuła się niezręcznie.

– Pan Witold jest zaręczony. – Adela na szczęście postanowiła się odezwać. – Żałoba minie i zaraz przyprowadzi do domu żonę. Zdaję sobie sprawę, że nikt nie zastąpi pani Eugenii, ale zawsze co kobieca ręka, to kobieca ręka.

– Dzisiejszym pannom tylko zbytki w głowie.

Zofia poruszyła się niespokojnie, a babcia, która to spostrzegła, postanowiła ratować sytuację i sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Czy pan Witold długo zostanie w Warszawie? – zapytała.

– Niestety, wyjechał natychmiast po pogrzebie – odparł Richter. – Cud, że w ogóle go puścili na te kilka dni, tyle teraz się dzieje. Każdy oficer jest na wagę złota.

Nic dziwnego, Rosjanom wiodło się coraz gorzej. Carskie wojsko gnane przez Niemców, którzy przeszli przez San, pospiesznie cofało się na linię Wisły.

– Wiemy coś o tym – odparła Adela. – Mąż Niny jeszcze nie wyleczył się do końca z ran, a już chcą go śłać na front. Ale cóż, ktoś musi nas bronić przed armią kajzera.

– Witold powtarza to samo, szalony chłopak. – Richter pokręcił głową, a Zofia z trudem powstrzymała uśmiech. Słowo „szalony” było ostatnim, jakim opisałyby niedoszęłego narzeczonego. – A tak przydałby mi się w fabryce. Od jesieni mam same problemy. Musiałem zmniejszyć produkcję i pozwalniać ludzi, bo skończyły się zamówienia rządowe.

– Słyszałam, że także tym zwolnionym płaci pan trzy czwarte wynagrodzenia.

– Jeszcze mogę sobie na to pozwolić. Dla Eugenii to było bardzo ważne. Nie wiem tylko, co będzie dalej, bo ponoć władza zamierza ewakuować fabryki do Rosji.

– Nawet fabryki? Myślałam, że wystarczy, jak wywiozą urzędników.

– Niemcy prą do przodu. Jeśli wejdą do Warszawy, wszystko wpadnie w ich łapy.

– Myśli pan, że jeśli władze podejmą taką decyzję, to wywiozą i naszą... to znaczy naszą byłą fabrykę? – zapytała Adela, a Zofia nadstawiła uszu.

– Nie wiem, czyja ona teraz jest – odparł pan Edmund. – Jeśli jednak przyjdzie ewakuować wszystkie, to i tej pewnie nie oszczędzą.

Zofia pomyślała, że koniecznie musi porozmawiać z siostrami.

3.

– Jeśli będą wywozić fabryki do Rosji, to bez wyjątku – powiedziała Zofia, kiedy wieczorem wraz z Julią i Polą rozpoczęły rodzinną naradę; Nina z oczywistych względów nie brała udziału w ich spotkaniach.

Inna sprawa, że o tajemniczym bankructwie i śmierci ojca rozmawiały ostatnio bardzo rzadko, ponieważ mimo starań nie zdołały wpaść na ślad dawnej sekretarki Maksymiliana Kellera. Niewykluczone, że panna Stefania Bartmanówna zmieniła stan cywilny, a wraz z nim nazwisko i opuściła Warszawę, uwożąc ze sobą tajemnice, które córki jej dawnego szefa i kochanka tak bardzo chciały poznać. Na dodatek, z racji częstych zmian personalnych w sądzie i policji, śledztwo w sprawie zabójstwa ich służącej Katarzyny także utknęło w martwym punkcie.

– No to wysoce prawdopodobne, że wezmą i naszą – powiedziała Pola, która bardzo żałowała, że była nieobecna podczas wizyty pana Edmunda.

– To pewne. Richter powiedział, że nie będzie żadnych wyjątków.

– Tatko w ostatnich latach wymienił prawie wszystkie maszyny – przypomniała Julia, która od kilku dni zachowywała się, jakby spotkała ją jakaś ogromna przykrość. – Nikt o zdrowych zmysłach nie zostawiłby takiego majątku. Zabiorą wszystko. A skoro zabiorą...

– Właśnie. – Zosia spojrzała na siostrę znacząco. – Muszą to rozmontować, zapakować i przewieźć na kolej.

– A taka operacja powinna odbyć się pod nadzorem właściciela – domyśliła się Pola. – Przynajmniej nasz tatko nie spuściłby robotników z oka.

– Tatce zależało na fabryce – westchnęła Julia. – Ten obecny wcale o nią nie dba, więc pewnie nie przyjdzie. Chyba że stanie się jakiś cud.

– Właśnie – zgodziła się Zofia. – Jeśli już ogłoszą ewakuację, dobrze byłoby zacząć obserwować okolicę, żeby ustalić, kiedy zacznie się ruch.

– Ale jak to zrobić? – zastanowiła się Pola. – Szumki są tak daleko. Julciu, dałabyś radę pojechać tam kilka razy? Może doktor...

– Nie waz się wspominać o doktorze. – Julia uniosła ostrzegawczo rękę. – Dla mnie ten człowiek nie istnieje!

Gwałtowna reakcja siostry dawała do myślenia, ale najmłodsza Kellerówna przezornie nie kontynuowała tematu Warlińskiego, gdyż nie chciała, aby rodzinna narada zamieniła się w rodzinną awanturę. Zofia doszła chyba do podobnych wniosków, ponieważ powiedziała: – Nawet we trzy nie damy rady jeździć tam codziennie na zmianę.

– Nie musimy codziennie, przecież wywóz maszyn i tego, co zostało w magazynach, zajmie im co najmniej z tydzień – wtrąciła Pola.

– We trzy? – zapytała Julia. – Nie zamierzasz o niczym wspominać Nince?

– Ninka jest teraz zajęta czym innym – wyjaśniła szybko Zofia, a potem dodała: – Gdybyś nie zauważyła, niedobre małżeństwa unieszczęśliwiają ludzi.

– Mogłabyś zająć się własnymi sprawami?! – Julia, która ostatnie zdanie wzięła do siebie, wbiła w siostrę wściekłe spojrzenie. – Jesteśmy z Andrzejem dobrani! I choćbyś pękła, będziemy szczęśliwi!

Najstarsza siostra była wyraźnie zaskoczona tym wybuchem, zaś w Poli zaczęły kiełkować pewne podejrzenia, odnośnie do tego, co Zosia miała naprawdę na myśli. Mocno ją to zaniepokoiło.

– Rób, co chcesz. Tylko żebyś potem nie płakała.

Jak na osobę, która miała ponoć romans z żonatym mężczyzną, były to nader śmiałe słowa.

– To co zrobimy z fabryką? – zapytała Pola, chcąc rozładować atmosferę, która przez chwilę była tak gęsta, że Balbina bez problemu mogłaby porąbać ją tasakiem.

– Najpierw upewnimy się, czy pogłoski o ewakuacji są prawdziwe. – Zofia szybko podjęła decyzję. – A potem poszukamy najrozsądniejszego rozwiązania.

– Pamiętajcie, że za dwa tygodnie biorę ślub i wyjeżdżam.

– Dobrze. – Najstarsza siostra uśmiechnęła się kpiąco. – Zadepeszujemy w tej sprawie do samego cara.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę – Julia zmrużyła powieki – że już niedługo przestanę cię oglądać.

– Jeszcze za mną zapłaczesz i...

– Przestańcie! – krzyknęła Pola, którą nie wiedzieć czemu przestraszyła ta ostra wymiana zdań. – Bo jeszcze coś powiecie w złą godzinę.

4.

– Dobrze, że przyszedł – powiedziała najmłodsza Kellerówna na widok siostry. – We dwie różnie wracać.

Wybiła właśnie dziesiąta i nawet w maju była to już późna godzina. Zofię od początku niepokoił fakt, że Poli zdarza się pracować na wieczorną zmianę, a potem wracać samotnie do domu, więc kiedy tylko mogła, wstępowała do jadalni. Tym razem jednak nie sprowadziła jej wyłącznie rodzinna troska.

– Mam sprawę do załatwienia – powiedziała, kiedy pożegnały panią Klementynę szykującą się do zamknięcia lokalu i wyszły na Szpitalną. – Chcę, żebyś mi pomogła.

– Dokąd idziemy? – Pola zerknęła na nią z niedowierzaniem wymieszanym z ekscytacją.

Kiedy Zofia przekonywała siostrę, aby wstąpiła do POW, nie przypuszczała, że w tej na pozór spokojnej dziewczynie drzemie taka żądza przygód.

– Musimy coś odebrać.

– To na co czekamy?

Bracką dotarli do alei Jerozolimskiej. O tej godzinie nawet tak reprezentacyjna i leżąca w samym centrum miasta ulica wyglądała prawie

jak wymarła. Nieprzyjemne wrażenie potęgowały wszechobecne ciemności; z powodów oszczędnościowych już jesienią zeszłego roku wyłączono dużą część latarni i nie uruchomiono ich do tej pory. W takich warunkach naprawdę bezpieczniej było chodzić w towarzystwie.

Gdyby Kellerówny planowały iść prosto do domu, skręciłyby w Marszałkowską, ale tym razem minęły skrzyżowanie i poszły dalej aleją; tak brzmiały wytyczne otrzymane przez Zofię w trakcie rozmowy telefonicznej z jednym z członków Oddziału Lotnego. Domyślała się, że w paczce, którą miała odebrać od umówionego człowieka i dostarczyć do „Uranii”, znajduje się broń; żadna inna sprawa nie byłaby taka pilna.

– Posłuchaj... – Ujęła siostrę mocniej pod ramię. Zanim jednak zdążyła powiedzieć coś więcej, dostrzegła patrol żandarmów wychodzący z budynku Dworca Wiedeńskiego.

Przez moment czuła ochotę, aby pociągnąć Polę za sobą, pobiec co sił w nogach i jak najszybciej zniknąć im z oczu. To nie wchodziło jednak w grę – musiała iść spokojnym, wręcz spacerowym krokiem i nie wykonywać żadnych podejrzanych gestów.

Żandarmi zatrzymali się pod jedną z nielicznych działających latarni i wyciągnęli papierosy, a kiedy Kellerówny przeszły obok nich, przyjrzeni się im uważnie. Obie były skromnie, ale porządnie ubrane (krawieckie zdolności Julii okazywały się coraz cenniejsze, bo brakowało pieniędzy na nowe rzeczy), bez cienia makijażu ani innej ostentacji, a na widok stróżów porządku skromnie spuściły oczy. Wyglądały więc na to, czym były – ciężko pracujące dziewczęta powracające w domowe pielesze.

Udało się! Minęły patrol bez kłopotów. Milczały jeszcze przez jakiś czas, a Zofia walczyła z pokusą nakazującą jej obejrzeć się za siebie.

– Posłuchaj – zaczęła po raz drugi, kiedy minęły skręt w ulicę Teodora i uznała, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. – Tu niedaleko, jeszcze przed Żelazną, będzie czekać na nas człowiek. Taki w średnim wieku, w okularach. Z papierosem.

Przewędrowały jeszcze kawałek.

– Ktoś stoi – wyszeptała Pola, która miała bardzo bystry wzrok. – I chyba coś pali.

Mężczyzna, który wyłonił się z ciemności, miał około czterdziestu lat i rzeczywiście nosił okulary. W rogowych oprawkach – Zofia stwierdziła to bez najmniejszych wątpliwości, kiedy stanęła z nim twarzą w twarz.

– Dobry wieczór – zaczęła grzecznie. – Czy pan inżynier Brański?

– Tak, to ja – potwierdził i natychmiast wyrzucił papierosa. – Późno panny przyszły, to już piąty z rzędu, a na co dzień nie palę – wyjaśnił, przydeptywając niedopałek. – Proszę panny za mną. – Nie zaczekał na odpowiedź, tylko natychmiast zawrócił w stronę dworca.

Szedł tak szybko, że dziewczęta z trudem mogły za nim nadążyć. Zofia, choć z racji zadań zleczanych przez Lotny Oddział krążyła po najróżniejszych rejonach miasta, nigdy nie miała okazji poznać dokładniej terenów należących do kolei; wiedziała tylko tyle, że niedaleko za halą dworca i peronami mieszczą się warsztaty. I to właśnie tam mieli się udać.

Mniej więcej na wysokości ulicy Leopoldyny skręcili w lewo, ostrożnie przeszli przez tory i po jakimś kwadransie wędrówki po podkładach i nierównym, wysypanym szutrem podłożu inżynier zatrzymał się przy jednym z niewysokich budynków, następnie rozejrzał się dookoła, chyba bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, otworzył drzwi i dał znak, aby Kellerówny weszły za nim do środka.

W ciasnym pomieszczeniu była elektryczność i na szczęście nawet działała. Zofia zmrużyła powieki, by uchronić się przed ostrym światłem żarówki, i dopiero po chwili dyskretnie zlustrowała otoczenie. W oczy najbardziej rzucały się długie drewniane stoły, prawie uginające się pod przeróżnymi narzędziami niewiadomego przeznaczenia – w przeciwieństwie do młodszych sióstr Zofia nigdy nie interesowała się techniką i Julia często podśmiewała się z niej, że nie potrafi odróżnić młotka od siekiery.

– Panny zaczekają. – Inżynier podszedł do dużego pieca, nieczynnego o tej porze roku, i przez długą chwilę czegoś za nim szukał. W końcu,

nieledwie z triumfem, wyciągnął podłużny przedmiot zawinięty w szary pakowy papier.

Zofia zakłęła w myślach. Nie wiedzieć czemu była pewna, że Brański wręczy im pistolety. Zadziwiające, ale łatwiej było ukryć i przenieść w dowolne miejsce kilkanaście browningów niż jeden mauser, który – jak to mawiała jej doświadczona koleżanka „Marta” – nawet porządnie zapakowany nie chciał wyglądać na nic innego, tylko na karabin.

– Zabierają go panny? – zapytał inżynier, wyraźnie zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem.

– Tak. – Natychmiast ocknęła się z zamyślenia. – Oczywiście.

Rozkaz to rozkaz i nie ma nad czym dumać.

– Poniosę go kawałek, bo trochę waży.

Udali się w przeciwną stronę do tej, z której przybyli, i znowu przez dobre kilkanaście minut kluczyli wśród warsztatów i innych dworcowych budynków gospodarczych, aż wreszcie dotarli do Chmielnej. Zofia odetchnęła swobodniej – znowu znalazła się na doskonale znanym sobie terenie.

– Dalej już nie mogę iść – rzucił inżynier, oddając broń, a potem zawrócił i po chwili zniknął im z oczu.

Zostały same. W środku Warszawy, w nocy, z karabinem ważącym chyba z dziesięć funtów i długim na prawie dwa arszyny.

– Gdzie masz to zanieść? – zapytała Pola, która najwyraźniej uznała, że nadszedł odpowiedni moment, aby wreszcie wykazać nieco inicjatywy.

– Do „Uranii”.

– Biuro jest czynne o tej porze?

– Ależ skąd – jęknęła. – Pójdę tam dopiero jutro.

– A teraz masz jakiś plan? Chyba nie będziemy stać tu do rana z tym... z tym ustrojstwem w garści. – Siostra bez problemu domyśliła się, co takiego kryje tajemnicza paczka.

Co prawda Chmielna była mniejszą i rzadziej uczęszczaną ulicą niż aleja Jerozolimska, ale lada chwila także i tędy mógł przechodzić żandarmski

patrol, który na pewno zwróciłby uwagę na długi, nieporęczny i podejrzanie wyglądający pakunek.

– Niedaleko jest sklep mojego znajomego.

– Czeka na nas?

– Nie zdążyłam go powiadomić. W ogóle nie zdążyłam nic zorganizować.

– W takim razie walenie w drzwi to marny pomysł – skonstatowała Pola.

– Masz lepszy?

– Zabieramy ustrojstwo do domu. Jutro wstaniesz przed wszystkimi i wyniesiesz je chyłkiem, tam gdzie trzeba. A jeszcze lepiej, zawieszysz dorożkę.

– Do domu? Oszalałaś? – niemal wykrzyknęła Zofia. – Jak ciotka to zobaczy, dostanie apopleksji. Nie może się dowiedzieć dla swojego własnego dobra!

– Babcia się domyśla, że tkwimy w tym obie – wpadła jej w słowo Pola. – Może będzie nas kryła przed ciocią.

– W takim razie idziemy.

– Do domu?

– Chyba nie mamy wyjścia.

– Pomóc ci nieść?

– Idź obok mnie, od ulicy. I patrz, czy nie widać żandarmów. Jak się zmęcę, zrobimy zmianę.

Spokojnie ruszyły w stronę Marszałkowskiej, a potem skrzyły w Wielką, którą mogły – nomen omen – prosto jak strzełił dotrzeć do swojej kamienicy.

Odległość, jaką miały do pokonania, była naprawdę niewielka, więc przy odrobinie szczęścia powinny uniknąć kłopotów. O tym, co nastąpi, kiedy wniosą do mieszkania podejrzany bagaż, Zofia wołała nie myśleć.

– Ktoś jedzie – rzuciła Pola półgłosem. – Słyszysz?

Rzeczywiście, stukot końskich kopyt stawał się coraz głośniejszy, więc niewiele myśląc, ukryły się w bramie najbliższego domu, która akurat tonęła w ciemności. Obok nich przetoczyła się pusta dorożka. Sądząc po odgłosach, podążała za nią jeszcze jedna. Czekały więc dalej.

– Może powiemy, że to modny karnisz do kuchni? – wyszeptała nagle młodsza siostra. – I że kupiliśmy go Nince na imieniny?

– Ninka ma imieniny dopiero za miesiąc – mruknęła Zofia, przyciskając się mocniej do ściany, bo właśnie mijał je drugi pojazd, w którym dla odmiany siedziało kilka osób. – Stanisław niedawno świętował. Taki prezent pewnie przypadłby mu do gustu. Z czego się śmiejesz, głupia?

– Wyobraziłam sobie jego minę – chichotała Pola. – Ciekawe, co by było, gdyby nas z tym zobaczył. Choć prawdopodobnie też się domyśla.

– Polka, przestań straszyć. – Zofia zdenerwowała się nie na żarty.

– Jemu można zaufać.

– Mówiłaś to samo o Tarłowskim.

– Nic nie poradzę – siostra zachichotała znowu – że obaj są porządni jak rzadko.

– Zazdroszczę ci tej pewności, bo ja takiej nie mam. Ninka pewnie też... Chodźmy, dopóki pusto. – Mocniej uchwyciła pakunek i wyszła z bramy na chodnik.

Przez kolejne kilka minut wędrowały tuż przy samym murze, skryte w mroku, co było o tyle proste, że na tym odcinku Wielkiej paliły się trzy latarnie na krzyż. Z duszą na ramieniu minęły kilkoro przechodniów, którzy wyrosli przed nimi tak nagle, że nie zdążyły znaleźć kryjówek. Na szczęście nikt nie zwrócił na nie uwagi – ani trzy kobiety zapewne powracające z pracy, ani dwóch podchmielonych jegomościów. Nie włókł się też za nimi żaden ogon. Jeszcze tylko kawaleczek i będą u celu...

Kiedy wreszcie stanęły pod bramą kamienicy, Zofia poczuła, ile zdrowia kosztowała ją ta wyprawa. Już zamierzała odetchnąć z ulgą, lecz Pola spojrzała na nią w taki sposób, jakby chciała przeświecić na wylot, i

półgłosem zapytała: – Mogłabyś mi wyjaśnić, czemu Ninka miałaby wątpić w uczciwość Stasia?

Doprawdy, smarkata znalazła sobie odpowiednią porę i miejsce na poważne rozmowy o cudzych problemach.

- Nie marudź, tylko wezwij stróża, niech otwiera.
- Wezwę, ale obiecaj, że odpowiesz mi na podwórzu.
- Czemu to takie ważne?
- Chcę dla Ninki jak najlepiej.
- A myślisz, że ja nie? Wzywaj stróża i nie dyskutuj.

Młodsza mruknęła coś pod nosem i szarpnęła za uchwyt dzwonka. Stróża Walerego, który wyszedł ze swojego mieszkania po kilku okropnie dłużących się minutach, nie zdziwił widok młodych lokatorek. Obie zdążyły przyzwyczaić go do powrotów o dziwnych porach.

– Dobry wieczór – powiedział, otwierając im furtkę na całą szerokość. Był trochę podpity, więc nawet nie spojrzał na pakunek.

– Całkiem znośny, panie Walery – odparła z uśmiechem Pola. – Dziękujemy bardzo. – Wsunęła mu do ręki kilka monet.

W milczeniu minęły bramę i zatrzymały się dopiero przy drzwiach wiodących na główną klatkę schodową.

– Tędy nie idziemy – zdecydowała Zofia. – Lepiej od kuchni. Może dam radę – spojrzała na karabin – upchnąć to gdzieś w kuchni, zanim ciotka się zorientuje.

– Najpierw mów, co obiecałaś. Inaczej się stąd nie ruszę.

Pola z wiekiem stawiała się coraz bardziej uparta; jeszcze kilka lat, a będzie gorsza niż Julia. Zaiste wyglądało na to, że Zofia wyhodowała potwora na własnej piersi.

– Co mam powiedzieć? – zapytała z rezygnacją, ostrożnie opierając karabin o mur. – Że od początku miałam rację? Ninka powinna była unieważnić ślub. Na wiorstę widać, że oboje męczą się ze sobą.

– Dziwne rzeczy opowiadasz – rzuciła Pola, mrużąc powieki. – Oni przecież...

– Nie ma w tym nic dziwnego. – Zofia niecierpliwie wpadła siostrze w słowo. – Ninka wyszła za mąż z litości i teraz żałuje. Właśnie tak mu powiedziałam. Chodźmy wreszcie, głowa mi pęka.

– Stój. – Młodsza chwyciła ją za rękę. – I nie migaj się, tylko mów dalej!

– Pamiętasz, jakie Stanisław miał zimą humory? I jak się ciągle kłócili?

– Ale przecież to nie było naprawdę. Oni tylko... To przez jego chorobę.

– Tak uważasz? – rzuciła kpiąco. – Mnie wydawało się zupełnie inaczej. Dlatego poszłam do niego, jak nie było Ninki...

– Do Stasia?

– A do kogo? Przecież nie do cara Mikołaja. I kazałam mu natychmiast się uspokoić.

– Ninka mówiła przecież, że nie przeszkadzają jej te kłótnie.

– Czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby naszej siostrze coś przeszkadzało? Ale na Boga, litość i poczucie obowiązku też mają jakieś granice.

– Powiedziałaś Stasiowi, że Ninka jest z nim z litości i obowiązku?! – W głosie Poli pobrzmiwały groźne tony, których Zofia nie słyszała nigdy wcześniej.

– Po naszej rozmowie zaraz się uspokoił – odparła. Nie wiedzieć czemu, nie umiała przyznać się wprost, że i owszem, krótko oraz treściwie wyłożyła szwagrowi kawę na ławę.

– A to nie dziwi, bo akurat dostał zapalenia płuc. I znów o mało nie umarł.

– To już nie moja wina... Polciu – dodała szybko, widząc, że młodsza znowu otwiera usta – może jeszcze nie rozumiesz, ale w małżeństwie nie ma miejsca na kłamstwa i udawanie. Albo jest miłość, albo jej nie ma.

– Od kiedy taka z ciebie specjalistka od małżeństw? – Siostra zmrużyła powieki. – Romans z żonatym mężczyzną, to za mało, żeby ferować wyroki.

– Skąd... – Zofii na chwilę odebrało mowę.

– Jeszcze tego nie zauważyłaś? Chyba wszyscy o tym wiedzą.

– Ja i Janek to co innego, bo my...

– Tak, zupełnie co innego – przerwała jej bezlitośnie siostra. – Wy tylko zdradzacie i kłamiecie, a oni... Na miłość boską, nie wiem, czy Ninka kiedyś ci wybaczy.

– Pola! – Zofia chwyciła siostrę za ramię i przyciągnęła do siebie. – Posłuchaj...

Nie zdążyła jednak powiedzieć nic więcej, bo właśnie ktoś zadzwonił na stróża. Odskoczyły od siebie gwałtownie i spojrzały w stronę bramy. Po chwili z ciemności wyłoniła się Klara, która tego dnia też najwyraźniej pracowała do późna. Najstarsza Kellerówna na widok ciotki zakłęła w myślach; przez fochy siostry zmarnowała doskonałą okazję ukrycia karabinu.

– Dziewczęta? Co tu robicie? – Klara zdziwiła się na ich widok.

– Uważaj, mdleję. – Zofia usłyszała szept Poli, która mimo wszystko zachowała zimną krew. – Zajmę ją, a ty kombinuj, co z ustrojstwem.

ROZDZIAŁ IV

I.

– Wróciły – powiedziała Pola od jakiegoś czasu obserwująca zza firanki bramę kamienicy. – Ale nie same.

– Jak to: nie same? – zapytała szybko Nina.

Chętnie zerwałaby się z miejsca i podbiegła do okna, ale nie chciała pokazać mężowi, jak bardzo się niepokoi, co wyniknie z wizyty, którą ciotka i babcia postanowiły złożyć pani Amelii Osnowskiej. Stanisław też wyglądał na przejętego.

– Dwie damy... – dodała po chwili Pola, prawie przyklejając twarz do szyby. – To, jak sądzę, twoje babcie. – Spojrzała na szwagra. – Pewnie chciały natychmiast cię zobaczyć. A to chyba dobry znak.

Mąż pobladł. Nina miała ochotę wziąć go za rękę, aby dodać mu odwagi, ale nie śmiała tego zrobić – ostatnio oddalił się od niej jeszcze bardziej. Uświadomiła sobie nagle, że przecież dostał już rozkaz i za kilkanaście dni wyjedzie na front. Rozstaną się na zawsze. Nie oznacza to, że Stanisław weźmie z nią rozwód; zbyt wysoko ceni sobie przysięgę złożoną przed Bogiem oraz opinię przełożonych, ale nikt ani nic nie zmusi go, aby po wojnie dzielił życie z kobietą, której nie kocha – jako mężczyzna mógł sobie pozwolić na taką ekstrawagancję.

Usiadł przy stole i swoim zwyczajem wbił łokcie w blat, a potem ukrył twarz w dłoniach.

Nina spoglądała na niego z obawą. Wiedziała, że nie powinna się nad nim trząść, ale przyzwyczajenie ostatnich miesięcy wciąż brało górę.

„Wszystko przez to, że zamiast jego żoną, byłam pielęgniarką” – pomyślała z goryczą.

Drzwi wejściowe zamknęły się z trzaskiem i po chwili do salonu szybkim krokiem weszła dama mniej więcej w wieku babci Adeli. Szczupła, starannie ubrana i uczesana, ze śladami wielkiej urody na twarzy. Niewątpliwie była spokrewniona ze Stasiem – podobieństwo natychmiast rzucało się w oczy.

– Dzień dobry. – Osnowska oglądała kolejno osoby zebrane w salonie. Wreszcie zatrzymała spojrzenie na mężu Niny i jedną ręką uchwyciła się oparcia krzesła, a drugą uniosła do piersi. Patrzyła na Stanisława w taki sposób, jakby nie wierzyła własnym oczom, i wyraźnie była bliska łez.

– Edward... – zaczęła wreszcie zduszonym głosem. – Matko Boska. – Podeszła do cudem odnalezionego krewnego, wciąż nie spuszczać z niego wzroku. – Naprawdę jest pan... Wyglądasz jak twój dziadek! – Chwyciła go w objęcia, a Stanisław, skonfundowany tym powitaniem, też ją objął.

– Ależ tu wysoko. – Do pokoju, sapiąc głośno, weszła druga dama, zapewne pani Burzyńska. Nieco starsza, tęższa i choć podobna do siostry, to zdecydowanie mniej subtelnej urody. – Pokaż się, chłopcze. – Podeszła bliżej i podniosła do oczu staroświeckie lorgnon. – Jezu Chryste, skóra zdjęta z Edwarda! Nic dziwnego, że tak mnie przestraszyłeś.

– Zostawimy was samych – powiedziała babcia Adela, która z trudem ukrywała wzruszenie. – Balbina zaraz poda herbatę.

Dyskretnie wyszła z salonu, a ciocia Klara i Pola poszły w jej ślady. Nina, pewna, że mąż chce porozmawiać z babkami na osobności, zamierzała zrobić to samo, ale kiedy ruszyła w stronę drzwi, Stanisław, który zdołał już wyplątać się z objęć pani Osnowskiej, chwycił ją za rękę; miał lodowato zimne palce.

– To Nina – powiedział z dumą. A może tak się jej tylko wydawało. – Moja żona.

Obie damy natychmiast odwróciły się w jej stronę. Pani Burzyńska znowu uniosła lorgnon i zmierzyła ją chłodnym wzrokiem; nie było

wątpliwości, że nie jest zachwycona osobą małżonki wnuka.

– Ile masz lat, drogi chłopcze? – Dama przeniosła spojrzenie na Stanisława.

– Ósmego maja skończyłem dwadzieścia cztery.

– I tak się spieszyłeś do ślubu?

– Twój Janusz, świętej pamięci, był dokładnie w tym samym wieku, kiedy żenił się po raz pierwszy – rzuciła z przekąsem Osnowska. – I źle na tym nie wyszedł.

– Za to dużo gorzej na drugim małżeństwie – mruknęła pod nosem Burzyńska. Chyba chciała powiedzieć coś jeszcze, ale umilkła pod karcącym spojrzeniem pani Amelii; ewidentnie czuła respekt przed młodszą siostrą. Nic dziwnego, Osnowska prezentowała majestat nieledwie królewski.

Balbina przyniosła herbatę i kruche ciastka, a kiedy wyszła, obie damy zasiadły za stołem. Nina spojrzała najpierw na nie, a potem na Stanisława i powiedziała: – Nie będę państwa krępować. Proszę rozmawiać swobodnie.

Unikając wzroku męża, wyszła na korytarz i ruszyła w stronę pokoju, w którym kiedyś mieszkała z Zosią. Musiała się uspokoić, pozbyć złych myśli, podpowiadających jej bezlitośnie, że skoro mąż znalazł rodzinę, już teraz przestanie jej potrzebować. Ona zaś nie wyobrażała sobie życia bez niego.

– Dlaczego wyszłaś? – zapytała babcia, która akurat wyjrzała ze swojej sypialni. – Powinnaś zostać. W końcu to także twoja rodzina. Niech się przyzwyczajają.

– Nie chciałam przeszkadzać. Mają sobie tyle do powiedzenia. A ja... – zawahała się na moment. – Czuję, że się nie spodobałam.

– Komu?

– Pani Burzyńskiej.

– Oktawii?! – prychnęła Adela. – Ona miałaby zastrzeżenia nawet do wielkiej księżnej.

Nie urodziła się jeszcze taka panna, która byłaby godna mężczyzny z jej rodziny. Prawie zamęczyła dwie synowe. Notabene ta druga to córka Amelii.

– Pani Amelia wydaje się miła – powiedziała Nina.

– I będzie miła – babcia uśmiechnęła się krzywo – dopóki nie zrobisz czegoś wbrew jej woli. Nie przejmuj się żadną z nich.

– Tak babcia uważa?

– Staś nie pozwoli, żeby weszły ci na głowę. Jesteś jego żoną i to na tobie najbardziej mu zależy.

Nina pomyślała, że oddałaby bardzo wiele, aby słowa babci Adeli miały coś wspólnego z rzeczywistością.

2.

W pokoju rytmicznie terkotała maszyna do szycia, a to oznaczało, że przyszła panna młoda jest zajęta szykowaniem swojej sukni. Co prawda ciocia Klara przebąkiwała ostatnio, że samodzielne szycie ślubnego stroju przynosi pecha, ale Julia nie zamierzała przejmować się żadnymi przesądami – powtarzała, że nie stać jej na doskonałą krawcową, a byle jakiej nie chce, więc poradzi sobie sama.

Pola nie miała ochoty przyglądać się jej bojom z jedwabną materią i koronkami, więc poszła do salonu, gdzie babcia czytała właśnie gazety. Nie chcąc przeszkadzać, bez słowa usiadła na sofie i sięgnęła po najnowszy numer „Kuriera Warszawskiego”. Przejrzała ogłoszenia, a potem zajęła się lekturą artykułu opisującego biedę panującą obecnie w Niemczech; korespondent gazety twierdził, że racjonowano tam chleb i że w takim Stuttgarcie na jednego obywatela przypada zaledwie piętnaście gramów białego pieczywa na dzień. A kupić można je wyłącznie za okazaniem specjalnych kuponów.

„Straszne – westchnęła w duchu – czy u nas też do tego dojdzie?”

Odłożyła pismo, bo nie mogła dłużej skupić się na czytaniu. Może dlatego że od kilku dni martwiła się o Ninę. Nieustannie wracała myślami

do tego, co usłyszała od Zofii, i nie mogła zdecydować, czy opowiedzieć o wszystkim ofierze źle pojętej siostrzanej troski.

– Ostatnimi czasy w tym mieście ginie bardzo dużo psów – odezwała się nagle babcia, odkładając na stolik „Kurier Poranny” – a najwięcej foksterierów. Plaga jakaś czy co?

– Najwyraźniej – odparła.

Jej te psie ogłoszenia wcale nie dziwiły. Wiedziała, że są to zaszyfrowane wiadomości dla dowództwa Legionów; sytuacja na froncie uniemożliwiała kurierkom podróże, więc sekcja wywiadowcza POW chwytła się coraz to nowych sposobów.

– Czy Nina i Staś poszli z wizytą do pani Osnowskiej?

– Staś poszedł – odpowiedziała Adela w zamyśleniu – ale Ninka została w domu. Myślałam, że do nas zajrzy, ale chyba nie zamierza.

– Może źle się czuje.

– Myślę, że lepiej sprawdzić.

Starsza dama najwyraźniej też niepokoiła się o wnuczkę. Trudno było nie zauważyć, że ostatnie wydarzenia dobrze wpłynęły na Stanisława, ale jego żona zrobiła się smutniejsza i jeszcze bardziej wycofana. Cóż, Amelia i Oktawia były władczyimi i absorbującymi kobietami i mogły wzbudzić lęk. Babcia Adela umiała sobie z nimi radzić, ale Nina nie miała żadnych szans w tej konfrontacji, więc wycofała się taktownie, pozwalając mężowi cieszyć się do woli urokami posiadania rodziny.

– Ma babcia rację – powiedziała Pola. – Pójdę do niej.

Nie zwlekając, powędrowała do kuchni, gdzie przyjemnie pachniało rosołem: Balbina szykowała obiad na jutro z cudem zakupionego koguta, który był ponoć tak wiekowy, że jako człowiek chodziłby już o lasce. Wymagał więc odpowiednio długiego gotowania.

Tylnymi schodami weszła na trzecie piętro. Zapukała do mieszkania siostry i szwagra, ale nie usłyszała zaproszenia. Nieco tym zaniepokojona nacisnęła na klamkę. Otwarte. Bez namysłu weszła do środka i zatrzymała się zaraz za drzwiami, w kuchni o wiele mniejszej niż ta piętro niżej.

– Nina, gdzie jesteś?

Siostra nie odpowiedziała, więc najmłodsza Kellerówna wyszła do holu i wtedy usłyszała jakieś odgłosy dochodzące z głębi mieszkania. Szybko zrozumiała, że to zduszony płacz.

Pobiegła natychmiast do sypialni i ujrzała tam siostrę, która szlochała rozpaczliwie wtulona w poduszki. Pola przeżyła prawdziwy wstrząs – nigdy nie widziała płaczącej Niny. Widok zabeczanej Julii albo Zofii, która niegdyś reagowała lamentem na wszelkie zakazy, nie byłby czymś nowym. Ona sama też potrafiła wybuchnąć łzami niczym fontanna, ale Nina... Nina zawsze była opanowana. Nawet po śmierci mamy, a potem tatki nie pozwalała sobie na rozpacz, tylko pocieszała wszystkich dookoła. Przez chwilę Pola miała wrażenie, jakby jeden z filarów jej świata runął bezpowrotnie, ale i tak wiedziała, że nie może zostawić siostry samej.

– Co się stało? – Usiadła na łóżku. – Ktoś ci coś zrobił?

Nina zerwała się z poduszki i błyskawicznie wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Nie... nie słyszałam, jak weszłaś – wykrztusiła z trudem, pociągając nosem. – Ja tylko...

Nie płaczę. Wcale.

– Przecież widzę – odparła łagodnie, sięgając po chusteczkę do szuflady sypialnianej szafki. – Co się stało? Możesz mi powiedzieć.

Siostra wytarła oczy i nos, a potem oparła się o ścianę ozdobioną wełnianym dywanem i spuściła głowę. Widać było, że powstrzymuje łkanie, bo jak zawsze próbuje robić dobrą minę do złej gry. Pola jakiś czas temu zamierzała brać z niej przykład, ale zachowywanie spokoju w świecie pełnym nieszczęść i tragicznych wydarzeń przerosło jej możliwości. Nince jakimś sposobem się udawało. Jak widać – do czasu. I chyba płaciła ogromną cenę za swoje opanowanie.

– Nie wyjdę stąd, dopóki nie powiesz.

– To nic... nic ważnego.

– Nie musisz męczyć się sama.

Nina znowu wybuchnęła płaczem. Pola nie wiedziała ani co zrobić, ani co powiedzieć, więc przytuliła siostrę do siebie i zaczęła delikatnie głaskać ją po głowie, a serce krajało się jej przy tym na kawałki.

– Nie mogę już. Nie wytrzymam... Staś...

– Tak? – dopytała łagodnie. – Co zrobił?

– On mnie... On mnie nie chce. Wiedziałam... od początku wiedziałam, że tak będzie.

Męczy się ze mną! – Rozpląkała się jeszcze bardziej, a Poli ze zdenerwowania zakręciło się w głowie.

– Powiedział wprost, że cię nie chce?

– Przecież widzę. Staralam się, ale... Zostawi mnie... Nie wróci po wojnie.

– Nie może być tak źle. Może jeszcze nie doszedł do siebie? Przecież tyle chorób na niego spadło.

– Wojsko chce go z powrotem.

– Wojsko chce wszystkich, którzy mogą udźwignąć broń.

– Polciu. – Siostra spojrzała na nią zażawionymi oczami. – Wiem, kiedy ktoś o mnie nie dba. Nie pamiętam, kiedy mnie dotknął.

– Kochasz go? – zapytała szybko, speszona faktem, że rozmowa zbacza na tematy, o których nie miała nic do powiedzenia; chyba wolałaby tego nie słuchać.

Ninka kiwnęła głową i znowu utonęła w łzach. Ona zaś zazgrzytała w myślach zębami; gdyby miała teraz Zośkę w zasięgu rąk, udusiłaby ją bez litości. Nie mogła bowiem pozbyć się wrażenia, że postępek, z którego najstarsza siostra była taka dumna, przyniósł więcej szkody niż korzyści.

Zmęczona płaczem Ninka wreszcie zasnęła. Pola okryła ją ostrożnie kołdrą i z czułością pogłaskała po głowie. W przeciwieństwie do Zosi nie uważała, że ma prawo mówić ludziom, co jest dla nich najlepsze, ale w tej sytuacji naprawdę musiała coś zrobić.

Przyszło jej oczywiście do głowy, żeby opowiedzieć o wszystkim babci, która na pewno znalazłaby rozwiązanie problemu. Najprawdopodobniej wezwałaby Stanisława przed swoje oblicze i nie cackając się z nim, przypomniawszy, co takiego obiecywał i jak się zaklinał, kiedy po raz pierwszy odwiedziły go w szpitalu.

Ona zaś uważała, że sprawę należy załatwić delikatniej, a już na pewno bez stawiania nikogo pod ścianą. Szwagier naprawdę przeszedł swoje, a do tego nic nie wskazywało, aby zamierzał opuścić żonę z własnej woli. Dbał o nią i korzystając ze swojego wojskowego statusu, starał się, aby nic jej nie zabrakło, z czego przy okazji czerpała profity cała rodzina. Był dla wszystkich uprzejmy i serdeczny, ale też często smutny i przygnębiony. Pola dałaby dużo, aby dowiedzieć się, co właściwie sobie myślał, i poznać jego wersję wydarzeń.

A gdyby tak zapytać go wprost?

Pomysł, choć nader zuchwały, nie wydawał się wcale taki zły. Lubiała Stanisława, a on niewątpliwie lubił ją, często ze sobą rozmawiali na różne tematy, więc może zdołałaby go przekonać, żeby powiedział jej prawdę. Czy to poważne przeszkody, które z takim trudem pokonali, zniszczyły rodzące się między nimi uczucie? Czy też była to wina mijających się z prawdą opowieści Zofii? A może chodziło o jeszcze coś innego?

Nina oddychała równo, a jej policzki wreszcie nieco się zaróżowiły, więc Pola uznała, że może zostawić ją samą i zabrać się do rozwiązywania zagadki. Skoro już postanowiła, że się wtrąci, musi zrobić to jak najszybciej – zanim straci całą odwagę.

Starając się nie narobić hałasu, zamknęła za sobą drzwi i wróciła na górę.

– U Niny wszystko w porządku? – zapytała babcia, kiedy tylko ją spostrzegła.

– Ma migrenę. Dałam jej aspirynę i trochę z nią posiedziałam. Teraz śpi. A ja... przepraszam, muszę wyjść na chwilę.

Adela spojrzała na nią wyczekująco, najwyraźniej spodziewała się dokładniejszych wyjaśnień, ale Pola postanowiła zachować swoje plany w tajemnicy.

Inna sprawa, że wciąż czekała, kiedy babcia zacznie rozmowę na temat jej współpracy z Zofią. Kiedy wynikła tamta sprawa z karabinem, zemdląła tak przekonująco, że zaaferowana ciotka Klara nie zauważyła dziwnej paczki, a Balbina, przyzwyczajona do najróżniejszych pomysłów pańienek, nie dociekała, co takiego ukryto w kuchennej wnęce. Za to babci, jak zwykle, nic nie umknęło. Dopóki jednak milczała, Pola postanowiła udawać, że nic się nie dzieje. Tak było prościej.

Przeczesała włosy, włożyła żakiet, starannie wygładziła kołnierzyk bluzki, przypięła kapelusz i już była gotowa do wyjścia. Zamierzała zaczekać na szwagra na dole i zamienić z nim kilka słów, zanim zdąży wejść do domu.

– Kiedy wrócisz? – zawołała babcia.

– Niedługo. – Pola zajrzała do salonu. – Na pewno przed kolacją.

Zbiegła na parter, szybkim krokiem przemierzyła wąską klatkę schodową i wyszła na zewnątrz.

„I co teraz?” – pomyślała i rozejrzała się dookoła.

Stanisław powinien niedługo się pojawić, ponieważ zawsze wracał na kolację. Spacer w tę i z powrotem przed bramą na ulicy wyglądałyby co najmniej podejrzanie, więc musiała zaczekać tutaj albo cofnąć się do środka i przycupnąć na którymś ze stopni. Akurat to ostatnie wcale się jej nie uśmiechało – kuchenne schody, choć często sprzątane, zawsze były pełne piachu i przeróżnego śmiecia.

Miała szczęście, ponieważ ledwo zdążyła zakończyć układanie przemówienia, które zamierzała wygłosić szwagrowi, dostrzegła w bramie jego zgrabną sylwetkę. W zamyśleniu skierował się prosto do kuchennej klatki. Polę dopadł nagle paraliżujący strach; poczuła, że nie odważy się

rozmawiać z nim na tak osobiste tematy. Nie mogła jednak uciec, bo Stanisław właśnie ją zauważył.

– Pola? Co tu robisz?

„Raz kozie śmierć”. Wzięła głęboki oddech i desperacko rzuciła: – Czekam na ciebie.

– Na mnie? – Stanisław najpierw się speszył, a zaraz potem przestraszył.
– Coś z Ninką?

A więc wyciągnęła właściwe wnioski: niepokój w głosie szwagra świadczył o tym, że żona na pewno nie jest mu obojętna.

– Chciałabym porozmawiać – zaczęła drżącym głosem, gdyż nie zdołała całkowicie opanować nerwów. – Może przejdziemy się do Ogrodu Saskiego? Nie musisz spieszyć się do domu, Ninka śpi – dodała, widząc jego wahanie.

– Dobrze. Skoro uważasz, że to ważne.

– Tak, to ważne.

– W takim razie chodźmy. – Szarmancko podał jej ramię.

Wyszli na Wielką i wolnym krokiem ruszyli w stronę placu Grzybowskiego, nad którym górował kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Po kolejnych kilku minutach dotarli do bramy Ogrodu Saskiego, gdzie można było spokojnie pospacerować bez zwracania niczyjej uwagi. Choć Pola, znając swoje szczęście, była pewna, że zaraz spotka którąś z licznych przyjaciółek ciotki Klary i będzie musiała tłumaczyć, czemu bezwstydnie afiszowała się w parku z mężem siostry. Od Stasia ciotka oczywiście nie odważy się zażądać wyjaśnień.

– Mam nadzieję, że wizyta u pani Amelii była udana? – zapytała, chcąc jakoś rozpocząć konwersację.

Szwagier uśmiechnął się łobuzersko. Patrząc na niego, pomyślała, że dopiero teraz, kiedy naprawdę wydobrażał, widać, jak bardzo jest przystojny; musiała z zakłopotaniem przyznać, że nawet z blizną na twarzy prezentował się lepiej od Witolda.

– Babka Oktawia zdradziła mi w tajemnicy, że mam trzy ciotki – zaczął konfidencyjnym tonem – z których żadna nie jest godna zawrzeć ze mną znajomości. A także kuzynkę, która idąc za złym przykładem jednej z tych ciotek, skończyła medycynę. Babcia Adela miała rację, że pochodzę z ciekawej rodziny... Ale chyba nie o tym chciałaś ze mną rozmawiać, prawda?

Mijali akurat stójkowego, więc Pola jeszcze nie zdecydowała się odezwać. Zrobiła to dopiero, kiedy wyszli na szeroką zacienioną aleję wiodącą w stronę fontanny. Niestety, nie pamiętała nawet słowa ze swojej szumnej przemowy. Musiała improwizować.

– Przepraszam za to, co zaraz powiem, ale... Uznałam, że ktoś powinien.

Stanisław zatrzymał się w miejscu tak gwałtownie, że przestraszona puściła jego ramię.

Pobladł, a z jego twarzy zniknęła cała wesołość.

– Chcesz mnie uświadomić, że Ninka jest ze mną z litości? – zapytał zmienionym głosem.

– I że mam pozwolić jej odejść? Bo się męczy w małżeństwie. W takim razie spóźniłaś się, ktoś już to zrobił. I bez obaw, zostało tylko...

– Staś! – Z trudem zdołała wbić mu się w słowo. – Nie gadaj bzdur i posłuchaj. – Złapała go za rękę i mocno ścisnęła.

Umilkł i spojrzał na nią tak bezradnie, że poczuła ukłucie w sercu. Znowu nabrała ochoty, aby zamordować najstarszą siostrę.

– Zofia naopowiadała ci głupot. – Przeszła od razu do sedna, a szwagier otworzył usta, ale nie powiedział słowa, tylko patrzył na nią z niedowierzaniem. Rozejrzała się nerwowo. – Chodź.

– Pociągnęła go za sobą. – Nie możemy sterczeć na środku parku, bo już na nas patrzą. Jeszcze tylko brakuje, by do Ninki dotarło, że zdradzasz ją ze mną.

Skreśliła w najbliższą boczną uliczkę, a Stanisław posłusznie szedł za nią; myślał o czymś bardzo intensywnie. Dobrze wreszcie do wolnej ławki stojącej w przyjemnym cieniu, a kiedy uznała, że to dobre miejsce do

rozmowy, usiadła w taki sposób, aby krzaki zasłoniły ją przed wścibskimi spojrzeniami ludzi spacerujących główną aleją.

– Nie chcę być dla Ninki ciężarem – rzucił ponuro szwagier, zajmując miejsce obok niej.

– Bo co ona ma ze mną? Same problemy. Jak nie jestem ranny, to nieprzytomny od morfiny albo chory. Taki ze mnie mąż jak z koziej brody order. Nie dziwię się, że zabrakło jej cierpliwości.

Może gdyby mnie kochała, dałaby mi jeszcze szansę... Ale i tak będzie musiała mnie wypędzić, bo sam nie odejdę.

Najwyraźniej potrzebował wyrzucić z siebie to, co nazbierało się przez ostatnie miesiące.

Z natury był pogodny, otwarty na ludzi i lubił dużo mówić, więc duszenie w sobie żalu i niepewności musiało kosztować go bardzo dużo.

– Nina cię nie kocha? – rzuciła z westchnieniem. – Dawno nie słyszałam śmieszniejszej opowieści.

– Zofia powiedziała...

– Dlaczego jej uwierzyłeś?!

– Miałbym nie wierzyć siostrze żony? – Spojrzał na nią ze zdumieniem. – Myślałem...

Wtedy zachowywałem się okropnie. Wszystko mnie denerwowało. Pomyślałem, że Nina poskarżyła się Zofii i wcale... wcale nie byłem zdziwiony.

– Nina nigdy się nie skarży ani o sobie nie opowiada. A dziś pierwszy raz widziałam, jak płacze. Nie płakała po śmierci mamy. Ani tatki. A ty doprowadziłeś ją do łez. Unikasz jej, odpychasz od siebie. Co miała pomyśleć? Że tylko czekasz, żeby uciec od niej na front.

– Dobry Boże... – mruknął Stanisław, a jego mina sugerowała, że gdyby nie towarzystwo damy, użyłby zupełnie innych słów.

– Zofia nigdy nie rozumiała Ninki. Naopowiadała ci bajek, w które sama pewnie wierzy.

Ale nie ma w nich słowa prawdy.

- Gdybym wiedział... Powinienem być porozmawiać z tobą.
- Przede wszystkim powinieneś być porozmawiać z Ninką.
- To nie takie proste – odparł, unikając jej wzroku.
- Porucznik z orderem za męstwo boi się własnej żony – rzuciła żartobliwie, aby choć odrobinę rozładować atmosferę.
- A żebyś wiedziała. – Wreszcie uśmiechnął się lekko. – Z tobą rozmawia się jakoś łatwiej i spokojniej.
- Im bardziej na kimś nam zależy, tym trudniej powiedzieć mu prawdę.
- Sama nawet na torturach nie wyznałaby Witoldowi, jaki jest dla niej ważny.
- W każdym razie rozum do głowy wbijas doskonale... Dziękuję. – Uścisnął jej rękę. Nie był już zdenerwowany, tylko jakby trochę zagubiony.
- Może wrócimy? – zaproponowała, wstając z ławki. – Zaraz będzie kolacja.
- Jeśli możesz, idź sama – poprosił. – Nie zdążyłem zgłodnieć po podwieczorku, a poza tym muszę się zastanowić.
- Kiwnęła głową. Rozumiała, że chciał przemyśleć informacje, które właśnie usłyszał, i nie miała wątpliwości, że kiedy już to zrobi, pozalátwia sprawy tak, aby i on, i Ninka zaznali trochę szczęścia, zanim rozstaną się na długi czas.

4.

- Dziękuję bardzo. – Julia zanurzyła twarz w płatkach pąsowych róż, które pachniały tak samo słodko jak tamte, które jeszcze w zeszłym roku kwitły w ogrodzie ich willi. – Przepiękne.
- Gdzie pan takie znalazł?
- Pozwoli pani, że to pozostanie moją tajemnicą. – Andrzej posłał jej uroczy uśmiech, który tak uwielbiała; gdyby uśmiechał się inaczej, być

może zwróciłaby na niego uwagę o wiele później. – Zasluguje pani na wszystko, co najpiękniejsze. – Szarmancko ucałował jej dłoń, a potem spojrział w taki sposób, że się zaczerwieniła.

Nie pozwalał sobie na nic więcej. Kiedy jeszcze przed wojną widywali się na balach i przyjęciach, niekiedy zachowywał się zuchwale, ale teraz najwyraźniej chciał, aby wszystko odbyło się w zgodzie z tradycją i dobrymi obyczajami. Najpierw zaręczyny i ślub, a dopiero potem małżeńskie poufałości. Szanował ją tak, jak na to zasługiwała przyszła żona. W odróżnieniu od Warlińskiego, który nie zważając na nic, natychmiast brał się do całowania.

– Zapraszam pana na kolację – powiedziała, mrugając kokieteryjnie. Miała wrażenie, że czas się cofnął, i była z tego powodu naprawdę szczęśliwa.

W salonie za stołem siedziała babcia, ciotka oraz Pola. Julia omiotła wzrokiem półmiski i z zadowoleniem stwierdziła, że Balbina stanęła na wysokości zadania i z okazji wizyty Andrzeja podała wszystko, co miała najlepszego.

– Dobry wieczór. – Narzeczonemu ukłonił się paniom. – Cieszę się, że jestem z powrotem.

– Ależ piękne róże. – Ciotka złożyła ręce jak do modlitwy. – Balbino! – zawołała. – Przynieś wazon z wodą!

– Proszę, niech pan usiądzie – powiedziała babcia. – Rozumiem, że zostaje pan w Warszawie aż do ślubu?

– To jeszcze długie dwa tygodnie – odparł z westchnieniem, zajmując miejsce obok Julii.

– Mam kilka handlowych spraw do załatwienia, a pojutrze wracam na wieś. Przyjadę na dzień przed uroczystością.

Balbina wniosła do pokoju ręcznie malowany porcelanowy wazon, który należał jeszcze do prababci Kellerowej, i ustawiła go na komodzie. Szczęśliwa narzeczona poderwała się z krzesła i zaczęła starannie układać w nim kwiaty.

– A co słyhać u pańskich rodziców?

– Przesyłają paniom pozdrowienia... Ojciec przyjedzie na ślub razem ze mną. Zatrzyma się w Bristolu. My też – spojrział wymownie na narzeczoną – spędzimy tam noc, a rano, o ile kolej nie zaszwankuje, pojedziemy do domu.

„Jeszcze tylko dwa tygodnie. Tylko dwa” – powtarzała w myślach Julia. Niecierpliwie czekała, kiedy na zawsze opuści czynszową kamienicę i przeniesie się do najprawdziwszego dworku. Co prawda nigdy nie mieszkała na wsi, ale była pewna, że jej się spodoba, będzie przecież miała przy sobie Andrzeja. Poza tym zostaną tam tylko do końca wojny.

– Jak wspaniale – powiedziała Pola, spoglądając z zachwytem na gotowy bukiet. Julia była w tak doskonałym humorze, że promiennie uśmiechnęła się do młodszej siostry.

– Moja droga, powinnaś przed ślubem spakować bagaże – pouczyła ją ciotka Klara. – Później nie będziesz miała do tego głowy.

– A czy pani Turzyniecka zaszczyci nas swoją obecnością na ślubie? – Adela kontynuowała przesłuchanie.

Jej wnuczka z trudem powstrzymała okrzyk oburzenia. Pytania o matkę zawsze konfundowały Andrzeja i babcia mogłaby je sobie darować. Wiedziała przecież doskonale, że pani Matylda nie jest rada z wyboru syna i tylko jego upór sprawił, że zgodziła się na ten mariaż. Julia już dawno przysięgała sobie, że zrobi wszystko, aby zdobyć akceptację, a może nawet sympatię świekry.

– Niestety, nie przyjedzie – odparł narzeczony. – Zdrowie jej nie pozwala na podróż. Ale będzie czekała na nas w domu.

– A gdzie Nina? – zapytała szybko Julia, która nie chciała dłużej rozmawiać o krępujących sprawach.

– Źle się czuje – odparła Pola. – Wzięła aspirynę i poszła spać.

No cóż, starsza siostra miała prawo się rozchorować. Stanisław już niedługo wracał na front i na pewno będzie to bolesne rozstanie – nagle zrobiło się jej żal młodego małżeństwa.

Szczęście w nieszczęściu, że Andrzej był jedynakiem, a do tego chorował na serce – nie na tyle ciężko, aby to zagrażało jego życiu, ale wystarczająco, aby armia zrezygnowała z jego usług.

– Stanisław już wrócił? – zapytała ciotka.

– Chyba nie – skłamała gładko Pola.

– Znowu poszedł do babek na podwieczorek – odparła Adela z rozbawieniem. – Amelia byłaby najszcześliwsza, gdyby się do niej przeprowadził, a Oktawia natychmiast by go adoptowała. Zadzuszają chłopca tą rodzinną miłością.

– Pan Stanisław odnalazł krewnych? – upewnił się Andrzej.

– I to aż trzy cioteczne babki. – Julia się roześmiała.

Nie uznała za właściwe dodać, że starsze damy są jednocześnie przekomiczne i nieznośne. I że ona po dobroci nie spędziłaby z nimi nawet jednego dnia, a po tygodniu pewnie wrzuciłaby im cyjanek do kawy. Szwagier naprawdę miał nerwy niczym łańcuchy z fabryki tatki.

– Pójdzie pani ze mną jutro na spacer? – Tym razem to Andrzej zmienił temat. – Do Łazienek. O ile panie oczywiście pozwolą. – Spojrzał najpierw na babcię, a potem na ciotkę.

– Oczywiście – zgodziła się Klara. – Trzeba cieszyć się majem, póki jeszcze trwa.

„I towarzystwem narzeczonego” – Julia uśmiechnęła się do własnych myśli.

5.

Obudziła się, kiedy za oknem już szarzało. Spojrzała na zegar i ze zdumieniem stwierdziła, że przespała ponad trzy godziny. Zerwała się z łóżka, przekonana, że zaniedbała jakieś obowiązki, ale w mieszkaniu panowała cisza.

Stanisław jeszcze nie wrócił.

Najwyraźniej babcia Amelia, która nie mogła się nim nacieszyć, poprosiła, aby został na kolacji, a on przystał skwapliwie na tę propozycję. Cóż, jej nie udało się stworzyć mu domu, więc może cudem odzyskane krewne zdołają nadrobić ten brak. Staś naprawdę za długo żył w przekonaniu, że jest na świecie zupełnie sam.

Znowu łzy napłynęły jej do oczu, więc przez jakiś czas siedziała bez ruchu na łóżku, mocno zaciskając powieki. A kiedy wreszcie zdołała trochę nad sobą zapanować, powędrowała do łazienki. Spoglądając w lustro, uznała, że nie dziwi jej niechęć męża. Nigdy nie była piękną, a teraz – z podpuchniętymi oczami, zaczerwienionym nosem i rozpaczą wymalowaną na twarzy – wyglądała wręcz koszmarnie. Nie chciała, aby zobaczył ją w takim stanie, dlatego umyła się starannie lodowatą wodą, ale to wcale nie pomogło. Przyczesła tylko włosy i zrezygnowana poszła do kuchni. Nie była głodna, Stanisław pewnie też zrezygnuje z kolacji, ale im obojgu na pewno przyda się herbata.

Nalała wody do samowara i właśnie kończyła rozpalanie węgla, kiedy skrzypnęły drzwi i w kuchni mocno zapachniało bzami. Odwróciła się szybko w stronę wejścia i zdębiała; w progu stał mąż z dużym – nie, ogromnym pękiem białego i fioletowego kwiecica w garści. Pomyślała, że jeszcze się nie obudziła, a ta scena jest wytworem sennych marzeń.

– Dla ciebie. – Zrobił krok w jej stronę.

A więc w taki sposób zamierzał jej powiedzieć, że ich małżeństwo dobiegło końca.

Wpatrywała się w jego pobladłą twarz i czuła, że coś w niej pęka. Pojęła, że dłużej nie wytrzyma. Niepewności. Udawania, że wszystko jest w porządku. Obawy przed każdym słowem.

Czekania na czulszy gest.

Zdołała szczerze porozmawiać z Połą, więc da także radę powiedzieć mężowi, że już nic od niego nie chce. Że pozwala mu żyć według własnych upodobań i zasad, bez oglądania się na nią. Najgorsza prawda jest lepsza od tej ułudy, w której trwali od miesięcy.

– Wiem, że mnie nie ko... – Jak na złość głos jej się załamał i nie zdołała zapanować nad łzami. Leciały uparcie jedna za drugą, stopniowo rozmazując obraz świata i pokazując Stasiowi, jaka jest bezsilna i żalсна.

Chyba go przestraszyła, bo jak stał, tak upuścił kwiaty – gałęzie bzu rozsypały się u jej stóp – i nie mówiąc ani słowa, podszedł bliżej. Spuściła głowę i ku swojemu zdumieniu prawie w tej samej chwili znalazła się w jego ramionach; obejmował ją tak mocno, że na moment straciła oddech.

Łkała spazmatycznie, wtulając twarz w bluzę na jego piersi i z dłońmi zaciśniętymi kurczowo na jego ramionach. Wiedziała, że powinna się odsunąć, pokazać, że go nie potrzebuje, ale nie potrafiła zdobyć się na taki gest. A świadomość, że będzie żałować tej słabości – bo Staś na pewno szybko straci cierpliwość i sam ją odepchnie – sprawiła, że płakała jeszcze żałośniej. Miała wrażenie, że nie zdoła się uspokoić. I że ciężar, który nosiła w środku, nigdy nie zelżeje.

– Już dobrze – szeptał. – Wszystko dobrze.

– Nie jest dobrze – wychlipała i niezdarnie uderzyła go pięścią w ramię. – Wiem... wiem, że mnie zostawisz.

Nie wypuścił jej z objęć ani nawet się nie zdenerwował. Za to dotknął jej brody i skłonił, żeby spojrzała mu w oczy.

– Ninko, posłuchaj... Nie zamierzam cię zostawiać. Gdy tylko spotkaliśmy się na dworcu, wiedziałem... Jak uważasz, czemu błagałem sanitariuszy, żeby wieźli mnie do Korpusu Kadetów? Pokochałem cię od pierwszej chwili.

Pomyślała, że albo się przesłyszała, albo mąż z niej kpi. Ale nie – słuch miała dobry, a Stasia mogłaby podejrzewać o różne rzeczy, lecz nie o brak szacunku.

– To prawda?

– Dlaczego miałbym kłamać?

Znowu przytulił ją do siebie. Najchętniej zostałaaby w jego uścisku już na zawsze, ale chciała wyjaśnić sprawę do końca. Pozbyć się wszelkich wątpliwości.

– Naprawdę byłam pewna, że ci na mnie nie zależy.

– Jestem żołnierzem i lubię jasne sytuacje. Jak na wojnie... Wiesz, czego od ciebie chcę i co konkretnie masz robić. A na miłości się nie znam, wcześniej nie byłem zakochany. Pomyślałem, że ty...

– Co myślałeś? – zapytała łagodnie.

– Doskonale się mną opiekowałaś... jak najlepsza pielęgniarka na świecie. Bałem się, że robisz to, bo tak trzeba.

– Sam na to wpadłeś? – zapytała, dotykając jego policzka; blizna była jeszcze świeża i widoczna, ale ona już prawie jej nie zauważała.

– Tak jakoś przyszło mi do głowy... Ninko, chcę być twoim mężem, a nie ptakiem ze złamanym skrzydłem ratowanym z litości.

– Ptakiem ze złamanym skrzydłem? Jezus Maria! Mów prawdę! – Mocno ścisnęła jego ramię. – Zośka naopowiadała ci takich bzdur? Kiedyś ją uduszę! – Siostra naprawdę pozwalała sobie na zbyt wiele. Koniecznie należało się z nią rozmówić.

Stanisław wahał się, ale wpatrywała się w niego tak uparcie, że wreszcie kiwnął głową.

– A dlaczego dzisiaj... Te kwiaty? – Wskazała na leżący na podłodze bez.

– Pola wyjaśniła mi, jaki byłem głupi, więc uznałem, że zamiast kombinować, zapytam wprost, kim dla ciebie jestem.

– Mężem – wyszeptała, spuszczać głowę. – Najdroższym na świecie.

Łagodnym gestem skłonił ją, aby znowu na niego spojrzała. A potem pocałował. I była w tym pocałunku łapczywość i jakaś rozpaczliwa determinacja – jakby Staś chciał w jednej chwili nadrobić minione miesiące albo coś jej udowodnić.

Tyle czasu tęskniła za ciepłem jego ust. Za czułym dotykiem. Nieraz myślała, że w grudniu, po wyjściu ze szpitala, mąż pokazał jej tylko kawałek pięknego ogrodu, a potem zamknął bramę na kłódkę i wyrzucił klucz.

Wtem chwycił ją w pasie i posadził na stole. Coś spadło z trzaskiem – chyba szklanki – woda szumiała w samowarze, ale żadne z nich nie

zwróciło na to uwagi.

Całował ją, jednocześnie rozbierając z sukienki, a potem z bielizny. Nina rozpiniała guziki jego bluzy – trwało to długo, bo drżały jej palce. Wreszcie dotknęła nagiej skóry, a on pochylił się ku niej. Czuła dłoń niecierpliwie sunącą po łydce, kolanie, udzie... Ta nieoczekiwana pieszczota sprawiała, że chciała krzyczeć, płakać albo śmiać się w głos, ale wstydziła się wydać nawet dźwięku. Może powinna dać mu jakiś znak, aby przestał dotykać ją w taki sposób; wiedziała jednak, że gdyby usłyszał, zaraz błagałaby go, by zaczął od nowa.

– Co robisz? – wydyszała wreszcie z trudem.

Na moment się zatrzymał i popatrzył na nią z szelmowskim uśmiechem.

– Nie uważasz, że zasłużyliśmy na porządną noc poślubną?

Kiedy kilka godzin później leżała w łóżku przytulona do piersi męża i wpatrzona w słońce wschodzące właśnie nad Warszawą, myślała tylko o tym, że cokolwiek by się działo, przez najbliższe dwa tygodnie zamierza być bezwstydnie szczęśliwa.

ROZDZIAŁ V

I.

– Nie mogę uwierzyć, że już jutro wychodzę za mąż – powiedziała Julia i rzuciła rozmarzone spojrzenie na suknię ślubną wiszącą na drzwiach szafy. – Już jutro...

– Uszyłaś ją wspaniale – powiedziała Nina ze szczerym podziwem, podchodząc bliżej, aby dokładniej obejrzyć kreację. – Zresztą te dla drухen także. Masz wyjątkowy dryg do maszyny.

Pola pokiwała głową; podzielała zdanie starszej siostry do tego stopnia, że choć na co dzień niespecjalnie dbała o stroje, tym razem nie mogła się doczekać, aż włoży ozdobione tiulem cudo w kolorze błękitu, które także wyszło spod ręki przyszłej panny młodej.

– Gdyby nie pani Władzia z naszego zakładu, nie dałabym sobie rady – powiedziała Julia.

– Muszę jeszcze poduczyć się kroju. W tym cała sztuka.

– Chyba nie zdążysz – zmartwiła się najmłodsza. – Mąż wywiezie cię z Warszawy i nie pozwoli pracować.

– Nie zorientował się do tej pory? – dopytała Nina.

– Nie. I liczę, że żadna z was mnie nie wyda.

– Jeszcze nie przysięgłaś posłuszeństwa, a już się go boisz. Może jednak zrezygnujesz z tego ślubu? – wtrąciła Zofia. – To prawie ostatnia chwila.

– Nie boję się, tylko nie chcę go złościć. Mężczyźni nie są w stanie pojąć pewnych spraw.

A poza tym, przyznaj się, że zazdrościsz. – Na zakończenie swojego wywodu Julia, jak zwykle, pokazała siostrze język.

– O, proszę – Zosia się zaśmiała – przyszła żona, poważna kobieta, a zachowuje się jak smarkuła. I kogo miałabym ci niby zazdrościć? Andrzeja?

– Coś ci się w nim nie podoba?

– Nie nazywa się Warliński.

– Dajcie mi wreszcie święty spokój! – Julia się obruszyła. – Ciągle tylko Warliński i Warliński. Jak nie jedna, to druga. Nawet gdyby mnie obchodził, nie wyszłabym za niego, żeby zrobić wam na złość.

– Kiedyś na złość tatce wypaliłaś całą paczkę papierosów – przypomniła jej Nina. – Wymiotowałaś potem przez trzy dni. A ślub to poważna sprawa na całe życie i wymaga...

– Namysłu? – Szczęśliwa narzeczoną wpadła siostrze w słowo. – A ty ile czasu myślałaś, zanim wyszłaś za Stasia? Pięć minut?

– Mniej więcej. Ale ja miałam tylko jednego kandydata. – Nina się zaśmiała. Ostatnio była taka szczęśliwa i wyglądała tak ładnie, że Pola nie mogła oderwać od niej wzroku. Stanisław też chodził uśmiechnięty od ucha do ucha. Wyglądało na to, że ingerencja w ich sprawy, przed którą tak się wzdragała, naprawdę przyniosła pozytywne skutki.

– Martwię się o ciebie. – Julia zrobiła poważną minę, ale w jej oczach migotały wesołe iskry. – Masz podejrzanie dobry humor. Ciotka Klara też to zauważyła, bo wczoraj powiedziała, że nie wypada, aby mężatka była taka zadowolona.

– No tak, małżeństwo to ciężkie jarzmo. – Nina znowu zachichotała. – A ty chcesz wziąć je na siebie po dobroci, nieszczęsna. Naprawdę kochasz Andrzeja? – Nieoczekiwanie spoważniała.

– I naprawdę chcesz jechać z nim prawie na koniec świata? – Na szczęście do przesłuchania dołączyła Zofia, więc Julia nie musiała odpowiadać na pytanie, na które tak naprawdę nie знаła odpowiedzi; wiedziała tylko tyle, że zbyt wielka miłość sprowadza na ludzi nieszczęścia.

– Chciałaś chodzić na bale, do teatrów, podróżować, przyjmować gości... A w tej całej Turzynie będziesz co najwyżej pielic grządki z nagietkami.

– Nie znoszę nagietków.

– Dlatego się dziwię, że chcesz być panią wiejskich rabatek, a nie królową salonów.

– Teraz nikt nie myśli o salonach – odparła szybko Julia. – Nawet księżna Lubomirska nie wydaje przyjęć. Ale zobaczysz, co będzie po wojnie. Namówię Andrzeja, żeby odkupił naszą willę.

– Nie wiem, czy będzie go stać. – Zofia była bezlitosna. – Jego ojciec ponoć wydaje krocie na kurtyzany i aktorki.

– Pan Klemens to poważny człowiek. Kto ci naopowiadał takich bzdur? I miarkuj się, Polka słuha!

– Poważny człowiek? Większy z niego dandys niż z twojego Andrzeja.

– Wiem, kim są kurtyzany – wtrąciła Pola. – I wiem, że mężczyźni miewają romanse. – Odruchowo spojrzała na Zofię, która udała, że tego nie zauważa.

– Kto rozsiewa takie plotki? – Julia nie kryła oburzenia. – Mów natychmiast!

– Sabina Dresslerówna coś wspominała...

– Sabina?! Nie znoszę tej flądry!

– Julciu – jęknęła Nina. – To moja koleżanka. Jedna z niewielu, która nie opuściła mnie po śmierci ojca.

– A jakże! – zakpiła siostra. – Dopóki byłaś ofiarą skandalu, mogła pławić się we własnej szlachetności. A jak zaczęłaś radzić sobie lepiej od niej, przestała być miła. Prawda?

– Skąd wiesz takie rzeczy? – zapytała Nina.

– Nie tylko Zofia umie zbierać informacje. Ja też. – Julia nagle zawiesiła wzrok na Poli, która poczuła niepokój i natychmiast zaczęła podejrzewać, że siostra wywąchała wszystko o jej pracy w konspiracji. Chyba nie powinna była prosić jej o wszywanie ukrytych kieszeni w halki. – A właśnie, musimy coś ustalić.

– W związku z czym?

– Z fabryką. Na wypadek, gdyby zaczęli ją wywozić. Mnie przecież nie będzie. Jeśli czegoś się dowiecie, koniecznie napiszcie. Żałuję, że nie będę mogła tego przypilnować.

– Nie powinnaś brać ślubu i wyjeżdżać – powiedziała Zofia. – Zmarnujesz się na tej wsi.

– Skoro ona nie chce zrezygnować, może spróbujemy załatwić sprawę z Andrzejem. – Nina uśmiechnęła się chytrze. – Czy on wie, co z ciebie za ziółko?

– Tylko spróbujcie coś pisać – zaczęła Julia lekkim tonem. – Tak was urządzą, że traficie prosto na dyżur do swojego ulubionego doktora.

– To co z tą fabryką? – Pola postanowiła przywołać siostry do porządku. – Wpadłaś na jakiś nowy koncept?

– Niezmiennie uważam, że kiedy zacznie się coś dziać, trzeba tam pojechać i sprawdzić, kto kieruje ewakuacją. A żeby wiedzieć, że się zaczęło, powinniście tam zaglądać przynajmniej raz na kilka dni. Albo kogoś posyłać. Jeśli zmarnujemy tę szansę, nigdy się nie dowiemy...

– Dowiemy się, kiedy znajdziemy pannę Stefanię – oświadczyła Zofia.

– Też chciałabym z nią porozmawiać. Tyle że nie mam pojęcia, czy ona w ogóle żyje. Ta przeklęta wojna wszystko skomplikowała.

– Boję się – zaczęła cicho Pola – że przez tę wojnę winny uniknie kary.

2.

Organy grały hymn *Veni Creator*, a Nina nie spuszczała wzroku ze stojącej przed ołtarzem młodej pary. Wciąż nie mogła pozbyć się wrażenia, że Julia popełnia błąd. Nie żeby miała jakieś konkretne zastrzeżenia do osoby narzeczonego: po prostu w jego zachowaniu nie widziała miłości, ale triumf zwycięzcy, który zdobył najwyższe trofeum. Niepokojąca była też postawa starszej pani Turzynieckiej i jej niechęć do wybranki syna.

Nie wątpiła za to, że doktor Warliński kocha Julię szczerze. Próbowiła z nią o tym porozmawiać, ale siostra była tak pewna swej decyzji – a przynajmniej mocno w to wierzyła – że Nina postanowiła zostawić sprawy własnemu biegowi. Nawet Zofia jakimś cudem powstrzymała się od uwag. Może wreszcie przestała wściubiać nos w cudze sprawy... Nina miała zamiar przeprowadzić ze starszą siostrą poważną rozmowę, ale odłożyła ją na później; w tej chwili obchodził ją tylko mąż.

Spojrzała na Stanisława z czułością i wzięła go za rękę. On zaś zaczekał, aż umilkną organy, a potem przysunął się bliżej i szeptem zapytał: – Żałujesz, że nie mieliśmy takiego ślubu?

– Niczego nie żałuję – odparła tak samo cicho i mocniej ścisnęła jego dłoń.

Zamierzała dodać, że ich zaślubiny były wyjątkowe, ale zrezygnowała, gdyż ciotka Klara spojrzała na nią z dezaprobatą: kto to widział, aby w czasie uroczystości okazywać taki brak szacunku!

Andrzej zakończył wypowiedzianie słów przysięgi i teraz Julia powtarzała za księdzem: – Ja, Julia Gabriela, biorę sobie ciebie, Andrzeju, za małżonka i ślubuję ci miłość, wiarę, uczciwość i posłuszeństwo małżeńskie. I że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący w Trójcy jedyny i wszyscy święci.

Nina w jednej chwili zapomniała o obiekcjach, bo siostra wręcz promieniała szczęściem.

A i wyglądała wspaniale. W sięgającej do kostek jedwabnej, ozdobionej koronkami sukni, otulona mgiełką tiulowego welonu, z bukietem i w wianku z konwalii – w wojennej Warszawie nie dało się zdobyć kwiatów pomarańczy – w którym ciotka Klara ukryła zachowany na takie okazje dukat z Matką Boską, wyglądała jak królewna z bajki. Nigdy też nie była tak podobna do babci Adeli.

Wystrojony we frak Andrzej także prezentował się nienagannie. Nie dało się zaprzeczyć – był przystojny. Do Stasia brakowało mu jednak bardzo dużo; zerknęła na męża spod rzęs.

Druhny, czyli Zofia i Pola, miały na sobie jednakowe niebieskie i obszyte tiulem sukienki. Obie patrzyły na pannę młodą i – tu Nina mogła założyć się o sto rubli – chyba do ostatniej chwili żywiły nadzieję, że wydarzy się coś nieoczekiwanego.

Staś dyskretnie, ale z uwagą rozglądał się po wnętrzu – cóż, nigdy wcześniej tu nie był.

Nina uważała zaś barokowy kościół Panien Wizytek za najpiękniejszy w całej Warszawie. Szczególnie podobała się jej ambona w kształcie dziobu łodzi, mająca nawet maszt z żaglem, sieci i kotwicę.

Świątynia dziś była wypełniona gośćmi mniej więcej w połowie. Na ślubie zjawilo się kilkanaście osób z rodziny pana młodego, a przede wszystkim jego ojciec Klemens Turzyniecki i matka chrzestna, radczyni Radziszewska. Przyszły przyjaciółki ciotki Klary, wśród nich pani Zapiórkiewiczowa i doktorowa Łapińska z mężami, kilka szkolnych koleżanek Julii, a także wszystkie trzy cioteczne babki Stasia.

Nowożeńcy wymienili się obrączkami. Ciotce zaszkliły się oczy, bo oto spełniało się jej wielkie marzenie – wreszcie któraś bratanica brała ślub tak, jak Pan Bóg i Kościół przykazał.

Babcia ukradkiem ocierała łzy wzruszenia.

Nina tymczasem uklękła i wpatrując się w wiszący nad głównym ołtarzem obraz przedstawiający nawiedzenie Najświętszej Marii Panny, zaczęła błagać Boga, aby czuwał nad jej mężem, chronił go od złego i sprowadził bezpiecznie do domu. Do niej.

Msza dobiegła końca. Przy dźwiękach organów nowożeńcy kroczyli wzdłuż głównej nawy wyłożonej czerwonym dywanem. Co chwilę przystawali, aby wysłuchać życzeń gości.

– Chodźmy. – Znowu poszukała ręki Stasia.

Razem opuścili ławkę. Poczekali chwilę, gdyż do państwa młodych zdążyła ustawić się kolejka, a kiedy wreszcie Nina stanęła twarzą w twarz z rozanieloną siostrą, uściskała ją mocno, a potem wyszeptała jej do ucha: – Bądź zawsze tak szczęśliwa jak dzisiaj.

– Dziękuję, kochana. – Julia odwzajemniła uścisk.

Powinszowała też Andrzejowi, a potem odsunęła się, aby zrobić miejsce kolejnym osobom.

– Zazdroszczę mu – powiedział z westchnieniem Staś, który też zdążył wycalować szwagierkę i uścisnąć dłoń szwagrowi.

– Czego? – zapytała ostrożnie Nina, zaskoczona tym nieoczekiwanym wyznaniem.

– Tego, że rano zapakuje Julię w pociąg, wywiezie na głuchą wieś i będzie z nią żył jak u Pana Boga za piecem. A ja pojutrze zapakuję samego siebie i pojedę prosto na front. – Starał się mówić lekkim tonem, ale wiedziała, że wraca do rosyjskiego wojska tylko dlatego, że musi.

– Mamy jeszcze dwa dni.

– Chętnie darowałbym sobie kolację i zabrał cię do domu. – Spojrzał na nią w taki sposób, że natychmiast dostała rumieńców i zapragnęła tego samego.

Wiedziała jednak, że nie mogą nagle zniknąć i nie iść na weselną kolację do Hotelu Europejskiego, bo zaraz ktoś by to spostrzegł, wysnuł jakieś sensacyjne wnioski i rozniósł plotki po całym mieście. Poza tym babci mogłoby być przykro – aby sfinansować przyjęcie, sprzedała szafirowy naszyjnik, który dostała od dziadka po narodzinach tatki.

– Wyjdziemy wcześniej. Chodź – złapała męża za rękę – powiem, że mam migrenę.

Szybko odszukała ciotkę i babcię, a potem ze zboląłą miną zwierzyła się im ze swojego problemu. Klara chyba zamierzała pouczyć ją, że żadna choroba nie zwalnia z udziału w weselu siostry, ale na szczęście babcia nie wyglądała na zagniewaną ani rozczarowaną. Chyba odgadła, w czym rzecz, bo powiedziała: – Rzeczywiście, wyglądasz, jakbyś miała gorączkę. Posiedź przy stole z pół godziny, a potem idź do domu. Stasiu, zadbaj o nią, jak trzeba.

– Zrobię wszystko, żeby była zadowolona – powiedział Stanisław poufałym tonem, a Nina poczuła ochotę, aby nadepnąć mu obcasem na

palec. – Chodź, moja droga.

– Nie strój sobie takich żartów – rzuciła z przyganą, kiedy oddalili się na bezpieczną odległość. – Bo jeśli ciotka pojmie, o co ci chodzi, nie da mi żyć przez najbliższy rok. Już raz zwracała uwagę, że zachowujemy się nieodpowiednio w domu, w którym są niewinne panienki.

– Jesteśmy małżeństwem i mamy prawo żyć jak małżeństwo – powiedział, kiedy już opuścili kościół i znaleźli się na rozgrzanym słońcem Krakowskim Przedmieściu, gdzie zamierzali poczekać, aż zakończy się składanie życzeń i wraz ze wszystkimi gośćmi będą mogli udać się na kolację.

Tego ranka padało, ale na szczęście pogoda zdążyła się poprawić i czerwcowe popołudnie było naprawdę piękne.

– Owszem. Żyć. A nie mówić o tym głośno.

– Tak sobie myślę... Twoja ciotka nie wygląda na niewinną panienkę.

– Czemu tak uważasz?

– Jest na to za ładna. Na pewno miała miłosne przygody.

– Tak – westchnęła Nina, wracając na chwilę myślami do tragicznych wydarzeń z 1905 roku. – Ale to długa historia... – Nie dokończyła, bo nagle potknęła się i na kogoś wpadła.

Odwróciła głowę, aby uprzejmie przeprosić ofiarę swej nieuwagi, i zaniemówiła. Warliński?!

– Dzień dobry, panie Józefie – powiedział ucieszony spotkaniem Stanisław i uścisnął dłoń lekarza. – Co pan tu robi?

– No cóż. – Doktor wyraźnie się zmieszał. – Musiałem na własne oczy zobaczyć, czy ten ślub dojdzie do skutku.

A więc desperacko wierzył, że Julia w ostatniej chwili zrezygnuje z zamążpójścia; akurat ona byłaby zdolna nawet do ucieczki sprzed ołtarza. Tylko najpierw musiałyby uświadomić sobie, że zamierza wyjść za niewłaściwego mężczyznę.

– Próbowałam jej tłumaczyć – powiedziała Nina. – Niestety, na nią nie da się wpłynąć.

– Wiem – odparł doktor. – Jest uparta jak koza. Nie pozostaje mi nic innego, tylko życzyć jej, żeby ten arogancki bubek umiał ją uszczęśliwić.

Nina zamrugła nerwowo; mimo pozornej nonszalancji, doktor był tak smutny, że zachciało się jej płakać.

– Doskonale pan wygląda. – Warliński tymczasem spojrzął na swojego pacjenta. – O wiele lepiej, niż kiedy widzieliśmy się ostatnim razem.

– Żona o mnie dba.

– Nie wątpię. – Lekarz wreszcie uśmiechnął się blado. – Szkoda tylko, że armia taka niecierpliwa. Powinien pan odpocząć jeszcze co najmniej z miesiąc.

– Myślę, że w obecnej sytuacji i tak pozwolili mi na wiele.

– Niech pan na siebie uważa. I przepraszam, ale bardzo się spieszę. Wyszedłem z pracy tylko na godzinę.

– Do widzenia.

Nina patrzyła za nim przez długą chwilę. Wyglądał, jakby w ciągu ostatnich dni przybyło mu kilka lat. Szkoda, że Julia go nie doceniła. – Warliński może i zachowywał się czasem ekscentrycznie, ale był przy tym porządnym człowiekiem i doskonałym, oddanym swojej pracy lekarzem. I zapewne pasowałby do jej siostry lepiej niż wiecznie zachwycony sobą Andrzej.

– Ninko, czy pan Józef nie zakochał się aby w naszej Julii? – zapytał nagle Staś.

– Wszystko na to wskazuje, mój drogi. W styczniu poprosił ją o rękę. Myślałam, że wiesz.

– Doktor nic nie wspominał, a ja byłem zbyt rozkojarzony... W życiu bym nie pomyślał, że on i Julia mogliby się pobrać. – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Nina uśmiechnęła się rozczulona tym wyznaniem i pomyślała, że mąż powinien dowiedzieć się jeszcze kilku rzeczy o miłości.

3.

Za życia tatki Julia często bywała w restauracji i kawiarni hotelu Bristol. Nie miała jednak okazji ani powodu, aby zaglądać do pokoi przeznaczonych dla gości.

Teraz więc, siedząc przed toaletką, podziwiała bogato urządzone wnętrza i czuła się naprawdę szczęśliwa. Nie dość, że właśnie poślubiła właściwego człowieka, to jeszcze dzięki temu związkowi wróciła do eleganckiego świata, którego nie powinna była nigdy opuszczać. Wojna musi przecież kiedyś się skończyć, a wtedy ona będzie żyć życiem, jakie sobie niegdyś wymarzyła. Musiała tylko uzbroić się w cierpliwość.

– Wziąłem najlepszy apartament, jaki mieli – powiedział Andrzej, który dostrzegł jej zadowolenie.

Wcale nie była zdziwiona. Andrzej zawsze sięgał po to, co miało największą wartość. Nie spuszczał z niej wzroku, zdjął frak i rozwiązał muchę, a na koniec rozpiął koszulę. Julia na chwilę wstrzymała oddech porażona jego urodą, a potem ukradkiem zerknęła w lustro.

Na szczęście ona też wyglądała doskonale, nawet mimo podkrążonych oczu. Cóż, przygotowania do ślubu, uroczystość i kolacja w Europejskim zdążyły ją zmęczyć. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie położy się jeszcze spać.

Na noc poślubną czekała z niepokojem – nie wiedziała, czego naprawdę może się spodziewać – ale i z ekscytacją. Myślała sobie, że jeśli reszta małżeńskich obowiązków jest tak przyjemna jak pocałunki, to nie ma czego się obawiać. Bo pocałunki z Józefem... Nie, o tych musi zapomnieć raz na zawsze.

Nie wspominała Andrzejowi o tej znajomości – Warliński był dla niego wyłącznie lekarzem Stanisława; w odróżnieniu od niektórych koleżanek nie bawiło jej wzbudzanie zazdrości w mężczyznach.

Ostrożnie odpięła konwaliowy wianek, który zdążył już przywiędnąć, i wraz ze starannie zwiniętym kłębem tiulu ułożyła go na biurku. Następnie

zaczęła wyciągać szpilki z misternej koafiury: fryzjer ponaciągał włosy tak mocno, że bolała ją skóra na całej głowie. A kiedy loki opadły swobodnie na plecy, pochyliła się, aby rozsznurować trzewiki. Starła się robić wszystko z wdziękiem, świadoma tego, że mąż patrzy na nią przez cały czas.

– Napijemy się szampana. – Podeszedł do stołu i sięgnął po schłodzoną butelkę spoczywającą w wiaderku z lodem.

– Chętnie. – Wino, którego kosztowała w trakcie kolacji, dawno wywietrzało jej z głowy, a odrobina alkoholu na rozluźnienie na pewno nie zaszkodzi.

Korek wystrzelił i Andrzej rozlał trunek do wysokich kieliszków; jeden natychmiast podał żonie. Upiła łyk: bąbelki przyjemnie łaskotały podniebienie, a szampan orzeźwiał tak, że najchętniej wypiłaby wszystko duszkiem. Powstrzymała się od tego, ponieważ damie tak nie wypadało.

Mąż odstawił kieliszek, a potem do niej podeszedł. Położył dłonie na jej ramionach i pogładził je łagodnie, a potem zjechał w dół, ku piersiom. Westchnęła, a on pocałował ją w szyję; dotyk jego ust był ciepły i przyjemny.

– Pomóż mi z suknią – poprosiła szeptem.

Cmoknął ją w ucho i zaczął mozolnie rozpinać małe guziki z tyłu ślubnej kreacji – było ich aż dwadzieścia. Kiedy skończył, Julia wysunęła rękę z rękawów i jedwabna materia miękko opadła na podłogę.

Nie czekając dłużej, Andrzej chwycił ją na ręce i zaniósł na łóżko. Z przyjemnością wtuliła się w miękkie poduszki; pościel delikatnie pachniała fiołkami. Mąż, który leżał obok, przyciągnął ją do siebie i przez jakiś czas wpatrywał się w jej twarz pociemniałymi oczami.

– Jesteś najpiękniejsza na świecie – wyszeptał wreszcie. – Moja.

– Twoja. – Uśmiechnęła się do niego figlarnie, a potem zanurzyła palce w jego włosach.

„Co będzie? I co teraz będzie?” – tłukło się jej w głowie, a ciekawość i ekscytacja sięgały zenitu.

Objął ją mocno i pocałował. Niecierpliwie. Bez odrobiny czułości. Zaborczo i wręcz brutalnie. Zaskoczona Julia próbowała to przerwać, ale on chyba nie pojął, o co jej chodzi. Starła się więc dopasować do niego, desperacko szukała wspólnego rytmu, ale nie mogła nadażyć. Gubiła się i traciła dech; przez moment myślała, że zaraz się udusi.

„Tak ma to wyglądać?” – pomyślała zupełnie zdezorientowana. Józef całował ją w zupełnie inny sposób. I wtedy...

Andrzej ścisnął jej piersi, a kiedy dotknął wnętrza ud, w pierwszej chwili zamarła. Głównie z zawstydzenia, ale też z obawy przed czymś tak dla niej nowym. Było to całkiem przyjemne, ale zanim zdążyła się przyzwycząć do tej pieśczości i rozluźnić, mąż mocno na nią naparł. Poczowała krótki, a potem ostry ból, a potem nieprzyjemne pieczenie. Syknęła i rzuciła się gwałtownie, chcąc dać Andrzejowi do zrozumienia, żeby się pohamował. Zrobił to, ale tylko na chwilę, a potem znowu przycisnął ją do materaca. Zamknęła oczy i zrezygnowana poddała mu się całkowicie. Wsłuchiwała się w jego oddech, który z każdą sekundą stawał się coraz szybszy i bardziej płytki, wreszcie zamienił się w przeciągłe westchnienie.

Leżała bez ruchu, a on wciąż ją przygniatał. Wreszcie przekręcił się na bok. Odetchnęła z ulgą.

– Jesteś słodka – powiedział, kiedy zapanował nad oddechem.

„A więc to koniec? Nie ma żadnych uniesień ani szaleństwa?” Chciało jej się płakać, ale nawet nie wiedziała z jakiego powodu.

Czy właśnie takie rozczarowania miała na myśli babcia, powtarzając jej nieustannie, że nie ma co spieszyć się do ślubu? Ale przecież Nina i Staś... Całowali się po kątach, a kilka dni temu ciotka poszła po coś na górę i nakryła ich na czułościach w samym środku dnia. Ponoć o mało nie zemdląła z oburzenia. A dziś? Julia nie wierzyła w tę nagłą migrenę siostry. Oczywiście było, że chciała wykorzystać ostatnie chwile obecności męża. Skoro jednak karesowała z nim tak ochoczo, musiała mieć z tego jakąś przyjemność.

A może to przychodzi z czasem? Może powinna uzbroić się w cierpliwość?

– Jestem okropnie zmęczony. – Andrzej, który nie zwrócił uwagi na jej milczenie, nie zdołał powstrzymać ziewania. – Dobranoc, moja droga.

– Dobranoc – odpowiedziała tak cicho, że chyba jej nie usłyszał.

Zasnął już po chwili. Pochrapywał lekko. Julia odwróciła się do niego plecami i wbiła wzrok w wiszący na przeciwległej ścianie obraz Kossaka przedstawiający ułana sprzed stu lat.

Miała w głowie mętlik, ciągle szczypało ją pod powiekami. Ze wszystkich sił starała się nie myśleć o dotyku ust Józefa.

4.

Choć Nina nie żałowała, że tak szybko opuściła ślubne przyjęcie, miała trochę wyrzutów sumienia. Dlatego wraz z babcią udała się na Dworzec Petersburski, aby pożegnać siostrę wyruszającą w podróż do nowego domu. Zofia, Pola i ciotka musiały niestety iść do pracy, zaś Stanisław, który już za trzydzieści godzin wyruszał na front, został nagle wezwany do dowództwa.

Dotarły na dworzec ponad pół godziny przed czasem i przed młodą parą. Babcia, która nie zdążyła dobrze odpocząć po pełnym wrażeń dniu, nie chciała czekać na peronie, więc udały się do bufetu na herbatę.

– Nie wyobrażam sobie domu bez Julii – powiedziała Nina, kiedy już usiadły przy stoliku nad parującymi szklankami. – Będzie tak pusto i cicho.

– Martwię się o nią – westchnęła ciężko Adela. – Tak uparła się na ten ślub... Na dodatek nie ma pojęcia o życiu na wsi, zawsze chciała się bawić i błyszczeć. Ale cóż, świat jest tak urządzony, że żona idzie za mężem. Albo na niego czeka... – Spojrzała ze współczuciem na wnuczkę.

– Nie chcę, żeby wyjeżdżał – wyszeptała, spuszczaając głowę, żeby ukryć łzy. – Boję się, że coś mu się stanie.

– Staś wróci – oświadczyła babcia. – Nie śmieję nawet przez chwilę w to wątpić.

Te wypowiedziane kategorycznym tonem słowa dodały jej otuchy. Mąż już wystarczająco wycierpiał na tej wojnie, więc musi ją przeżyć i kropka!

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu, pogrążone każda w swoich myślach. Wreszcie, kiedy rozległ się czwarty dzwonek, Nina ocknęła się z zadumy.

– Pociąg odchodzi za kwadrans – powiedziała, spoglądając na zegarek. – Nowożeńcy pewnie już się zjawili.

– Chodźmy. – Adela szybko dopiła herbatę i wstała od stolika. – Muszę dać Julci kilka rad na przyszłość.

Słońce mocno świeciło, więc starsza dama otworzyła parasolkę, aby ochronić się przed jego promieniami, a Nina szukała wzrokiem siostry.

– Są! – zawołała w końcu. – Proszę babci, tam! Zaraz za lokomotywą.

Wśród obłoków mlecznej pary Andrzej dyrygował numerowymi, a ukryta w cieniu Julia uważnie obserwowała jego poczynania. Nigdzie nie było widać starszego pana Turzynieckiego.

– Moje dziecko... – Adela podeszła do wnuczki.

– Babciu. – Julia natychmiast rzuciła się starszej damie na szyję i mocno do niej przyłgnęła.

Nina ze zdziwieniem, a nawet niepokojem obserwowała tę scenę. Siostra, ubrana w strojną sukienkę w kolorze gołębim i ozdobiony wstążką kapelusz, wyglądała pięknie, ale była niepokojąco blada i jakby smutna. Dziwne, przecież wczoraj promieniała szczęściem.

– Dzień dobry. – Andrzej zakończył nadzorowanie załadunku bagaży. On, w przeciwieństwie do żony, wyglądał na zadowolonego z życia. – Cieszę się, że panie przyszły.

– Dzień dobry – odparła Adela, wciąż tuląc do siebie wnuczkę. – Gdzie się podziewa pana szanowny ojciec?

– Ma do załatwienia kilka spraw i musi jeszcze zostać.

– No tak, interesa nie mogą czekać... Zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Ale chyba pamięta, że od jutra, żeby wyjechać z Warszawy, potrzebne będą przepustki?

Tak głosił nowy ukaz generał-gubernatora. Można było pomyśleć, że Rosjanie ostatnio prześcigają się w pomysłach, jak utrudnić życie mieszkańcom miasta.

– Oczywiście – mruknął w odpowiedzi.

– Jak długo będziecie jechać? – zapytała Nina, próbując podtrzymać konwersację. Od początku znajomości nie umiała rozmawiać z Andrzejem.

– Około sześciu godzin. O ile nie wydarzy się nic nieoczekiwanego.

Julia odkleiła się wreszcie od babci. Miała blade policzki i zaczerwienione oczy.

– Dobrze się czujesz, moja droga? – zapytał zaniepokojony Andrzej.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Tylko rzadko rozstawałam się z rodziną.

– Szybko przywykniesz. Żegnaj się już, moja droga, bo musimy wsiadać. Odjazd za trzy minuty.

Julia jeszcze raz pocałowała babcię, a potem podeszła do siostry. Nina poczuła drapanie w gardle. Może i kłóciły się nieustannie, może i lubiły sobie podokuczać, ale kochały się i były sobie bliskie. Julia chyba pomyślała o tym samym, bo uścisnęła ją bardzo mocno, a potem wyszeptała: – Mogę o coś spytać?

– Oczywiście – odparła tak samo cicho. Była zdziwiona, bo siostra wyglądała na zakłopotaną. – Pytaj.

– Czy lubisz...

– Moja droga, wsiadamy – rzucił niecierpliwie Andrzej.

Julia wahała się jeszcze przez chwilę.

– Innym razem – rzekła wreszcie.

Przy pomocy męża wsiadła do wagonu pierwszej klasy, a numerowy zamknął za nimi drzwi. Po chwili pojawiła się w oknie przedziału; chciała je otworzyć, ale nie zdążyła, gdyż lokomotywa gwizdnęła przeciągle i pociąg ruszył.

– Już za nią tęsknię – powiedziała Nina, z trudem powstrzymując łzy, i teraz to ona mocno przytuliła się od Adeli.

5.

Zofia zamarła w bezruchu. Ktoś był w mieszkaniu. A przecież familia już jakiś czas temu rozeszła się do swoich zajęć, zaś Balbina stała zapewne w długiej kolejce po chleb. Tylko ona wróciła z pracy po dokumenty z zestawieniami sprzedaży, które przygotowała w piątek w domu.

Wychodząc rano, zapomniała o nich na śmierć.

Nie, nie ma nikogo. Wydawało się jej tylko. Zza uchylonego lufcika dobiegały zwykle odgłosy ulicy: stukot końskich kopyt na bruku, nawoływania ludzi, warkot automobili, szum wiatru w gałęziach rosnącego nieopodal drzewa, ćwierkanie wróbli. Chyba była tak samo przewrażliwiona na punkcie nieproszonych gości jak pozostałe domownicy.

Już zamierzała wrócić do układania papierów w teczce, kiedy coś podejrzanie stuknęło.

Znowu wyprostowała się czujnie. A jednak... Wyraźnie słyszała kroki.

– Wyłaź, panna! – zawołał zachrypnięty męski głos. – Wiem, że tam siedzisz.

Serce skoczyło jej do gardła, ale opanowała się błyskawicznie. „Strach to najgorszy doradca” – powtarzano jej nieustannie na szkoleniach.

– Wychodź! Mamy do pogadania!

To nie była Ochraha ani policja. Oni nie wpakowaliby się chyłkiem do mieszkania w środku dnia. I co najważniejsze, nie mówiliby po polsku i to z pijacką chrypą. Że też nie poszły za radą sędziego Szustra i nie wstawiły nowych zamków. Wciąż były ważniejsze sprawy.

„Co robić? – powtarzała w myślach. – Co robić?”

Włamywacz nie był dżentelmenem. Prędzej oprychem spod ciemnej gwiazdy.

„Oprych?! Matko Boska! – przypomniła sobie tragiczne skutki zesłorocznego włamania. – Ale znowu? Po co?”

Odpowiedź była prosta – zleceniodawca poprzednich zbirów wciąż nie znalazł tego, czego szukał.

Podłoga skrzypnęła raz i drugi. Intruz szedł korytarzem. Zbliżał się. Wstrzymała oddech i wtem ją olśniło. Na Boga, przecież nie jest bezbronna!

Szybko wskoczyła na łóżko, a potem na parapet. W karniszu, tuż za ozdobną kokardą, tkwił browning. Ten, który dostała od Ireny i którego nie miała okazji – a może chęci – oddać do magazynu. Drżącymi rękami wyplątała go z zasłony, modląc się, aby nie zawiódł. Nie powinien, czyściła go regularnie, kiedy była sama w domu.

Zeskoczyła na podłogę i na palcach wyszła na korytarz – w pokoju nie było miejsca na żadne manewry – a tam zobaczyła chudego starszego mężczyznę w obszernej marynarce i kaszkiecie na głowie. Na jej widok zbir uśmiechnął się paskudnie, prezentując niekompletne uzębienie. W rękę ścisnął nóż.

– Czego chcesz? – Obrzuciła go zuchwałym spojrzeniem. Broń, którą chowała za plecami, dodała jej odwagi.

– Zapytam o coś, lalka, a ty wszystko wyśpiewasz jak księdzu na spowiedzi. Jak nie – dotknął przycisku na rękojeści i ostrze sprężynowca wysunęło się z trzaskiem – to pokroję na kotlety. Zacznę od ślicznej buźki.

– Stój! – Wyciągnęła broń i wycelowwała w serce. – W tył zwrot i wynocha! Gapił się na nią ni to z niedowierzaniem, ni to z rozbawieniem.

– Wynocha! – powtórzyła zimno. – Bo zastrzele.

– Oddaj, panna, cacko, bo krzywdę se zrobisz – rzucił kpiąco i zrobił krok w jej stronę.

A potem jeszcze jeden. Mocniej ścisnął nóż. Jeszcze chwila i...

Odbezpieczyła pistolet. Nie zrezygnował, rzucił się ku niej. Nie myśląc, nacisnęła spust.

Huknęło.

Intruz zwałił się na podłogę i zaraz zastygł w bezruchu; marynarka na piersi barwiła się czerwienią. Zofia wpatrywała się w bezwładne ciało, nie

wierząc, że była zdolna naprawdę strzelić do człowieka.

„Jakim sposobem?” Niedbale wytarła oczy wierzchem lewej dłoni: w prawej nadal ścisnęła broń.

Wtem rozległ się tupot szybkich kroków; ktoś wpadł do mieszkania kuchennymi drzwiami.

„Jeszcze jeden?” – pomyślała w panice.

Cofnęła się do pokoju i wymierzyła tam, gdzie miał pojawić się napastnik. Prawie przestała oddychać. Zza załomu korytarza wybiegł zdyszany Stanisław. Uczucie ulgi prawie ją obezwładniło.

– Skąd...? – Nie mogła dokończyć zdania, ale natychmiast odruchowo zabezpieczyła broń.

– Słyszałem strzał – rzucił szwagier. – Wyskoczyłem na klatkę prosto na zbira na czatach.

Patrzył w dół, to dałem mu w łeb i przybiegłem sprawdzić, co się dzieje. Bogu dzięki, że ty strzelałaś, a nie on do ciebie. – Pochylił się nad leżącym w kałuży krwi bandziorem i dokładnie sprawdził mu puls. – Nie żyje. – Nieboszczyk nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. – Świetna robota. Sam bym lepiej nie potrafił.

– Chyba musimy wezwać policję – powiedziała niepewnie. Robiła wszystko, aby się nie rozkleić, ale tak po prawdzie, to była przerażona.

Stanisław wyjął jej z ręki broń, obejrzał ją uważnie, a potem głęboko się nad czymś zamyślił.

– Nic za to nie grozi, bo to samoobrona – zawyrokował wreszcie. – Ale na czas śledztwa policja może cię wsadzić do aresztu. Ustalą, co trzeba, i wypuszczą, ale zostaje kwestia nielegalnej broni. I skandal. Raczej się nie zdarza, aby panienki zabijały włamywaczy.

Jęknęła w duchu. Nie dbała o skandal, ale ostatnie, czego potrzebowała, to zainteresowanie stróżów porządku; jeśli zaczną kopać wokół niej, na pewno wykopią coś podejrzanego. Z posiadania broni też nie da rady się wyłgać. Ale czy istniało jakieś inne wyjście? Nie mogła przecież wrzucić nieboszczyka do Wisły.

– Nie wiem, co robić. – Ze zdenerwowania kręciło się jej w głowie.

– Zaraz wezwiemy policję i powiemy, że ja to zrobiłem. Też mam browninga.

– Ale tak nie można. – Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Można. Mnie akurat nic nie grozi – oświadczył z absolutną pewnością w głosie. – Jestem żołnierzem, więc nikogo nie dziwi, że jak mnie atakują, strzelam bez namysłu. A tu jeszcze musiałem bronić ciebie.

– Jesteś pewny? A jeśli wsadzą cię do aresztu?

– Nie zrobią tego. Nie stać ich zresztą na takie marnotrawstwo. W armii oficerów jak na lekarstwo, a ja jutro jadę na front.

Nie była przekonana do takiego rozwiązania – zawiniła, więc sama powinna ponieść konsekwencje. Tyle że Stanisław miał absolutną rację – on mógł zastrzelić każde podejrzone indywiduum, a jej nie wypadało nawet wziąć broni do ręki. Inna sprawa, że nie zniosłaby, gdyby przez nią policja albo żandarmeria wpadły na ślad innych członków organizacji.

– Schowaj to gdzieś – polecił szwagier, oddając jej pistolet.

Ostrożnie ominęła leżące na podłodze zwłoki i wyszła z pokoju. Musiała pomyśleć, co zrobić z bronią, wreszcie postanowiła ukryć go w tym samym miejscu co zawsze. W sumie sprawdziło się bardzo dobrze. Przez pół roku nikt niczego nie zauważył, gdyż przezornie wyciągnęła browninga przed zmianą zasłon.

Szybko uporała się z zadaniem, a wracając do holu, natknęła się na Stanisława, który bardzo uważnie oglądał wejście do jej pokoju.

– Pomóc ci w czymś?

– Musimy ustalić wspólną wersję wydarzeń. Wysłuchaj mnie uważnie.

– Dobrze. – Kiwnęła głową.

– A więc po kolei... Byłaś w mieszkaniu, kiedy włamał się ten bandzior. Groził ci nożem.

A ja, wychodząc od siebie, spotkałem drugiego, który stał na czatach. Zaskoczyłem go i nie zdążył ostrzec kolegi. Dałem mu w łeb. Swoją drogą, ciekawe, czy wciąż tam leży... Drzwi były otwarte, więc wszedłem tutaj.

Zobaczyłem, że ten – spojrzał na nieboszczyka – idzie na ciebie z nożem i bez namysłu strzeliłem. Wiem, że jesteś odważna, ale musisz im powiedzieć, że nie krzyczałaś, bo ze strachu odebrało ci mowę. Wszystko zapamiętałaś?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Ale zostało jeszcze jedno. Dlaczego nie dostał w plecy?

– Bo zdążył się do mnie odwrócić – odrzekł Stanisław po namyśle. – Na szczęście nie upadł do przodu, tylko na bok. Jeśli czegoś nie będziesz pewna, mdlej albo dostań spazmów. Panience wypada.

– Rozumiem.

– W takim razie wzywam policję. Telefon dzisiaj działa?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ktoś energicznie zapukał do głównych drzwi. Zofia jęknęła w duchu. Jeszcze tylko gości im tu brakowało. Bóg zaiste był bezlitosny.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytał szwagier.

– Ależ skąd.

– A ja, niestety, tak. Choć jeśli to moje babki – zerknął na zegarek – to się pospieszyły.

Poproszę je, żeby poszły na górę.

– Lepiej powiem, że zatrzymali cię na cały dzień w sztabie. Nie powinny się tu kręcić.

Wzięła głęboki oddech i podeszła do drzwi, a kiedy je otworzyła, rzeczywiście zobaczyła panią Osnowską i panią Reuttową, najmłodszą i najmilszą z trzech sióstr.

– Dzień dobry – powiedziała z uśmiechem pani Rozalia. – Szukamy naszego Stasia. Jesteśmy umówieni na pożegnalną herbatę, a na górze zamknięte. Mamy ciasteczka. – Wyciągnęła przed siebie rękę, w której dzierżyła elegancko zapakowaną paczkę. – Możemy tu poczekać? – Nie czekając na zgodę gospodyni, weszła do przedpokoju.

Zofia wpatrywała się w milczeniu w obie damy, a potem, po raz pierwszy w życiu, naprawdę straciła świadomość.

6.

– Jezu Chryste!

Nic nie zdołałoby przygotować Ninki na to, co zastały z babcią w mieszkaniu po powrocie z dworca. Na środku korytarza, w kałuży krwi, leżał jakiś mężczyzna o podejrzanym wyglądzie, niedający oznak życia. Tuż bok niego walał się otwarty nóż sprężynowy.

– Na miłość boską – jęknęła Adela, unosząc rękę do serca. – Znowu trup? W kolejnym mieszkaniu? Toż to jakaś klątwa!

– Słabo babci?

Sama nie czuła się najlepiej. Co prawda, pracując w szpitalu, zdołała przywyknąć do nieżywych ludzi, ale znajdowanie nieboszczyków we własnym domu to zupełnie co innego.

– Nic mi nie jest. – Starsza dama pokręciła przecząco głową. – Wytrzymam. Sprawdź lepiej jego.

– Nie żyje. – Z salonu wyjrzał zdenerwowany Staś. – Dostał w serce.

Babcia ciężko westchnęła, a potem, starając się nie nadepnąć na ciało, wyminęła wnuka i weszła do największego pokoju, z którego dochodziły głosy kilku osób.

– Co się stało? – Nina spojrzała na pobladłą twarz męża. – Ktoś się znowu włamał?!

– Niestety – mruknął w odpowiedzi. – Wszedł kuchennymi drzwiami i wygrażał Zosi nożem.

A więc siostrze przydarzyło się to samo, co niegdyś biednej Katarzynie. Czy ona też... Poczuli się tak, jakby uderzono ją mocno w głowę. Na chwilę straciła oddech.

– Ninko. – Staś chwycił ją w ramiona. – Zosi nic nie jest. Wszystko ci opowiem, ale później. Teraz chodź, możemy być tam potrzebni. Zosia zemdląca. Drugi raz.

– Idziemy – wykrztusiła wreszcie. Mąż miał rację, wyjaśnienia nie były teraz najważniejsze.

W salonie, oprócz babci, zastali bladą i ledwo przytomną Zofię, roztrzęsioną panią Rozalię Reuttową oraz stoicko spokojną Amelię Osnowską.

Nina podbiegła do siostry, złapała ją za rękę i zarzuciła gorączkowymi pytaniami: – Jesteś cała? Zdrowa? Nie zrobił ci krzywdy?

– Wszystko dobrze – wymamrotała Zofia, która niewątpliwie balansowała na granicy hysterii. Zaskakujące, że straciła nad sobą panowanie aż do tego stopnia; zawsze wyróżniała się wyjątkowo zimną krwią. Ale z drugiej strony, nie powinno to dziwić, wcześniej nikt nie próbował poderżnąć jej gardła.

– Przyszliśmy jakieś dziesięć minut temu, a ona otworzyła drzwi i zemdląła. Cuciliśmy ją w przedpokoju, a potem tutaj – wyjaśniła Amelia. – Przydałoby się coś na uspokojenie.

– Może koniak? – Adela czujnie spojrzała na najstarszą wnuczkę. – Pomaga na wszystko.

– Babciu, koniak to nie lekarstwo – jęknęła Nina i zaraz pobiegła do łazienki, gdzie w jednej z szafek stały najpotrzebniejsze medykamenty. Znalazła buteleczkę z walerianą i udała się do kuchni po szklankę i wodę – nigdzie nie było Balbiny, więc pewnie nie zdążyła jeszcze wrócić z zakupów – do której dodała ściśle odpowiednią liczbę kropeł.

W salonie toczyła się tymczasem ożywiona rozmowa.

– Musimy wezwać policję – mówiła Adela. – Niech zabiorą tego zbója z moich oczu i mojej podłogi.

– Już miałem dzwonić do cyrkułu, ale akurat przyszedł babcie – wtrącił Stanisław. – Chcę to mieć jak najszybciej za sobą.

– Lepiej wezwać od razu komisarza Górskiego. Jest dobrze zorientowany w naszych sprawach.

– I jeszcze doktora Warlińskiego – zaproponowała Nina, która właśnie poiła siostrę walerianą, bo ta nie była w stanie samodzielnie utrzymać

szklanki. – I tak będzie potrzebny policji.

A i Zosię powinien obejrzeć lekarz.

– Przepraszam – wyszeptała nagle Zofia, chwytając ją kurczowo za rękę i ciągnąc ku sobie. – Przepraszam – powtórzyła histerycznym tonem. – Muszę powiedzieć pra...

– Ninko – wtrącił się Staś, który uważnie przyglądał się całej scenie. – Chyba za słabe to lekarstwo, zaraz dostanie hysterii.

– Spokojnie, kochana – powiedziała łagodnie młodsza siostra, dodając waleriany do szklanki. – Zaraz poczujesz się lepiej.

Zofia wypła lekarstwo do dna, a potem westchnęła rozpaczliwie i zacisnęła powieki. Ciągle się trzęsła.

– Amelciu – odezwała się pani Rozalia. – A może byśmy poprosiły o pomoc...

– Póki żyję, o nic nie poproszę tego człowieka – przerwała jej ostrym tonem siostra. – Jemu mogę co najwyżej kazać! Janino, gdzie tu macie telefon?

– Stoi na szafce, obok pianina. – Adela wyręczyła wnuczkę w odpowiedzi. – Z rana nawet działał. Rozumiem, moja droga, że zamierzasz dzwonić po policję?

– Tak. Ale nie będziemy zawracać sobie głowy jakimś tam cyrkułem. – Osnowska podeszła do aparatu. Chwyciła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. – Działa – oświadczyła z zadowoleniem, a potem wykręciła numer, poczekała na zgłoszenie centrali i zażądała: – Z kancelarią Urzędu Śledczego na Daniłowiczowskiej.

– Czy to aby dobry pomysł? – zapytała babcia.

– Moja siostra wie, co robi – uspokoila ją Reuttowa. – Proszę jej zaufać.

– Urząd? – upewniła się po polsku dama. – Poproszę z radcą Woroninem. Natychmiast!

Zajęty? Proszę mu przerwać i powiedzieć, że dzwoni Amelia Osnowska. Tak. Dobrze pan słyszał. Proszę się nie bać, ze mną porozmawia na pewno. Tak... Czekam.

– Woronin to zastępca naczelnika Urzędu – poinformowała ich Reuttowa konfidencyjnym tonem – oraz... – Nie zdążyła dokończyć, bo Osnowska znowu zaczęła mówić. I znowu po polsku.

– To pan? Nie, wcale nie taki dobry! Mam kłopot. A jaki może być, skoro dzwonię do pana? Kryminalny. Tak, zabójstwo. Proszę przyjechać i wreszcie na coś się przydać. Zaraz... – Potoczyła wzrokiem po osłupiałym towarzystwie. – Jaki tu jest dokładnie adres?

– Zielna piętnaście, róg Sienna pięć przez siedem – rzuciła Nina, która pierwsza ocknęła się ze stuporu.

– Zielna piętnaście, róg Sienna pięć przez siedem – powtórzyła jak echo Osnowska. – Niech pan zapisze dla pamięci. I proszę nie mitrężyć czasu. Czekam! – Odłożyła słuchawkę, a potem jak gdyby nigdy nic wróciła na swoje miejsce za stołem i z satysfakcją oświadczyła: – Załatwione.

– Czy babcia wezwała samego wiceszefa warszawskiej policji śledczej? – zapytał z niedowierzaniem Stanisław. – Dlaczego?

– To nieistotne – rzuciła Amelia. – Ale zaręczam, mój drogi chłopcze, że będzie przeszczeniwy, mogąc ci pomóc. Szkoda, że nie ma tego łobuza Szustra – dodała z westchnieniem. – Zawsze znika, kiedy jest potrzebny.

– Znasz sędziego Szustra? – zapytała natychmiast babcia, która miała zupełnie inne zdanie na temat eleganckiego urzędnika.

– Niestety, tak... Ale bardzo proszę, droga Adelo, nie rozmawiajmy o nieprzyjemnych sprawach.

7.

Co prawda tajny radca Woronin nie zjawił się osobiście, ale ku ich uldze niezwłocznie przysłał komisarza Górskiego wraz z pięcioma innymi policjantami: tym razem było to mieszane polsko-rosyjskie towarzystwo. Kilka minut później przybył też lekarz sądowy, ale nie Warliński, tylko

jeden z jego kolegów, doktor Bernstein, który natychmiast zabrał się do pracy.

– Szef bardzo przeprasza – wyjaśnił Górski pani Amelii, kiedy z grubsza zorientował się, co zaszło w mieszkaniu. – Naprawdę nie mógł przyjść. Jest ostatnio niezwykle zajęty.

– Pakuje walizki przed ewakuacją? – zapytała kpiąco Osnowska.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale teraz ma spotkanie u gubernatora.

– Cóż, w takim razie pan będzie nam musiał wystarczyć.

Komisarz przezornie nie skomentował tych słów – wyglądało na to, że zna panią Amelię nie od dziś – tylko uklonił się uprzejmie i wrócił do przedpokoju. Spędził tam kilka minut, porozmawiał z lekarzem i znowu zjawił się w salonie.

– A więc było kolejne włamanie – spokojnie stwierdził fakt. – I tym razem ktoś skutecznie powstrzymał zbirów. Kto? – Powiódł wzrokiem po osobach zebranych w pokoju.

– Ja – powiedział Stanisław, wstając z miejsca. – Nie miałem innego wyjścia.

Zofia zbladła jeszcze bardziej; zapewne przypomniała sobie wydarzenia sprzed kilkadziesiąt minut. Wyglądała, jakby miała zaraz umrzeć, więc Nina, choć sama okropnie zdenerwowana – w końcu ważyły się losy jej męża – natychmiast przysunęła się do siostry.

– Kim pan jest?

– To mąż naszej Niny – wyjaśniła słabym głosem babcia.

– Stanisław Woyda. Porucznik Piętnastego Pułku Strzelców Syberyjskich.

– Wnuk naszego brata – rzuciła niecierpliwie pani Amelia.

– Rozumiem – mruknął Górski, a potem zwrócił się po rosyjsku do jednego z towarzyszących mu policjantów: – Wołkow! Biegnijcie do sądu po sędziego śledczego.

– Tak jest.

– A ja chciałbym porozmawiać z porucznikiem Woydą, a potem z panną Zofią, o ile się uspokoi. Czy znajdzie się jakieś odpowiednie miejsce?

– Oczywiście – oświadczyła babcia. – Proszę za mną.

Pani Amelia wstała z krzesła; wyraźnie miała ochotę towarzyszyć wnukowi, ale policjant spojrział na nią i przecząco pokręcił głową. Wyglądało na to, że istnieją pewne granice, których nie pozwalał przekraczać nikomu.

8.

Przez prawie cały wieczór w ich mieszkaniu panowało zamieszanie. Rychło po policjantach pojawił się sędzia śledczy, potem dwóch wysokich rangą oficerów ze sztabu armii, a na koniec wpadła jeszcze żandarmeria, co po raz kolejny doprowadziło Zofię do łez. Na szczęście urzędników nie interesowały rozhisteryzowane panny.

Dla policji sprawa była oczywista: Stanisław działał w obronie szwagierki i własnej. Zabity bandzior – ze zdenerwowania nie zdołała zapamiętać jego nazwiska – miał ponoć w Urzędzie Śledczym kartotekę zajmującą dwie szuflady, a na sumieniu najprawdopodobniej kilka wypatroszonych nożem ofiar. Można więc powiedzieć, że ona i jej nielegalny browning dobrze przysłużyli się warszawskiemu społeczeństwu.

Do Zofii to jednak nie docierało. Wciąż nie mogła znieść myśli, że zabiła człowieka. Tak szczerze, to najchętniej przyznałaby się do winy. Spróbowała nawet powiedzieć prawdę Nince, ale Stanisław zdążył ją powstrzymać. Potem – chyba po walerianie, którą obficie napiła ją siostra – zrobiło się jej wszystko jedno i zrelacjonowała sędziemu śledczemu i komisarzowi taką wersję wydarzeń, jaką ułożyła ze szwagrem.

Wreszcie, niedługo przed północą, wszyscy urzędnicy i oficerowie, ustalwszy, że nie będą przeszkadzać Stanisławowi w spełnieniu

zaszczytnego obowiązku wobec cara i Rosji, rozeszli się każdy w swoją stronę. Pani Amelia i pani Rozalia, upewniwszy się, że ich najdroższemu wnukowi nic nie zagraża, też w końcu udały się do domów.

Nina, jako siła fachowa, wraz z babcią i Polą ratowała właśnie ciotkę Klarę, która wróciła z pracy i na widok zalanego krwią korytarza dostała jakiegoś nerwowego ataku i mimo przeróżnych środków aplikowanych jej przez bratanicę nie mogła dojść do siebie do tej pory.

Tyle dobrego, że nie musiały same sprzątać, bo Balbina, której nieboszczyk wcale nie wzruszył, szybko wyszorowała podłogę, a następnie jak gdyby nigdy nic zrobiła wszystkim herbaty.

Zofia siedziała więc sama w salonie, nad wystygłym już naparem.

– Wszystko w porządku? – zapytał Stanisław, który właśnie wszedł do pokoju i usiadł za stołem, w miejscu gdzie czekała jego zimna herbata.

– Już lepiej – odparła, nie patrząc mu w twarz. – Okropnie się wystraszyłam.

– Rzeczywiście, o mało wszystkiego nie popsulaś, a przecież tłumaczyłem, że mnie za to nie wsadzą. – Choć starał się mówić spokojnie, w jego głosie brzmiała szczerza ulga. Zofia nie miała też wątpliwości, że jest śmiertelnie zmęczony.

– Bogu dzięki – rzuciła prawie szeptem. – Zrobiłeś to dla niej?

– Nie przeczę – odrzekł po chwili. – Ta afera odbiłaby się też na Nince, a chcę, żeby była bezpieczna i spokojna. I jeszcze jedno... Nie odwdzięczam się jej w ten sposób za opiekę, mam zupełnie inne powody.

Zosia nader rzadko czegoś się wstydziła i przeważnie potrafiła znaleźć usprawiedliwienie dla swych najdziwniejszych uczynków, ale w tej chwili poczuła się niewyraźnie. Nie było wyjścia; musiała przyznać, że popełniła pomyłkę. Nie wiedzieć czemu uważała, że Nina i Stanisław nie mogli pokochać się od pierwszego wejrzenia, choć przecież sama miała bardzo podobne doświadczenie.

– Przepraszam. – Zerknęła niepewnie na szwagra. – Nie powinnam była wtrącać się do waszych spraw.

– Masz rację. Nie powinnaś była. Dlatego nie rób tego więcej i zakończmy temat. Są ważniejsze sprawy... Po pierwsze, wynieś z domu pistolet. Przydał się, co prawda, ale lepiej, żeby nikt obcy go nie znalazł. Swoją drogą – tym razem spojrzał na nią z podziwem – doskonale was tam szkoła.

– Gdzie? – zapytała prawie bezgłośnie, wbijając w niego przerażone spojrzenie.

– W tej waszej organizacji. Chyba że nauczyłaś się strzelać jeszcze przed wojną.

– Skąd... skąd wiesz, że ja... – Zaczęła gorączkowo się zastanawiać, czym i kiedy mogła się przed nim zdradzić. Przecież uważała przez cały czas. A może Pola mu powiedziała? Albo Ninka?

– Zosiu – zaczął z powagą. – Nie mam pojęcia o wielu rzeczach, choćby o romantycznej miłości, ale wszystko, co dotyczy wojska, wywącham na milę. Niedawno, na przykład, zauważyłem, jak z samego rana targasz gdzieś karabin. Zamaskowałaś go wcale dobrze, ale założę się, że to był mauser... Wiem też, że Pola ci pomaga.

– I co... co teraz zrobisz? – Zrozumiała, że nie doceniła szwagra.

Do tej pory uważała, że przy odrobinie sprytu można bez trudu wywieść go w pole, jak i innych rosyjskich oficerów, z którymi miewała wcześniej do czynienia. Stanisław był jednak bardzo bystry i spostrzegawczy. Doskonale poradził sobie przecież z policją, sędzią śledczym i przełożonymi.

– Nic nie zrobię.

– Jak to? – Spojrzała na niego z nieukrywanym zdumieniem. – Nie poinformujesz władz?

– Uważaj, bo zaraz się obrażę. – Uniósł rękę w ostrzegawczym geście. – Jestem Polakiem. Rodzice dbali, żebym wiedział o tym od dziecka. Wojsko nie było moją decyzją, ale potem tylko tam znalazłem przyjaciół. Teraz jest inaczej... Tu w Warszawie mam żonę, rodzinę i dom.

Nie chcę żyć nigdzie indziej.

Nie, Nina wcale nie dokonała złego wyboru.

– Może... – zaczęła niepewnie po chwili milczenia. – Może nie wróciłbyś do armii, tylko poszedł do Legionów?

– Ponoć tam nie lubią takich jak ja. – Uśmiechnął się krzywo. – Rosyjskich oficerów polskiego pochodzenia.

– Znam ludzi, którzy mogą to ułatwić.

– Nie – rzucił stanowczo. – Jak powiedziałem, jestem oficerem, nie mogę zdezerterować.

Ale wiem jedno, nie będę walczył z rodakami. Choćbym miał iść za to pod sąd.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć na takie dictum. W zwykłych warunkach zapewne dalej przekonywałaby szwagra, aby zrzucił rosyjski mundur, ale teraz miała nerwy w strzępach.

– Pójdę się położyć – wyjąkała tylko.

Stanisław kiwnął głową i nie powiedział już nic więcej.

9.

– Zosiu? Jesteś tu. – Pola weszła do salonu, ale nie znalazła tam starszej siostry, tylko Stanisława, który samotnie siedział u szczytu stołu z twarzą ukrytą w dłoniach.

Wyglądał na okrutnie czymś przybitego. Cóż się dziwić. Ona wróciła z pracy już po tym, jak zabrano ciało włamywacza, a Balbina kończyła sprzątanie korytarza, ale i tak wieści o popołudniowych wydarzeniach wstrząsnęły nią do głębi. A co dopiero musiał czuć człowiek, który wziął bezpośredni udział w tragedii. Zwłaszcza kiedy pozostawiono go samemu sobie. Zrobiło jej się żal szwagra, ale zanim wymyśliła, jak podnieść go na duchu, on ocknął się z ponurej zadumy i na jej widok zerwał się z krzesła.

– Zofia poszła do siebie – powiedział. – Pewnie śpi.

– To dobrze, martwiłam się o nią. – Podeszła bliżej. – Ty też powinieneś odpocząć.

– Czekam na Ninkę. – Potarł zaczerwienione oczy.

– Jeszcze jej zejdzie trochę czasu. Ciocia jest spokojniejsza, ale babcia źle się poczuła. Idź się położyć. Ninka przyjdzie, jak tylko będzie mogła.

– Nie chcę tam tkwić sam jak palec – mruknął. – Tutaj zresztą też. Mogłabyś trochę ze mną zostać?

Nie miała sumienia mu odmówić, tym bardziej że już za kilkanaście godzin wyjeżdżał na wojnę.

– Chcesz wody? – zapytała. – Albo świeżej herbaty?

– Usiądź. – Zaprosił ją gestem.

Zajęła miejsce tuż obok niego. On też klapnął z powrotem na krzesło.

– Nad czym tak się zastanawiasz? – zapytała wreszcie. – Nad tym, co dzisiaj...

– Myślę, że jutro o tej porze będę już na froncie. Nie chcę tam wracać. – Spojrzał na nią ze smutkiem. – Po tym wszystkim, co tu przeżyłem, mam pewność, że to nie moja wojna. Wiesz, że tam, gdzie jadę, walczy Pierwsza Brygada Legionów? I pewnie rozkażą mi stanąć przeciw niej. To paskudna świadomość.

Słuchała w milczeniu. Nie umiała wyobrazić sobie, co można przeżywać w takiej sytuacji, więc zwykle słowa pociechy wydawały się jej banalne, a nawet śmieszne.

– Naprawdę nic nie da się zrobić? – zapytała szeptem.

– Zosia proponowała, żebym zdezerterował – westchnął. – Ale nie mogę. Złożyłem przysięgę. Co prawda, babcia Amelia twierdzi, że jestem Polakiem, więc mogę ją złamać, ale nie mógłbym spojrzeć w lustro, gdybym uciekł z posterunku. Wracam, choć pewnie marnie się to skończy... – Ostatnie zdanie powiedział chyba bardziej do siebie niż do niej.

– A gdybyś dostał się do niewoli? – Nie miała pojęcia, skąd taki pomysł przyszedł jej do głowy, ale musiała wspomnieć o nim głośno. – Wtedy

byłoby inaczej?

– No tak. – Spojrzał na nią z niedowierzaniem, a po chwili się uśmiechnął. – Nigdy bym nie wpadł na takie rozwiązanie.

– Sam mówiłeś, że tam biją się nasze Legiony... – Zmrużyła jedno oko.

– Jesteś niemożliwa. – Pokręcił głową. – Zawsze masz gotowe rozwiązanie.

– Robię, co mogę. – Uśmiechnęła się do niego i niespodziewanie doznała czegoś, co można było chyba nazwać olśnieniem. Od początku tej rozmowy nie opuszczało jej dziwne wrażenie, że coś tu nie pasuje, a w tym momencie zrozumiała, co takiego.

– Stasiu – zaczęła ostrożnie. – Mogę zadać ci pytanie? I nie, to nie dotyczy ciebie i Ninki.

– Pytaj. – Zerknął na nią wyraźnie zaintrygowany.

– Ilu ludzi zabiłeś w życiu?

– Nie wiem – odparł po krótkim namyśle. – Zanim dostałem granatem, byłem na froncie przez tydzień... Pewnie mam na sumieniu kilku Niemców. Albo trochę więcej.

– Rozumiem. A tak bezpośrednio?

– Żadnego – rzucił bez namysłu, ale zaraz się spiał. – To znaczy dzisiaj...

– Nie wierzę, że to zrobiłeś – oświadczyła z powagą, nie dając mu dokończyć zdania. Po co miał kłamać w żywe oczy. – Nikomu nie pisnę słowa. Chodzi przecież o moją siostrę.

– Skąd wiesz? – Ewidentnie nie zamierzał jej przekonywać, że popełniła omyłkę.

– Gdybyś pierwszy raz zastrzelił kogoś, komu patrzyłeś w oczy, chyba przejąłbyś się tym choć odrobinę. Nawet taki zbir to nie mucha. A ty wcale nie myślisz o nim, tylko się zadręczasz, że wracasz na cudzą wojnę. Tak, wiem, jesteś żołnierzem, ale także porządnym człowiekiem.

– Cóż – rzucił z rezygnacją. – Masz mnie na tacy.

– Wiem też – kontynuowała półgłosem – że Zosia raczej nie traci zimnej krwi. Nie przestraszyłaby się byle zbira, zwłaszcza że trzymała w domu broń. No i ten atak hysterii... Nie rozpaczała tak nawet po śmierci mamy, a kochała ją najbardziej na świecie.

– Zofia jest pewna, że broń to jej tajemnica.

– W tej rodzinie, drogi szwagrze – zaczęła z udawaną emfazą – nie utrzyma się żaden sekret. A jak coś jest głęboko schowane, Julia znajdzie to zupełnym przypadkiem. Nawet pistolet.

Powiedziała mi o swoim odkryciu i uznałyśmy, że nic nie zrobimy, bo w razie potrzeby będzie czym się bronić.

– Wiesz, skąd ona to ma? – zapytał takim tonem, że wszelkie zaprzeczenia uznała za bezcelowe.

– Wiem. – Skinęła głową. – Rozumiem, że ty też?

– Sama powiedziałaś, że marnie u nas z sekretami. – Uśmiechnął się lekko. – Trudno nie zauważyć, czym się obie zajmujecie.

– Przeczuwałam, że wiesz. Od dawna?

– Jakoś od marca. Kiedy po zapaleniu płuc wypuścili mnie ze szpitala, mocno się nudziłem, więc zacząłem obserwować i kojarzyć różne sprawy. Swoją drogą, Zofia doskonale strzela.

– Robi i inne niebezpieczne rzeczy. Ale nikogo do tej pory nie zabiła.

– Wziąłem to na siebie, ponieważ...

– Nie musisz nic tłumaczyć. Masz legalną broń, jesteś mężczyzną i oficerem, a to i tak była samoobrona. Lepiej ci już trochę?

– Nie ma nawet porównania. – Uśmiechnął się do niej. – Dziękuję.

– Nie dziękuj, tylko idź odpocząć, a ja spróbuję wyciągnąć biedną Ninę z jaskini naszych rannych lwic.

Podróż pociągiem z Warszawy do Łap rzeczywiście trwała sześć godzin, ale nie był to koniec drogi. Młodzi małżonkowie mieli do pokonania jeszcze kilkanaście mil; na szczęście duża bryczka ze składanym dachem zaprzężona we dwa kare konie czekała na nich przed dworcem, jak zostało wcześniej ustalone.

– Wszystko dobrze? – Andrzej zwrócił się do stangreta. – Nikt Alojzego nie zatrzymywał po drodze?

– A juści, że zatrzymywali – odparł stangret, nerwowo międląc w rękach czapkę. – Ale zaraz puszczali, bo wiozłem adiutanta pułkownika Gołowina.

– Pułkownik nadal u nas siedzi? Szykował się przecież do wymarszu.

– Został, a wojska przyszło jeszcze więcej. Cały folwark żołdacy zajęli... A adiutant kazał zabrać się z powrotem do domu.

Andrzej zrobił taką minę, jakby zamierzał głośno zakląć, i chyba tylko obecność nowo poślubionej małżonki zdołała go od tego powstrzymać.

– Zapakuj rzeczy – rzucił.

Alojzy, nie zwlekając ani chwili, zaczął mocować walizki z tyłu pojazdu, a kiedy już wszystko umieścił na właściwych miejscach, ruszyli w drogę.

Julia nigdy nie była w Łapach ani nawet na Podlasiu, więc z ciekawością rozglądała się dookoła. Miejskowy dworzec kolei warszawsko-petersburskiej – duży i nieźle utrzymany – wyglądał porządnie i solidnie, złociste wieże pobliskiej cerkwi pobłyskiwały w słońcu, ale sama miejscowość ze swą niską i w dużej części drewnianą zabudową, z wąskimi uliczkami, przez które bryczka przedzierała się z trudem, raczej nie wzbudzała zachwyty.

Wjechali w ulicę Piwną, minęli zbudowaną z drewna, krytą gontem synagogę i niedługo potem zatrzymali się w cieniu drzew tuż obok jednopiętrowego murowanego budynku – najpewniej jakiejś prywatnej kamienicy, przed którą stały strażnicy i kręcili się rosyjscy oficerowie.

Andrzej niezwłocznie wysłał stangreta z zapytaniem o ich dodatkowego pasażera; Alojzy, który bez problemu zdołał wejść do budynku, wrócił po

kwadransie i oświadczył, że adiutant pułkownika Gołowina kazał czekać, ile trzeba.

Julia westchnęła w duchu i choć była zmęczona długą podróżą, nie zamierzała marudzić; już dawno zauważyła, że w stosunkach z władzą należy wykazywać się głównie cierpliwością.

Za to Andrzej z każdą minutą robił się coraz bardziej wściekły; najwyraźniej nie znosił rosyjskich porządków.

– Siedzą nam na głowie od miesięcy – mruknął, nie spuszczać wzroku z kamienicy – i tylko chłopów Niemcami straszą.

– Myślisz, że Niemcy przyjdą aż tutaj? – zapytała żona, która do tej pory żywiła przekonanie, że zdołała skutecznie uciec od wojny.

– Wszystko jest możliwe.

Minęło pół godziny i wreszcie w drzwiach budynku pojawił się postawny ciemnowłosey porucznik z grubą teczką w garści. Rozejrzał się, a potem podszedł do zniecierpliwionego Andrzeja, który palił właśnie papierosa.

– Dzień dobry, Andrzeju Klemensowiczu – zaczął uprzejmym tonem. – Ogromnie przepraszam za zwłokę... Nic nie mogłem poradzić, bo generał Kokoszkin nie lubi się spieszyć.

– Dzień dobry. – Mąż natychmiast wyrzucił niedopałek i uściśnął wyciągniętą dłoń oficera. – Nie szkodzi.

– Zechce mnie pan przedstawić uroczej małżonce. – Oficer z zainteresowaniem zerkał na Julię.

– Pozwól moja droga... Porucznik Dymitrij Georgijewicz Oboleński.

– Julia Ke... Turzyniecka. – Podała Oboleńskiemu rękę, którą ten z rewerencją ucałował, a potem spojrział na jej męża i powiedział: – Szczęściarz z pana, Andrzeju Klemensowiczu.

Usadowili się w trójkę w bryczce: Julia siedziała z jednego brzegu, porucznik z drugiego, zaś Andrzej pomiędzy nimi; uwadze świeżo upieczonej pani Turzynieckiej nie umknęło, że mąż nie jest zadowolony z towarzystwa porucznika.

„Czyżby był zazdrosny?” To przypuszczenie szczerze ją rozbawiło.

Ruszyli. Miejscowość była niewielka, więc szybko zostawili ją za sobą i skierowali się na zachód – musieli cofnąć się nieco w kierunku Łomży. Wieczór był ciepły i pogodny, a słońce wciąż stało wysoko, więc Julia, oparta o ramię męża, mogła bez przeszkód podziwiać podlaskie krajobrazy. Wiedziała, że musi do nich jak najprędzej przywyknąć – od dziś tu będzie jej dom.

Jechali niespiesznie, ale pojazd i tak niekiedy podskakiwał na wertepach, a jego koła wzbijały kłęby kurzu. Andrzej opowiadał o mijanych wsiach – w większości bardzo biednych – o cerkwiach, kościołach, kapliczkach i majątkach ziemskich. Starła się zapamiętać jak najwięcej i choć czuła skutki nieprzespanej nocy, miała o wiele lepszy humor niż rano. Pomyślała, że obawy i lęki, które nie pozwalały jej zasnąć, były zapewne wytworami rozszalałej wyobraźni.

Wszystko ułoży się, jak trzeba – przecież są w sobie zakochani i tak długo czekali, żeby być razem.

Porucznik starał się nie przeszkadzać w rozmowie, ale od czasu do czasu wtrącał swoje trzy grosze – mówił choćby o tym, które miejscowości mogą zostać wkrótce wysiedlone.

– Ale czemu chcecie je wysiedlać? – Julia pochyliła się tak, aby móc zobaczyć twarz Oboleńskiego. Pamiętała doskonale tysiące uchodźców, którzy jesienią ubiegłego roku przywędrowali do Warszawy. Z opowieści ciotki wynikało, że w ostatnich tygodniach znowu zaczęło ich przybywać.

– Moja droga. – Andrzej zerknął na nią z przyganą. – Nie męcz pana porucznika. I tak przecież...

– Bardzo chętnie pani wyjaśnię. – Oficer wpadł mu w słowo. – Niemcy prą do przodu.

Musimy liczyć się nawet z tym, że zajmą Warszawę i przyjdą tutaj. Nie możemy zostawić im mężczyzn zdatnych do wojaczki ani zapasów żywności i paszy dla zwierząt. Dlatego chłopci muszą jechać na wschód, a reszta... – Machnął ręką.

– Spalona ziemia – mruknęła. – Jak za cesarza Napoleona.

– Rzeczywiście. – Spojrzał na nią z uznaniem. – Widzi pani, jeśli coś raz się sprawdziło, warto do tego wracać.

– Ale wcale nie musi się tak zdarzyć? – Naprawdę myślała, że jedzie w bezpieczne miejsce, a tymczasem okazywało się, że w Turzynie może być gorzej niż w Warszawie; stamtąd przynajmniej nikt nie wyrzucał nikogo siłą.

– Nie musi – potwierdził Oboleński. – Robimy wszystko, aby zatrzymać wroga.

Czas mijał i w końcu nadszedł wieczór. Słońce wolno znikало za horyzontem, barwiąc czerwienią i pomarańczem ciemniejące niebo. Julia musiała przyznać, że w Warszawie nie widywała takich zachodów. Przepiękne.

– Zobacz. – Mąż wskazał jej ledwo widoczne w oddali budynki. – Tam są nasze tartaki.

– Chętnie wszystko obejrzę – powiedziała z uśmiechem. – Zawsze mnie ciekawiło, w jaki sposób działa tartak.

– Mój głuptasie. – Pokręcił głową z rozbawieniem, a potem cmoknął ją w czoło. – Mama znajdzie ci zajęcie w domu. Tartak to nie miejsce dla kobiety. Zanudziłabyś się tam na śmierć.

Zamierzała odpowiedzieć mu, że nie byłoby wcale tak źle, bo przecież fabrykę ojca znała jak własną kieszeń i wiedziała, do czego służy każda znajdująca się tam maszyna, powstrzymała się jednak w ostatniej chwili. Zapewne wywiązałyby się z tego dłuższa dyskusja, a ona nie miała na nią siły. Nie umknęło jej uwagi, że porucznik chętnie wziąłby udział także i w tej rozmowie, ale chyba uznał, że nie wypada mu się mieszać do osobistych spraw gospodarzy.

– Jeszcze kwadrans i będziemy na miejscu. Mama na pewno czeka z kolacją.

Nie była głodna, ale chętnie napiłaby się herbaty. Smak tej, którą podawano w pociągu, pozostawiał dużo do życzenia, a poza tym od kurzu zaschło jej w gardle.

Minęli mostek przerzucony nad niewielką strugą i wjechali w szeroką aleję obsadzoną drzewami. Z powodu gęstniejącej ciemności Julia nie zdołała rozpoznać ich gatunku, zorientowała się jednak, że droga wiedzie wprost do otwartej szeroko bramy. Ledwo zdążyli przez nią przejechać, a na powitanie wybiegło im spore stado psów różnej wielkości.

Julia otworzyła szerzej oczy, gdyż właśnie dostrzegła białe ściany dużego klasycystycznego dworu pokrytego spadzistym dachem. Pojazd zwolnił i okrążył duży gazon otoczony żywopłotem i ozdobiony kilkoma klombami, aby zatrzymać się przed przestronnym gankiem wspartym na sześciu białych kolumnach.

– Dojechaliśmy – powiedział Andrzej. – Na pewno ci się spodoba.

Wysiadł pierwszy, a potem podał jej rękę. Zawahała się na chwilę, bo wystraszyły ją psy – wśród nich zauważyła kilka ogarów, trzy cocker spaniele, dwa charty i aż cztery podpalane jamniki – które poszczekiwały radośnie i machały ogonami tak intensywnie, jakby od tego zależało ich życie; zanim się spostrzegła, o jej dłoń otarł się ciepły łeb ogara.

– To Flaszka. – Andrzej się zaśmiał. – Chyba jej się spodobałaś.

Z oddali niosło się rechotanie żab, a powietrze było przesycone zapachem jaśminu.

Nie wiadomo, skąd pojawiła się służba, która zerkając z ciekawością na młodą żonę panicza, wypakowała bagaże. Porucznik zebrał swoje rzeczy, pogłaskał obskakujące go psiska, a potem uklonił się Julii i wszedł do domu. Usłyszała tylko, że z kimś się wita.

Na ganku pojawiła się szczupła dama w średnim wieku, ubrana w elegancką suknię i okryta ozdobnym szalem. Pani Matylda Turzyniecka, którą Julia miała okazję poznać podczas ostatniego przedwojennego karnawału.

– Dobry wieczór. – Andrzej, opędzając się od psów, podszedł do matki. – Cieszę się, że widzę mamę w dobrym zdrowiu. – Ucałował ją w rękę. – Już jesteśmy. Julio, podejdź tu, moja droga.

– Dobry wieczór pani – przywitała się uprzejmie. – Miło mi znowu panią widzieć.

– Dobry wieczór – odparła Turzyniecka; w jej głosie nie było słycać ani radości, ani niechęci. – Witam w naszych progach... Zaraz każę podać kolację, ale wcześniej pewnie zechce pani się odświeżyć.

– Oczywiście. – Kiwnęła głową. Po prawdzie, to oczekiwała sympatyczniejszego powitania, a już na pewno tego, że teściowa będzie zwracać się do niej po imieniu.

– Mieciu! – zawołała gospodyni. – Mieciu!

– Tu jestem, proszę pani. – Z wnętrza dworu wyłoniła się młodziutka dziewczyna z dwoma grubymi jasnymi warkoczami. Wyglądała na trochę wystraszoną. – Zaprowadź panią Julię do jej pokoju i pomóż, w czym trzeba. Od dziś masz słuchać jej we wszystkim.

A więc znowu miała pokojówkę... Przez ostatnie miesiące nauczyła się obywać bez służby, ale przyjemnie będzie czasem kimś się wyręczyć.

Weszła za Miecią do sieni, w której przyjemnie pachniało suszonymi ziołami. Zatrzymała się na chwilę, by nasycić zmysł tą piękną wonią, kiedy usłyszała głos Andrzeja, który tłumaczył coś matce:

– Niech się mama nie trapi, na pewno będzie jutro. Zatrzymały go pilne interesa.

– Już ja znam te jego interesa – prychnęła gniewnie Turzyniecka. – Mają dwie nogi i wycierają się po scenie. A ja ze wszystkim sama... Jak nie wojsko, to żandarmeria. Jak nie żandarmeria, to Kozacy. W lesie pełno uciekinierów. Za dwa tygodnie termin spłaty w banku. A tobie jeszcze zachciało żenić się z panną bez posagu.

– Ależ proszę mamy...

Julia westchnęła w duchu, bo właśnie pojęła, że teściowa nie będzie jej niczego ułatwiać.

11.

Nina zupełnie inaczej wyobrażała sobie wigilię rozstania ze Stasiem. Była pewna, że spędzą wieczór tylko we dwoje, w spokoju i romantycznej atmosferze, a nie na awanturze z powodu kolejnego włamania. W ciągu następnych godzin przez mieszkanie przewinęła się cała armia policjantów, oficerów ze sztabu i urzędników, na koniec zaś ciotka popadła w taką histerię, że prawie wyzionęła ducha, a wszyscy domownicy zgodnie uznali, że to Nina powinna ją ratować. Na dodatek babcia, wystraszona rozpaczliwym stanem Klary, uraczyła się zbyt dużą ilością koniaku, więc należało zająć się i nią. Gdyby nie Pola, która uparła się, że ją zastąpi, pewnie do rana siedziałyby z nimi i liczyła upływające godziny.

Kiedy Nina wróciła na górę, dochodziła trzecia. Była zbyt zmęczona na sen, więc aby nie budzić męża, postanowiła odpocząć w kuchni. Otworzyła lufcik, a kiedy owionął ją chłód nocy, usiadła na krześle i oparła się o parapet. I właśnie wtedy, z całą ostrością, zaczęła docierać do niej straszna prawda.

Nadal ktoś na nie czyhał i coś od nich chciał. Bandzior i morderca, włamał się do ich domu i zagroził Zofii. Stanisław zabił go na miejscu.

Pewnie powinna czuć się źle z tym, że mąż zastrzelił człowieka, ale od początku zdawała sobie sprawę, że jest żołnierzem i zapewne ma na sumieniu niejedno życie; Orderu Świętego Jerzego nie dawano przecież za dobre sprawowanie. O wiele bardziej przerażała ją świadomość, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło. I że nie wiadomo, z której strony padnie kolejny cios.

– Nie słyszałem, że wróciłaś. – Staś nieoczekiwanie stanął w progu kuchni. – Czemu siedzisz po ciemku?

– Myślałam, że śpisz.

– Chyba nie zmrużę oka ani na chwilę. – Przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej. – Czekałem na ciebie, żeby ci wyjaśnić, co się stało.

– Nie musisz mi nic wyjaśniać. Zrobiłeś, co konieczne, a ja cię nie potępię – powiedziała spokojnie. – Najważniejsze, że wam nie stało się nic złego. Chodź tu. – Podniosła się z miejsca i przyciągnęła go do siebie.

Westchnął, a potem objął ją mocno w talii i przywarł do jej łona. Pomyślała z rozpaczą, że jutrzejszej nocy już nie znajdzie go obok siebie. I że dostali od losu tak niewiele czasu.

– Osiem miesięcy... – wyszeptała wreszcie. – A jakby to było wczoraj. Przysięgnij, że nie dasz się zabić.

– Zrobię wszystko, co możliwe i co niemożliwe. – Uniósł głowę. Wzrokiem przyzwyczajonym do ciemności widziała determinację w jego oczach. – Chcę tu wrócić.

Wstał i bez uprzedzenia wziął ją na ręce. Objęła go za szyję, a on zaniósł ją prosto do sypialni i położył na łóżku.

– To lepsze miejsce dla zmęczonych ludzi – rzucił.

Leżeli w ciszy, zwróceniu ku sobie twarzami. Nina wpatrywała się w męża, myśląc tylko o tym, że nie zniesie rozłąki i umrze z tęsknoty.

– Zostało tylko dziesięć godzin.

– Porozmawiajmy – odezwał się poważnym tonem. – Trzeba koniecznie ustalić kilka rzeczy, a rano pewnie zabraknie czasu.

– Zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze, musicie natychmiast wstawić nowe zamki, naprawdę porządne. I nie wolno z tym dłużej zwlekać. Szkoda, że wcześniej nie wiedziałem o waszych kłopotach, bo byłbym to sam załatwił.

– Najpóźniej pojutrze wyślę stróża po ślusarza.

– Zostawię ci na to pieniądze. I nie, nie dyskutuj ze mną... – Nina chciała zaprotestować, ale położył palec na jej ustach. – Gdyby brakowało, idź do banku. Masz tam wszystkie pełnomocnictwa.

– Nie trzeba było. Damy sobie radę. Wrócę do pracy w szpitalu.

– Jeśli masz ochotę, wracaj. Ale z pieniędzy korzystaj i tak. To, co mam, jest nasze wspólne... Jeśli chcesz, zatrzymaj też mieszkanie. Na razie jest opłacone do końca miesiąca.

– Nie będę tu mieszkać sama – odparła szeptem, przytulając się do niego. – Wrócę na dół, po wyjeździe Julii mają dużo miejsca.

– Może to nawet lepiej – mruknął, a po chwili dodał: – A jeszcze co do ostatniego zajścia, to musisz koniecznie wiedzieć, że...

– Stasiu. – Położyła palec na jego ustach. – Nie chcę rozmawiać o ostatnim zajściu. Teraz obchodzisz mnie tylko ty.

Milczeli przez jakiś czas, znowu wpatrując się jedno w drugie. Wreszcie mąż przyciągnął ją do siebie i pocałował z niezwykłą nawet jak na niego delikatnością.

A kiedy zaczął rozpinąć jej bluzkę i poczuła na skórze ciepły dotyk dłoni, już wiedziała, że nie skończy się tylko na pocałunkach. Chciała zapamiętać wszystko – każdą pieszczotę, każde muśnięcie ust, rozkoszną bliskość, westchnienie i szept – bo przez najbliższe miesiące będzie zdana wyłącznie na wspomnienia.

12.

Przez szpary w niedokładnie zasuniętych zasłonach wpadały do pokoju promienie porannego słońca. Julia przez chwilę po przebudzeniu przypominała sobie, gdzie właściwie się znajduje, a potem zerknęła na zegar. Za kwadrans szósta, wcześnie. Zamknęła oczy i przez jakiś czas leżała bez ruchu w nadziei, że zdoła jeszcze zasnąć.

Sen złośliwie nie przychodził, więc zniecierpliwiona uniosła się nieco na poduszce i spojrzała na męża; spał zakopany w pościeli, lekko pochrapując. Ten widok tak ją rozczulił, że przez chwilę walczyła z pokusą, aby się do niego przytulić. Nie chciała jednak go obudzić, niech przynajmniej on porządnie odpocznie.

Wstała z łóżka i na palcach powędrowała do łazienki, a potem do garderoby, gdzie poprzedniego wieczoru Miccia rozpakowała jej rzeczy. Ubrała się w jedną z letnich sukienek, chwyciła kapelusz i ruszyła na

spotkanie nieznanego. Postanowiła, że nikomu nie wadząc, rozejrzy się trochę po najbliższej okolicy.

Dwór – jak podczas kolacji poinformowała ją z dumą teściowa – pochodził z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, a na początku bieżącego stulecia został wyremontowany i unowocześniony. Nie był może tak wygodny jak dawna willa Kellerów, ale panował w nim niepowtarzalny klimat dawnych czasów. Niestety, wyposażenie pokoi zostawiało wiele do życzenia – niewielkim wysiłkiem można byłoby urządzić je ładniej i lepiej wyeksponować pamiątki po przodkach – więc Julia obiecała sobie, że z czasem spróbuje namówić panią Matyldę na zmiany.

Choć pewnie nie będzie to proste, gdyż świekra sprawiała wrażenie nie tyle oszczędnej, co wręcz skąpej – gdyby nie życzenie lubiącego żyć z rozmachem pana Klemensa, całe gospodarstwo wyglądałoby zapewne inaczej.

Po drodze nie spotkała ani domowników, ani służby, ani nawet wojskowych, więc niezatrzymywana przez nikogo, minęła sień i wyszła na ganek. Tam przez kilka minut rozkoszowała się porannym koncertem skowronków, a potem obeszła dwór, bo była pewna, że gdzieś w pobliżu musi być ogród. Znalazła go na tyłach dworu.

Na pierwszy rzut oka wyglądał na nieco zaniedbany, ale już po chwili zorientowała się, że wszystkie rośliny zostały posadzone i posiane według planu – tak, aby przez całą wiosnę i lato, a nawet jesień, mieszkańcy mogli podziwiać kwitnące kwiecie. Julia cieszyła wzrok wielością barw azalii, żywym fioletem lawendy, błękitem niezapominajek i wielokolorową pstrokacizną bratków. Na szczęście nie widziała nigdzie nagietków.

Coś zimnego i wilgotnego otarło się jej o dłoń. Wystraszona, odruchowo spojrzała w dół i dostrzegła wielki pysk ogara i poczciwe brązowe ślepie.

– Flaszka.

Suka, słysząc swoje imię, zamachała ogonem, a Julia, która w tym momencie poczuła się rażniej, pogłaskała ją po łbie. Chętnie spędziłaby w ogrodzie więcej czasu, ale w cieniu rzucanym przez grusze i jabłonie

panował przenikliwy chłód; postanowiła jednak, że koniecznie zajrzy tu znowu po południu. Czuła, że będzie to jedno z jej ulubionych miejsc.

Zamierzała wrócić tą samą drogą, którą przyszła, ale w kącie ogrodu dostrzegła inne wyjście i postanowiła sprawdzić, dokąd dotrze, jeśli powędruje wijącą się wśród rozkwitających jaśminów ścieżką. Flaszka podążyła za nią.

Julia pokonała zaledwie niewielki kawałek drogi, kiedy do jej uszu coraz wyraźniej zaczęły dobiegać przeróżne odgłosy: dziwne skrzypienie, rzenie koni i jakieś pokrzykiwania. Doszła do wniosku, że chyba znalazła się w pobliżu folwarku.

Minęła ostatnie krzaki i wyszła wprost na wielkie, częściowo wybrukowane podwórze, nad którym górował ogromny kamienny budynek. Wszędzie kręcili się rosyjscy żołnierze; Julia podczas wczorajszej kolacji poznała mieszkającego we dworze pułkownika Gołowina i cały jego sztab, ale nie sądziła, że przyprowadzili ze sobą aż tyle wojska.

– A panna co tu robi? – Niski męski głos brzmiał dosyć groźnie.

Odwróciła się. Tuż za nią stał rządcą – około pięćdziesięcioletni stateczny mężczyzna z ogromnymi siwiejącym wąsami – którego wczoraj też jej przedstawiono. Nie zapamiętała jego nazwiska, a on chyba w pierwszej chwili jej nie poznał. Szybko jednak zorientował się, kogo ma przed sobą.

– Przepraszam najuniżeniej. – Natychmiast zmienił ton. – Nie spodziewałem się, że jaśnie pani tu przyjdzie.

„Czekierda. Zdzisław Czekierda” – wreszcie sobie przypomniała.

– Obudziłam się wcześniej i postanowiłam poznać okolicę.

– Tu akurat lepiej samotnie nie chodzić. – Spojrzał znacząco na pojących konie żołdatów.

– Strach, jak zaczepiają kobiety.

– Myślałam, że w Turzynie będzie spokojniej niż w Warszawie.

– Nijak nie jest spokojniej. Wojsko całe wsie wysiedla.

„Spalona ziemia” – te słowa odbiły się w jej głowie niczym echo wczorajszej rozmowy z porucznikiem Oboleńskim.

– Proszę mi powiedzieć, co to za wielki budynek?

– Główny spichlerz – odparł Czekerda. – Obok mamy stajnie. Ojciec naszego dziedzica trzymał konie arabskie, najlepsze w całej guberni. A teraz prawie puste stoją, to żołdacy zaraz zajęli.

– A czy kiedyś mogłabym obejrzeć tartaki?

Rządca aż otworzył usta ze zdumienia, ale szybko się opanował.

– Kiedy będzie miała pani życzenie.

– Proszę jaśnie pani! – Zza kępy jaśminu wyłoniła się zdyszana Miecia. – Starsza pani prosi panią wracać.

– Już idę. – Pożegnała się uprzejmie z Czekerdą, a potem powędrowała za służącą z powrotem do dworu.

A tam panował już ruch, bo służba szykowała śniadanie. Wcześniej jak na przyzwyczajenia Julii, ale na wsi czas chyba płynął inaczej.

– Jesteś. – Pani Matylda, elegancko ubrana i starannie uczesana, wyjrzała ze swojego pokoju. – Pozwól na chwilę, jeśli łaska.

– Oczywiście. Czy mogę jakoś pomóc?

Ostatniego wieczoru doszły do takiej konfidencji, że matka Andrzeja zaczęła zwracać się do niej po imieniu.

Świekra nie poprosiła jej, żeby usiadła, więc Julia poczuła się jak dziewczynka, która zaraz ma otrzymać burę.

– Posłuchaj – zaczęła surowo Turzyniecka. – Zdaję sobie sprawę z braków w twoim wychowaniu... Bo któż miał o to dbać? Babka baletnica? – W jej głosie zabrzmiała czysta pogarda.

– Ale dopóki tu jesteś, życzę sobie, żebyś pamiętała o manierach. Żadnej włóczęgi po okolicy bez opieki!

Julia, u której początkowe zdumienie zaraz ustąpiło miejsca złości – w jej obecności nikt nie miał prawa obrażać babci Adeli – już miała na końcu

języka kąśliwą odpowiedź. Powstrzymała się jednak w ostatniej chwili – nie chciała zaczynać wojny, w której nie miała szans na zwycięstwo.

13.

Wieczorem Zofia niepostrzeżenie wyszła z domu i pojechała na Kruczą, prosto do mieszkania „Małego”, gdzie od kilku tygodni mieściło się laboratorium pirotechniczne. Zgodnie z przewidywaniami zastała tam Janka, który na jej widok nie krył zaskoczenia i był chyba bardziej zły niż zadowolony z tego spotkania. Ona jednak musiała go zobaczyć, potrzebowała tego jak nigdy wcześniej.

– Zabiłam człowieka – wypaliła.

– Kwiatku. – Usiadł obok niej na otomane i wziął ją za rękę. – Oznacza to, że moje nauki nie poszły w las. Dobrze cię przygotowałem podczas treningów. Zawsze zresztą uważałem, że masz talent do...

– Rozumiesz, co mówię?! – Wyrwała dłoń z jego uścisku. – Zabiłam człowieka! W domu, a nie na wojnie. Polaka!

Spokój Janka doprowadzał ją do pasji. Od dwóch dni wciąż rozmyślała o tym, co zaszło.

Analizowała każdy ruch i każde słowo – swoje i napastnika – zastanawiając się, czy można było uniknąć najgorszego. Opowiedziała ukochanemu wszystko z najdrobniejszymi detalami.

– Ten Polak zamordowałby cię bez mrugnięcia okiem – zawyrokował Janek, kiedy skończyła mówić. – Był uzbrojony.

– Miał tylko nóż. – Spuściła głowę. – A ja pistolet.

– Kwiatku, popatrz na mnie. – Dotknął jej twarzy. – Gdybyś nie strzeliła, skończyłabyś jak wasza nieszczęsna służąca. Policja chyba nie ma wątpliwości, że to samoobrona? Swoją drogą, powinnaś wyjechać, zanim natrafiają na coś przy okazji. Lepiej dmuchać na zimne.

– Nie muszę wyjeżdżać – powiedziała cicho. – Nikt nie wie, że to ja.

- Jesteś sprytniejsza, niż myślałam – rzucił z uznaniem.
- Nie jestem – powiedziała twardo. – Szwagier wziął winę na siebie.
- No tak – mruknął Janek. – Oficerowi jadącemu na front nie będą zawracać głowy martwym bandziorem. Ale czemu to zrobił? Przecież to Rosjanin.
- Nie żaden Rosjanin, tylko Polak.
- Tym gorzej. Szeregowców nikt nie pyta o zdanie, ale oficer to co innego. Tacy zruszczeni Polacy to największe gnidy.
- Nie obrażaj mojego szwagra! – Podniosła głos i wbiła w ukochanego wściekle spojrzenie. – Nic o nim nie wiesz. Przyznał się do zabicia tego drania właśnie po to, żeby koło mnie nie węszyli. I żeby nie musiała uciekać.
- Czy to znaczy... – W oczach Janka błysnęła stal; w takich chwilach naprawdę się go bała. – Czy to znaczy, że on wie, co robisz?
- Niektórych spraw nie da się ukryć przed rodziną – odparła ostrożnie. Wszystkie wątpliwości i obawy, z którymi tu przyszła, minęły, jak ręką odjął, teraz zaczynała się martwić, że niechcący narobiła innego bigosu. – A Stanisław mi nie zaszkodzi.
- Uważasz, że można mu ufać?
- Moja siostra mu ufa, a przede wszystkim ufa mu moja babcia.
- Rozumiem, że twoja babcia to najwyższa instancja? – zapytał kpiącym tonem.
- Owszem. Wyczuwa nieszczerłość na milę. A Stanisław... Stanisław jest sierotą, wnukiem zesłańca i w dzieciństwie oddali go do szkoły wojskowej, nie pytając o zdanie.
- Skoro czuje się Polakiem – Janek przyglądał się jej tak uważnie, jakby widział ją po raz pierwszy – bardzo łatwo mógłby zmienić przydział.
- Powiedział, że przysięgał i nie może zdezerterować.
- A więc pytałaś go o to? – W jego głosie brzmiała jakaś niepokojąca nuta.
- Tak. – Kiwnęła niepewnie głową.

– Jak on się nazywa?

– Stanisław Woyda.

– A dokąd go wysłali?

– Ninka... to znaczy jego żona twierdzi, że gdzieś pod Lublin.

– To nawet dobrze się składa – mruknął. – Dowiedz się od siostry, w którym dokładnie jest pułku.

– Co chcesz zrobić? – Złapała go za ramię.

– Są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć – odparł zdawkowo. – Tak jest bezpieczniej.

– Chyba go nie skrzywdzisz? – Pomyślała, że jeśli szwagrowi coś się stanie, to ona do końca życia nie zdoła spojrzeć Nince w oczy.

– A to zależy od... – Nie usłyszała ostatniego słowa, bo zagłuszył je huk wybuchu.

Oboje zerwali się z otomany i popędzili do sąsiedniego pokoju, gdzie mieściło się laboratorium. „Mały” nie był chemikiem i swoje bomby – skądinąd doskonałe – konstruował metodą prób i błędów. Całe dowództwo żywiło obawy, że któregoś dnia wyleci wraz z nimi w powietrze.

On jednak wcale nie przejmował się ryzykiem i dalej robił swoje.

– Co się stało?!

– Zupełnie nic – odparł spokojnym tonem nieco osmalony i rozczochrany gospodarz. – Chyba dodałem jedną kroplę kwasu za dużo. – Wskazał na dymiącą kolbę. – Wszystko jest na dobrej drodze. Zrobię cudo, jakiego w carskiej armii nikt jeszcze nie widział.

ROZDZIAŁ VI

I.

– On umarł! – Przez jęki, rżenie i charczenie rannych przebił się wystraszony głos Wiery.

Nina, która akurat próbowała napić szeregowca Wołkowa, drgnęła nerwowo, rozchlapując przy tym część wody, a potem – jak wszystkie obecne na sali siostry – spojrzała na koleżankę, która stała przy łóżku jednego z żołnierzy i zakrywała usta dłońmi, jakby przeraziły ją własne słowa. Trzęsła się przy tym niczym osika.

Siostra Serafina miała rację, kiedy powtarzała, że Rosyjski Czerwony Krzyż nie powinien przysyłać im młodych dziewcząt zaraz po kursach; w piekle, w jakie ostatnio zamienił się Szpital Ujazdowski, nawet doświadczone pielęgniarki zaczynały wątpić w wytrzymałość swoich nerwów. Nina uważała, że po kilku miesiącach pracy w Lazarecie Miejskim nic jej już nie zdziwi ani nie przestraszy. Myliła się straszliwie, bo to, co ujrzała w pierwszym dniu pracy, przekraczało wszelkie granice wyobraźni.

– Spokojnie, moja droga. – Serafina dziarsko wmaszerowała do izby chorych, zatrzymała się obok podwładnej i łagodnie położyła rękę na jej ramieniu. – Wyjdź stąd, dziecko. Napij się wody. Odetchnij świeżym powietrzem. My się nim zajmiemy.

Wierze nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Odwróciła się na pięcie i z łkaniem, którego nie mogła dłużej powstrzymać, pobięła do wyjścia. Zakonnica zaś, najpierw starannie przykryła zmarłego, a następnie wysłała siostrę Jewdokię po sanitariuszy.

Wołkow jęknął, więc Nina oprzytomniała i wróciła do przerwanej czynności, co wcale nie było łatwe, bo kiedy tylko spojrzała na siną twarz i spieczone wargi pacjenta, zaczynały drżeć jej ręce.

Wreszcie skończyła, wtedy Wołkow otworzył zaczerwienione oczy i mrugnął – wiedziała, że ten gest oznacza podziękowanie; choć od ataku gazowego minęły prawie dwa tygodnie, młody szeregowiec wciąż nie mógł wykrztusić słowa.

Ostatniego dnia maja w okolicy Skierniewic, a dokładnie w pobliżu osady Bolimów, Niemcy, chcąc wreszcie przerwać front, który stał tam od miesięcy i otworzyć drogę do Warszawy, wypuścili na rosyjskie pozycje ogromne ilości żrącego chloru. Wieść o tym bestialstwie dotarła do miasta wraz z transportami poszkodowanych żołnierzy, z których większości nie dało się uratować.

Lekarze na ich widok łapali się za głowy i nieledwie wpadali w panikę, gdyż wcześniej nie widzieli tak zmalretowanych ludzi i nie mieli pojęcia, co powinni robić – każda próba leczenia miała wagę ryzykownego eksperymentu. Najgorsze, że nic nie pomagało. Czas mijał, a ranni i tak umierali w męczarniach jeden po drugim.

Tymczasem w izbie chorych pojawili się sanitariusze i zabrali zmarłego do kostnicy. Siostra Serafina zrobiła znak krzyża i zaczęła odmawiać szeptem katolicką modlitwę za zmarłych; żołnierz był, co prawda, prawosławny, ale w takiej chwili nie miało to chyba znaczenia.

Nina poprawiła Wołkowowi poduszkę i uśmiechnęła się, chcąc dodać mu otuchy. Musiała iść, żeby zmienić jeszcze kilka opatrunków; robiła to prawie bez przerwy, gdyż paskudne rany po oparzeniach goiły się z trudem.

– Okropnie siostra blada – zauważyła Serafina, przyglądając się jej uważnie. – Nie boli siostry głowa? Kiedy siostra była na przerwie?

Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie – od początku dyżuru ani razu nie spojrzała na zegarek.

– Natychmiast marsz na dwór! – nakazała szarytka. – Nie chcę widzieć tu siostry szybciej niż za dwadzieścia minut. Ostatnie, czego mi potrzeba,

to mdlejące pielęgniarki.

Posłusznie wyszła na zewnątrz i oślepiąca światłem słońca zmrużyła oczy. Dopiero po chwili rozejrzała się w poszukiwaniu Wiery. Nie mogła nigdzie jej dostrzec, więc samotnie usiadła w cieniu lipy rosnącej tuż obok pawilonu.

Miała wrażenie, że znalazła się w innym świecie. Nagrzane powietrze pachniało jaśminem i skoszoną trawą, a tonące w zieleni budynki w niczym nie przypominały szpitalnych oddziałów. Nince brakowało jednak siły, aby chłonąć urodę tego miejsca. Głowa pękała jej z bólu.

Na dodatek była ostatnio dziwnie słaba, a większość czynności wykonywała siłą woli. Cóż, przez ostatnie miesiące odzwyczaiła się od ciężkiej pracy.

– Masz ochotę? – zapytała Ludwika, podsuwając jej paczkę papierosów. Nina nawet nie zauważyła, kiedy koleżanka usiadła na ławce.

Ludwika była starsza od niej o kilka lat, ale od pierwszego spotkania przypadły sobie do gustu – może dlatego, że Nina mówiła niewiele, a koleżance buzia nie zamykała się nawet na chwilę.

– Nie, dziękuję.

– Zupełnie zapomniałam, że nie palisz – westchnęła ciężko Ludwika, a potem włożyła papierosa do ust, a z kieszeni fartucha wyciągnęła zapałki. – Matka wciąż mi powtarza, że porządnej kobiecie nie wypada, a ja z nerwów palę coraz więcej. Powiedz mi, jak tak w ogóle można? – zapytała, zaciągając się mocno. – Z tym gazem?

– Podobno wymyślił to jakiś genialny niemiecki naukowiec.

– Wycięłabym mu nerki. Bez chloroformu! Jakim trzeba być barbarzyńcą, żeby truć ludzi jak szczury? A teraz wyobraź sobie, że Niemcy mogą wejść do Warszawy.

Chciała odpowiedzieć, że skoro armia rosyjska raz przepędziła spod miasta wojska kajzera, to tym razem też sobie poradzi. Od zeszłego roku sytuacja zmieniła się jednak diametralnie i takie stwierdzenie mogłoby świadczyć wyłącznie o jej naiwności.

– A twój mąż? Mówiłaś, że wysłali go front. Mam nadzieję, że nie pod Sochaczew?

– Na szczęście na wschód. Tam są głównie Austriacy.

Ostatnio często myślała o tym, że Bóg naprawdę czuwa nad Stanisławem – początkowo miał jechać właśnie nad Bzurę i Rawkę, ponieważ tam walczył jego pułk, ale w ostatniej chwili dowództwo zmieniło rozkazy i wysłało go pod Lublin. Ponoć tam oficerowie byli bardziej potrzebni.

– Nie dziwię się, że poszłaś do pracy. Już lepsze nawet to – Ludwika wymownym gestem wskazała pawilon, w którym mieścił się ich oddział – niż zamartwianie się dzień i noc.

– Szkoda, że nie wzięli mnie na chirurgię. Tam byłoby lżej. – Nie sądziła, że kiedykolwiek wypowie takie słowa, ale teraz naprawdę tak uważała: sterylna sala operacyjna wydawała się jej rajem.

– Nie wytrzymałabym przy operacjach. – Koleżanka wprawnym gestem strzepnęła popiół. – Wolę być w ruchu, niż ciągle patrzeć w jeden punkt albo liczyć krople chloroformu.

Nina w odpowiedzi uśmiechnęła się blado, a potem powiedziała: – Pora wracać. – Świeże powietrze i chwila odpoczynku sprawiły, że naprawdę poczuła się lepiej.

Ludwika kiwnęła tylko głową, gdyż coś przykuło jej uwagę. Nina spojrzała w tym samym kierunku i dostrzegła Wierę, która co sił w nogach biegła ku nim od strony bramy na Wiejskiej.

– Przy... przywieźli – wykrztusiła z trudem, kiedy wreszcie stanęła obok nich. – Znowu.

Pięć sanitarek!

– Kogo? Mów! – Ludwika złapała zadyszaną dziewczynę za rękę.

– Znowu! Ten przeklęty gaz! – Wiera była bliska łez. – W tym samym miejscu.

Nina ukryła twarz w dłoniach, bo poczuła, że też zaraz się rozpłacze. Starsza koleżanka najpierw zakłęła pod nosem, a potem szturchnęła ją w

bok.

– Przestań! – rzuciła. – Nie czas na lamenty. Trzeba brać się do roboty.

2.

Wiera niestety pomyliła się w obliczeniach – zamiast pięciu sanitarek na teren szpitala wjechało aż dziewięć. Trzy zatrzymały się przed ich pawilonem, a pozostałe przy sąsiednich.

Pielęgniarki prawie w komplecie – dwie zostały z rannymi na oddziale – zebrały się przed wejściem.

– Dacie radę, moje drogie – mówiła siostra Serafina, której nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi. – Słuchajcie uważnie lekarzy.

Z budynku wyszedł ordynator Kowalenko, dostojny niczym sam cesarz, a wraz z nim czwórka dyżurujących właśnie lekarzy. Wszyscy byli spokojni – tym razem wiedzieli, czego się spodziewać i choć nie zdołali odkryć, jak skutecznie leczyć ofiary, umieli dać im przynajmniej chwilową ulgę.

Ucichły samochodowe silniki, więc sanitariusze zaczęli otwierać drzwi i wyciągać nosze z kaszlącymi i krztuszącymi się rannymi. Układali ich w równych rzędach na dziedzińcu. Od razu stało się jasne, że co najmniej dwudziestu nie przeżyło transportu.

– Kolegów Sawickiego i Zabiellę oraz koleżankę Daniluk proszę natychmiast na izbę – zarządził ordynator. – A kolega Sorokin spróbuje zrobić triaż. – Omiótł ponurym wzrokiem zatrutych żołnierzy. – Proszę też siostrę Serafinę i sześć pielęgniarek. Pozostałe do łaźni i na oddział. Biegiem! – Ostatnie słowo rzucił, będąc już w sieni budynku.

Nina znalazła się w grupie sióstr wysłanych do izby przyjęć i już po chwili z przerażeniem, którego nie mogła okazać, patrzyła na sine twarze zatrutych gazem ludzi, na pianę na ich ustach, poparzone ciała, krwawe oczy. Słyszała charkot wydobywający się z przepalonych płuc.

Rzęzenie i jęki. Czują duszący smród chloru.

– Nie śpimy, siostro! Zastrzyk z kamfory i kofeiny – rzucił ordynator, który skończył badanie pierwszego pacjenta. – Dawka jak zwykle. A potem rozbierać. Biegiem!

Kamfora i kofeina podtrzymywały akcję serca, a czasem potrafiły nawet ją przywrócić; Nina nie potrafiła zliczyć, ile takich zastrzyków wykonała w ciągu ostatnich dni. Teraz też zmieniała igły i strzykawki i aplikowała leki, nie wykonując przy tym ani jednego zbędnego ruchu.

Następnie dawała znak, aby zabrać rannego do łaźni, tam rozebrać go z przesiąkniętego trucizną munduru, w miarę możliwości umyć i wreszcie położyć do łóżka – w niektórych salach układano najciężej zatrutych, w innych zaś mniej poszkodowanych. Dwa pomieszczenia przeznaczono dla oficerów.

W powietrzu unosiły się opary chloru, który nieznośnie gryzł w oczy i drapał w nosie.

– Nie żyje – orzekł Kowalenko, pochylając się nad okropnie poparzoną chłopakiem, który jeszcze przed chwilą na noszach walczył o każdy oddech. – Ten też nie żyje. – Spojrzał na kolejnego. – A temu... – przyłożył stetoskop do piersi trzeciego pacjenta i przez chwilę osłuchiwał go w skupieniu – ...zastrzyk i do łaźni. Gdzie następny?

Kowalenko dwoił się i troił, a pozostali lekarze wcale nie ustępowali mu pola. Nina z największym podziwem patrzyła na drobną czarnowłosą doktorę Daniluk, która była jedyną lekarką w całym szpitalu i nie tylko dzisiaj pracowała, jeśli nie na równi z mężczyznami, to nawet ciężiej.

– Siostro, temu kofeinę pod powieki! I opatrunek. Może coś będzie z tych oczu.

Półprzytomny żołnierz z trudem chwycił powietrze i ruszał się niespokojnie, co bardzo utrudniało jej pracę. Starając się jak najdelikatniej przytrzymać jego ręce, uporała się z zakraplaniem, a potem ustąpiła miejsca Ludwice, która była mistrzynią w szybkości robienia opatrunków.

– Przyjechały cztery kolejne sanitarki! – Zza otwartego okna dobiegał głośny warkot podjeżdżających blisko aut.

– Jezu Chryste... – rzuciła ze zgrozą Serafina, robiąc znak krzyża.

– Siostro, nie pora na modły. – Ordynator przywołał ją do porządku. – Do roboty! Kogo tu mamy? Kolejnego oficera...

Uważnie osłuchiwał rannego. Wtem odrzucił stetoskop, pochylił się i już robił sztuczne oddychanie... Nina wbijała w lekarza wzrok pełen napięcia. „Raz. Dwa. Trzy – liczyła w myślach. – Raz, dwa, trzy. Udało się!” Porucznik znowu się rozkaszał.

– Siostro, kamfora i kofeina! Do łaźni i na oficerską salę. Szybko!

Wykonała polecenie, a potem korzystając z krótkiej przerwy, zlustrowała izbę przypominającą pobojuwisko. Kiedy przyjmowano na oddział ofiary pierwszego gazowego ataku, jeszcze nie pracowała. Dantejskie sceny, które rozegrały się tutaj ostatniego dnia maja, znała tylko z opowieści koleżanek. Teraz pojęła, że żadne słowa nie oddadzą potworności tych wydarzeń. Coś dusiło ją w gardle – nie miała pojęcia, czy to chlor, czy rozpacz. Nie miała odwagi patrzeć na ludzi, dla których nie było ratunku – w ciągu zaledwie kilku godzin przekonała się, że bezradność to okropne uczucie.

Na znak Kowalenki wróciła do pracy. Czas mijał niepostrzeżenie, aż zapadł wieczór.

Wreszcie w izbie zrobiło się ciszej i luźniej. Wykończone pielęgniarki przysiadły pod ścianami, chcąc choć przez chwilę oprzeć o coś bolące plecy.

– Niech siostry nie śpią! – zawołał ordynator, który sprawiał wrażenie niezniszczalnego, a miał już swoje lata. – Zaraz wszystkie na dwór. Wietrzyć się i oddychać świeżym powietrzem.

I wymyć się jak najprędzej.

– Już koniec? – zapytał doktor Sawicki, ocierając rękawem czoło.

– Jeszcze mamy porucznika i czterech żołnierzy – odparł doktor Sorokin, który już zakończył triaż. – Dużo mniej poszkodowani, bo porucznik kazał im zaraz wleźć na drzewo i zrobić z onuc maski wiadomym sposobem. – Jako doskonale wychowany dżentelmen nie chciał przy kobietach

opowiadać o zastosowaniu uryny na polu walki. – Już ich niosą od sąsiadów, bo tam pełno.

Dwa pobliskie pawilony, w których także rozlokowano ofiary gazu, były mniejsze niż oddział, na którym pracowała Nina.

– Jesteśmy! – wołał z daleka jeden z sanitariuszy.

– Dawajcie go tutaj. Szybko! – rozkazał ordynator, kiedy tylko dostrzegł pierwszego rannego i włożył do uszu słuchawki stetoskopu. – Żyje. Siostrzo Nino, zastrzyk!

Nie wiedziała, jakim cudem zdołała skrupulatnie odmierzyć właściwą dawkę kofeiny i kamfory, a potem wbić igłę pod skórę, skoro jeden rzut oka na posiniałą twarz zatrutego porucznika, na jego poparzone dłonie i oczy ukryte pod opatrunkiem, sprawił, że serce prawie wyskoczyło jej z piersi.

Odłożyła strzykawkę i mocno uchwyciła się poręczy łóżka – gdyby tego nie zrobiła, upadłaby na podłogę – i wybuchnęła płaczem, którego nie mogła już dłużej powstrzymywać.

– Co siostrze? – zapytał zaniepokojony ordynator. – Źle się siostra czuje?

– Siostra go zna... – Domyśliła się natychmiast doktorka Daniluk. – To ktoś bliski?

Nina, wycierając kułakiem łzy, kiwnęła głową. Nie mogła wykrztusić nawet słowa.

3.

– Myślę, że powinnaś wziąć mnie pod rękę – powiedział Michał, uśmiechając się przekornie. – Skoro mamy udawać zakochaną parę.

– Nie zakochaną – Pola żartobliwie pogroziła mu palcem – a kulturalnie spacerującą. Nie sądzisz, że to duża różnica?

– Czasem pierwsze wynika z drugiego, a czasem drugie z pierwszego.

– Niech ci będzie. – Przysunęła się do niego bliżej. – Nie umiem z tobą dyskutować.

– Po wojnie zostanę adwokatem. – Podał jej ramię. – Ćwiczę więc, kiedy mogę.

Przed chwilą odebrali z „Uranii” świeżo wydrukowane gazetki. Było ich o wiele więcej niż zwykle, więc Michał zaoferował Poli swoją pomoc. Przyjęła ją, ponieważ gdyby sama miała przenieść wszystko do magazynu na Hożej, musiałaby pokonać trasę dwukrotnie. A to zajęłoby zbyt wiele czasu, gdyż na miejscu czekały już kolejne kurierki, które popołudniowym pociągiem miały wywieźć bibułę do Lublina.

Przeszli na drugą stronę alei Jerozolimskiej.

– Popatrz, stoją – rzucił cicho Michał.

– Jak zwykle. – Bez trudu wyłowiła z tłumu przemieszczającego się w stronę mostu znajome twarze dziewcząt z oddziału wywiadowczego. Codziennie, niezależnie od pogody, tkwiły po kilka godzin na posterunkach: nie tylko w alei, ale też na Krakowskim Przedmieściu, Nowym Świecie i moście Kierbedzia, obserwując dokładnie i zapamiętując, jakie oddziały wojskowe, w jakiej liczebności i jak uzbrojone, wychodzą z Warszawy lub do niej wchodzą. Zofia wspominała kiedyś, że wywiadowczynie pełnią swoją służbę już od kilku ładnych tygodni. – Wcale im nie zazdroszczę.

Szli niespiesznie Bracką; papier, który sprytnie poukrywali w różnych częściach garderoby, ważył swoje. Na szczęście droga, którą mieli pokonać, nie była wcale długa, ale – odpukać – mogły przydarzyć się im różne rzeczy.

– Poszłabyś ze mną na spacer? – zapytał nieoczekiwanie jej towarzysz. – Na przykład w niedzielę?

– Myślę, że to nieodpowiednia pora, żeby myśleć o takich rzeczach – odparła, rozglądając się dyskretnie, czy gdzieś nie widać patrolu żandarmów.

– Nigdy nie ma odpowiedniej pory, bo zawsze spotykamy się w pracy. Może warto byłoby to zmienić?

Zerknęła na niego. Był sympatycznym i mądrym chłopakiem, do tego w jawny sposób okazywał jej zainteresowanie, ale nie wzbudzał w niej żadnych uczuć. Lubiała go i tyle.

– Wybacz, ale mam już inne plany.

Zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale mocno ścisnęła jego rękę, bo dostrzegła żandarmów nadchodzących od strony Żurawiej.

Uśmiechnęła się zalotnie, a Michał pochylił się w jej stronę z taką miną, jakby zamierzał ją pocałować – w biały dzień, na ulicy i na oczach przechodniów. Na szczęście nie zrobił tego, tylko udawał, że z uczuciem zagląda jej w oczy. Chyba udawał.

Dowódca patrolu obrzucił ich przenikliwym spojrzeniem. Na chwilę zmartwiała; miała wrażenie, że żandarm prześwietla ją na wylot i doskonale widzi duże kieszenie powszywane w spódnicę, wypełnione nielegalną bibułą, oraz ulotki ukryte w obszernych rękawach. A może to Michał wzbudził w nim jakieś podejrzenia?

Pożałowała, że przyjęła jego pomoc; kolega ryzykował znacznie więcej niż ona, bo mężczyźni sprawdzano chętniej i dokładniej.

Choć miała duszę na ramieniu, przechodząc obok patrolu, starała się zachowywać jak zwykła dziewczyna spacerująca z ukochanym chłopakiem i ciesząca się ciepłym lipcowym dniem.

Nie zaczepili ich. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę, a potem dyskretnie wytarła pot z czoła. Jeszcze kilka kroków. Jeszcze kilka...

– Barysznia!

Serce Poli na moment się zatrzymało. Wolno odwróciła głowę.

– Wy potieriali piercziatku – powiedział dowódca, a jeden z żandarmów podszedł do nich, aby oddać zgubę.

– Spasiba. – Zmusiła się do uśmiechu, skinęła głową, a potem nerwowym gestem wcisnęła rękawiczkę do kieszeni.

– Zawsze myślałem – zaczął cicho Michał, kiedy od patrolu dzieliła ich bezpieczną odległość – że w kolportażu macie najłatwiejszą robotę.

– Wymaga mocnych nerwów – odparła już nieco uspokojona. – I tyle.

Wędrowali w milczeniu przez pusty jak rzadko plac Świętego Aleksandra i właśnie mijali kościół, kiedy jakiś żeński głos zawołał: – Michasiu!

Pola odruchowo spojrzała w tamtym kierunku i zauważyła elegancką damę w średnim wieku, która stała na schodach świątyni i machała do nich ręką.

– Moja matka – mruknął jej towarzysz i oblał się pąsem. – Na śmierć zapomniałem, że miała tu być na mszy. Lepiej nie uciekajmy, bo zacznie nas gonić. Zapewne umiera z ciekawości, kim jesteś – dodał po chwili, widząc jej zdumienie.

– Niech będzie, że się do mnie zalecasz.

– Z największą przyjemnością.

Tymczasem dama zeszła ze schodów i ruszyła ku nim różnym krokiem. Pola nie bez zdziwienia skonstatowała, że jest bardzo ładna i zupełnie nie wygląda na matkę dorosłego syna.

– Michasiu, co tu robisz o tej porze? – zapytała z udawaną surowością, kiedy dzieliło ich już tylko kilka kroków. – Miałeś jechać do ciotki Florentyny. – Błyskawicznie zlustrowała Polę od stóp do głów.

Kellerówna wcale nie poczuła skrępowania – w oczach kobiety nie było złości i chęci oceny, tylko najzwyczajniejsza w świecie ciekawość.

– Niech mama pozwoli – zaczął uroczyście Michał. – To panna Apolonia Keller, moja znajoma.

– Puszkielowa – przedstawiła się jego matka, po czym obdarzyła ją promiennym uśmiechem i wyciągnęła rękę. – Musi panienska koniecznie wpaść do mnie na herbatę. Wcale ci się nie dziwię – mrugnęła porozumiewawczo do syna – że nie pojechałeś do ciotki Florentyny. Co osiemnaście lat, to nie osiemdziesiąt.

Pola z trudem powstrzymała śmiech i ze zdziwieniem stwierdziła, że chętnie pogawędziłaby z matką Michała, ale czas ich gonił, więc należało kulturalnie się pożegnać.

– Chętnie kiedyś napiję się z panią herbaty – powiedziała najbardziej uprzejmym tonem, na jaki mogła się zdobyć. – Teraz muszę iść do domu. Babcia jest niespokojna, kiedy spóźniam się na podwieczorek.

– Ach, to zrozumiałe... Ale koniecznie musi panienka przyjść. Koniecznie!

Pani Puszkielowa wezwała dorożkę, a oni przyspieszyli kroku i dopiero kiedy dotarli do miejsca, gdzie Mokotowska zbiegała się z Hożą, Pola powiedziała z uśmiechem: – Twoja matka jest doprawdy przeurocza.

– Rzeczywiście – odparł Michał z przekąsem. – Jest też taka dobra i uważająca, że mogłaby zagłaskać na śmierć. Czasem mam ochotę uciec z domu.

– Nie mów tak! – rzuciła trochę za ostro. – Matka... Nie wiesz, ile bym dała, żeby jeszcze raz zobaczyć własną.

– Przepraszam. Nie chciałem...

– Ależ mnie nie musisz przeproszać. – Spojrzała na niego z powagą. – Po prostu docień, kogo masz blisko siebie.

Skreśli do bramy kamienicy. Byli już u celu.

4.

– Jaśnie pan dzisiaj nie przyjmuje – oświadczył Ambroży, lokaj Edmunda Richtera, łypiąc na Ninę spod oka. Choć znał ją prawie od dziecka, zachowywał się powściągliwie. Nie była wcale tym zdziwiona, gdyż po kilkunastu godzinach spędzonych w szpitalu nie dość, że wyglądała jak straszdyło, to jeszcze roztaczała wokół siebie odór chloru. – Zaraz kładzie się do łóżka.

– Mnie przyjmie – powiedziała z naciskiem. – Niech Ambroży pójdzie i powie mu, że przyszedłam w bardzo ważnej sprawie.

Nie zważając na późną porę, zamiast po pracy wrócić do domu i doprowadzić się do porządku, wezwała dorożkę i kazała wieźć się na

Wolską, gdzie w prawie nowym neoklasycystycznym pałacyku mieszkał pan Edmund.

– Powtarzam panie...

– Pani – poprawiła go Nina. Była śmiertelnie zmęczona, a przez to tak zła, że najchętniej rozbiłaby coś lokajowi na głowie, niszcząc przy okazji jego irytująco równy przedziałek. – Pani Janina Woyda. Niech Ambroży zapamięta raz na zawsze. I poinformuje pana Richtera, że czekam.

– O tej godzinie – lokaj nabzdyczył się niczym indor – to pan akurat...

– Co się dzieje? – U szczytu schodów zamajaczyła postać gospodarza, który wcale nie wyglądał, jakby szykował się do snu. – Krzyki Ambrożego słychać w całym domu.

– Dobry wieczór panu. – Nina skorzystała z okazji i przesunęła się tak, aby Richter bez przeszkód mógł ją zobaczyć.

– Panna... Pani Nina! Co panią sprowadza?

– Mam bardzo ważną sprawę – powtórzyła, chyba po raz setny tego wieczoru. Nie chciała wchodzić w szczegóły przy służbie; jak znała życie, i tak już wszystkie pokojówki obserwowały ją zza winkła. – Poświęci mi pan kwadrans?

– Oczywiście – potwierdził Richter ku wyraźnemu zgorszeniu Ambrożego. – Napije się pani herbaty? A może coś by pani zjadła?

– Herbata wystarczy. – Choć od wielu godzin nie miała nic w ustach, po dzisiejszym dyżurze nie dałaby rady przełknąć nawet kęsa.

– Niech Ambroży przyśle do gabinetu Henrykę ze wszystkim, co tam trzeba – zaordynował gospodarz, a potem wskazał Ninie drogę. – Zapraszam panią.

Gabinet znajdował się na parterze. Doskonale wiedziała, jak do niego trafić; kiedyś bywała tu bardzo często.

– Zapraszam do środka. – Pan Edmund otworzył przed nią drzwi. – Proszę usiąść, pani Nino.

Prawie zdążyła zapomnieć, z jakim smakiem urządziła ten dom rozkochana w secesji pani Eugenia; jej portret z młodych lat pędzła Styki

zajmował poczesne miejsce nad kominkiem i biurkiem Richtera. Ledwo zdążyła zająć miejsce przy okrągłym stoliku na lwich łapkach, ustawionym w rogu gabinetu, już pojawiła się starsza pokojówka z tacą, na której stały dwie szklanki herbaty, cukier i ciastka.

– Dobry wieczór pani. – Ukłoniła się grzecznie i zaczęła rozstawiać na blacie przyniesione rzeczy.

– Dobry wieczór, Henryko – powiedziała Nina; służąca pracowała u Richterów chyba ze trzydzieści lat.

– Słucham – powiedział gospodarz, kiedy pokojówka wreszcie wyszła.

Nina nerwowo mieszała łyżeczką w szklance. Miała pustkę w głowie i nie wiedziała, w jaki sposób oznajmić człowiekowi, który pochował niedawno ukochaną żonę, że jego przybrany syn leży w szpitalu zatruty gazem i może stracić wzrok albo nawet umrzeć; w przypadku ofiar spod Bolimowa wszelkie lekarskie przewidywania miały wartość losu na loterię.

Chcąc zyskać na czasie, upiła łyk, przy okazji konstatuując, że już całe wieki nie miała w ustach tak doskonałego naparu.

– Pracuję w Szpitalu Ujazdowskim – zaczęła prawie szeptem; gdyby mówiła głośniej, pewnie znowu zaczęłaby płakać. – Jako pielęgniarza.

– Nie wiedziałem, że pani... – zaczął kurtuazyjnie.

– Skończyłam odpowiednią szkołę – wpadła mu w słowo. Chciała jak najszybciej wyrzucić z siebie to, z czym przyszła. – Może słyszał pan o niemieckim ataku gazowym na froncie pod Skierniewicami?

– Zdaje się, że czytałem o tym w „Kurierze”. To było chyba jakiś tydzień temu.

– Dwanaście dni. A dzisiaj miał miejsce drugi. Przywieźli do nas rannych, dlatego tak cuchnę chlorem.

– Czy ja... Co mogę mieć wspólnego... – Pytanie zawisło w powietrzu. Pan Edmund musiał przecież wiedzieć, przynajmniej orientacyjnie, na jakim odcinku frontu walczy jego siostrzeniec.

– Wśród poszkodowanych jest pan Witold.

Richter zamknął oczy i znieruchomiał, a jego twarz wyglądała przez chwilę jak rzeźba wykuta w kamieniu.

– Co z nim? – zapytał wreszcie zmienionym głosem. – Proszę mówić!

– Nie jest najgorzej. Chyba dużo wie o trujących gazach, bo uratował nie tylko siebie, ale i czterech żołnierzy. Ma poparzone drogi oddechowe. – Starła się przekazywać informacje w jak najbardziej oględny sposób. – Na szczęście się nie dusi. Ordynator twierdzi, że jego życie nie jest zagrożone. – Nie umiała powiedzieć Richterowi, że po kilku dniach od zatrucia może pojawić się obrzęk płuc zabijający ofiary. – Ma poparzenia na twarzy. To znaczy oczy...

– Stracił wzrok?

– Jeszcze nie wiadomo. Trzeba czekać.

– Jest przytomny?

– Tak. Ale mówi jak w malignie. Wcale mnie nie poznał, choć widzieliśmy się zaledwie kilka tygodni temu.

– Czy... czy pozwolą mi go zobaczyć?

Nie miała wątpliwości, że doktor Kowalenko nie wpuści nikogo postronnego na oddział pełen cierpiących męki żołnierzy, ale wiedziała też, że w obecnym stanie nerwów Richter nie przyjmie do wiadomości odmowy.

– Proszę porozmawiać z ordynatorem. Został na nocnym dyżurze.

– Jadę tam. – Zerwał się z miejsca. – Natychmiast. Po drodze odwiozę panią do domu.

Nie protestowała, a nawet odetchnęła z ulgą. Nie miała ochoty na samotną podróż dorożką przez ulice nocnej Woli.

– Ambroży! Ambroży, chodź tu natychmiast!

– Słucham jaśnie pana. – Lokaj zmaterializował się momentalnie, więc Nina zaczęła podejrzewać, że przez cały czas podsłuchiwał za drzwiami.

– Niech Jacenty wyprowadzi auto.

– O tej porze? – zapytał lokaj z trudnym do ukrycia oburzeniem. Służył niegdyś u hrabiego Kwileckiego i z tego powodu miał się za wyrocznie towarzyskich form; przestrzegał nawet tych, których jeszcze nie wymyślono.

– Od kiedy Ambroży jest moją matką? – zapytał zirytowany Richter. – Za dwie minuty wyjdziemy z panią Niną na ganek, a jak nie będzie tam auta, Ambroży pożegna się z posadą. Bez referencji!

Coś w głosie pracodawcy musiało zaniepokoić lokaja, bo w milczeniu wyszedł z pokoju; Nina słyszała tylko stopniowo cichnący odgłos jego kroków.

– Chodźmy. – Gospodarz spojrział na nią wyczekująco. – Nie mitrężmy czasu.

Automobil spóźnił się o jakieś dziesięć sekund. Milczący wciąż Ambroży otworzył przed nimi drzwi.

Jechali w ciszy. Siedzenia mercedesa były tak wygodne i tak przyjemnie w nim bujało, że Nina zaczęła przysypiać. Ocknęła się dopiero, kiedy auto stanęło pod bramą kamienicy na Wielkiej. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest, ale kiedy spojrzała na Richtera, natychmiast wszystko sobie przypomniała.

– Przepraszam – wymamrotała.

– Dobrze, że pani odpoczęła – odparł pan Edmund. – Jesteśmy na miejscu.

– Dziękuję.

– To ja pani dziękuję, że znalazła pani jeszcze tyle siły, żeby do mnie przyjechać.

– Pomyślałam, że musi pan wiedzieć, co się stało – rzuciła, szykując się do wyjścia.

– Proszę jeszcze chwilę poczekać. – Zrobił taki gest, jakby zamierzał wziąć ją za rękę. – Niech Jacenty zrobi sobie mały spacer – powiedział do kierowcy znaczącym tonem.

Nina początkowo trochę się zaniepokoiła, przypomniała sobie jednak, jak tatko powtarzał, że Richter jest twardym graczem, ale przy tym uczciwym.

– Witold wspomniał niedawno, że chcą panie wiedzieć, kto stoi za bankructwem Maksymiliana. Czy to prawda?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Próbowaliśmy to sprawdzić, ale niestety bez efektów. Mamy za mało możliwości.

– Po co to wam?

– Niedawno było u nas kolejne włamanie do mieszkania. Zofia o mało nie zginęła, na szczęście mój mąż zastrzelił włamywacza. Chcemy wiedzieć, kto nam zagraża. I z jakiego powodu. Zakładamy, że to ta sama osoba, która zniszczyła naszego ojca.

– Nie słyszałem o włamaniu – westchnął Richter. – Mam ostatnio wyjątkowo dużo pracy.

Dowiedziałem się za to, że ewakuacja waszej fabryki jest już pewna. Nie zostawią jej w spokoju.

– Ale jak się dowiedzieć, kiedy zaczną wywozić maszyny? Chciałyśmy dyżurować tam na zmianę, ale to niewykonalne. Nie możemy jeździć na Kawęczyńską nawet raz w tygodniu.

– Mam tam swoich ludzi, którzy baczą na wszystko – powiedział Richter w taki sposób, jakby obwieszczał jej najzwyczajszą rzecz pod słońcem. – Powiadomię was, jak coś się ruszy.

– Dlaczego pan... – Spojrzała nie niego uważnie. – Dlaczego to pana interesuje?

– Ktoś zrujnował mojego kolegę i niedoszłego wspólnika, więc ja mogę być następny. To chyba pani dziadek mawiał, że przezorny jest gotowy na każdą ewentualność.

– Zgadza się. I... i dziękuję panu.

– To ja pani dziękuję raz jeszcze. Wiem, że pewnie nie wejść do szpitala, ale nie zdołałbym usiedzieć teraz w domu.

Wahała się tylko przez chwilę.

– Strażnikowi na bramie niech pan da z dziesięć rubli, wtedy pana wpuści. Proszę mu powiedzieć, że szuka pan pawilonu, gdzie są zatruci oficerowie, to wskaże panu drogę. Dziś pełni tam dyżur siostra Aniela. Proszę przekazać, że ja pana przysłałam i nie daj Bóg, nie proponować jej żadnych pieniędzy. Pewnie trochę pozrzedzi, ale jest szansa, że pozwoli panu zobaczyć Witolda chociaż z daleka.

– Widzę, że obaj z Maksymilianem popełniliśmy błąd. – Pan Edmund uśmiechnął się nieoczekiwanie. – Powinniśmy byli swatać Witolda z panią... Przez chwilę brałem to nawet pod uwagę, ale chłopak uparł się na pannę Zofię.

Chłopak? To znaczy Witold. Uparł się na Zofię?

Nina pomyślała, że albo ze zmęczenia źle coś zrozumiała, albo jej starsza siostra naprawdę nic nie wie o mężczyznach.

5.

Zza uchylonego okna, zabezpieczonego muślinową materią przed inwazją natrętnych much i komarów, dochodziło melodyjne kumkanie żab i słowicze trele, a atmosfera w sypialni młodej pary z każdą chwilą stawała się coraz bardziej romantyczna. Wtem Andrzej, zamiast pocałować żonę po raz drugi, odsunął się od niej i ze śmiertelną powagą oświadczył: – Chcę z tobą porozmawiać.

– O czym? – Julia zerknęła na niego spod zmrużonych powiek.

Ależ jej się podobał. Mogła patrzeć na niego godzinami. Pocałunki lubiła nieco mniej, a obowiązki małżeńskie uczyła się tolerować – czas mijał, sypianie z mężem już nie sprawiało jej bólu, ale nadal nie czuła żadnej przyjemności. Przed wyjazdem z Warszawy powinna była jednak porozmawiać z Niną, może ona umiałaby wyjaśnić, o co naprawdę chodzi w tych sprawach.

– O twoim karygodnym zachowaniu.

– O moim karygodnym zachowaniu? – powtórzyła dokładnie jego słowa, ponieważ odniosła wrażenie, że się przesłyszała. – Czyżbym za rzadko cię całowała?

– Nie żartuj z poważnych spraw – rzucił surowo. – Dzisiaj przy kolacji bezwstydnie kokietowałeś pułkownika Gołowina. Robisz to nieustannie, od kiedy przyjechaliśmy do domu.

– Gołowina?! – Zerwała się z poduszki. – Przecież on ma z sześćdziesiąt lat! Mógłby być moim dziadkiem.

– Tym bardziej dziwi mnie twoje postępowanie. – Andrzej zachowywał się jak prokurator. – A jest jeszcze Oboleński... Nie odrywa od ciebie oczu. Kapitan Kamyszkin także. Nawet rządcę owinęłaś sobie dookoła palca.

– Rządca pomaga mi...

– Już kilka razy mówiłem, że nie wolno ci chodzić do lasu! – Mąż podniósł głos. – Uciekinierom nie zdołasz pomóc, a nasza spiżarnia to nie studnia bez dna.

– Tych ludzi wyrzucono z domów! Mam czekać, aż poumierają z głodu? – Od czasu pracy w sekcji bezdomnych Komitetu Obywatelskiego coś się w niej zmieniło i już nie umiała patrzeć beczynn timer na cudze nieszczęście.

– Żądam tylko, żebyś zachowywała się... jak należy.

Co za diabeł w niego wstąpił? Nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Sama nie miała sobie nic do zarzucenia. Matka, a potem ciotka Klara nieustannie jej powtarzały, że ma być miła i uprzejma dla ludzi. A więc była. Oczywiście, dopóki ktoś nie pozwolił sobie na zbyt wiele – wtedy żądliła jak osa. Bez żadnych oporów i granic dąsała się tylko na siostry, które nic sobie z tego nie robiły... i na doktora Warlińskiego.

– Zachowuję się jak zawsze – odparła z urazą, a potem usiadła na łóżku i sięgnęła po dzbanek z wodą. – Kiedyś ci nie przeszkadzało, że jestem wesoła i rozmawiam z ludźmi.

– Kiedyś było inaczej. Teraz jesteś moją żoną i oczekuję od ciebie szacunku.

Julia wypła duszkiem całą szklankę i znowu spojrzała na męża. Zaczynała budzić się w niej złość.

– Sugerujesz, że mogłabym nie dotrzymać ci wiary? – zapytała z pozornym spokojem.

– Wiem, że nie, ale... Mężczyźni wyobrażają sobie rozmaite rzeczy... Zwłaszcza kiedy się do nich mizdrzysz. Moja matka twierdzi, że nawet ojciec...

– Co takiego?! – przerwała mu bez pardonu, bo to był już szczyt wszystkiego. – Twoja matka oszalała!

Świekr miał swoje za uszami, ale dla niej był zwyczajnie miły.

– Miarkuj się! Pamiętaj, o kim mówisz.

– Ja?! Ja muszę się miarkować? To twoja matka mnie obraża! Było zenić się z tą cudowną panną, którą ci wybrała. – Świekra już trzeciego dnia uświadomiła ją, że upatrzyła sobie inną synową.

– Ożeniłem się z tobą. I nie przeszkadzało mi...

– Że mój ojciec stracił pieniądze i nie mam posagu? Mówiłeś to już kilka razy. Mam z wdzięczności całować ci stopy?

– Nie bądź ordynarna.

– Nie ja zaczęłam tę rozmowę. – Sięgnęła po szlafrok.

– Dokądś się wybierasz? – Andrzej zszedł z łóżka i zastąpił jej drogę.

– Do ogrodu.

– W takim stroju?! – Nawet nie zamierzał kryć oburzenia.

– Mam dosyć tej dyskusji! Ciebie też mam dosyć!

– Nigdzie nie pójdziesz! – Chwycił ją za rękę i ścisnął, aż zaboląło. – Tak zdecydowałem i basta.

Zapiski Poli

Jeszcze trochę, a chyba oszaleję!

Wczoraj wieczorem Ninka przyniosła ze szpitala wiadomość, że wśród zatrutych gazem, który Niemcy znowu rozpylili na froncie pod Sochaczewem, jest Witold. I że choć przeżył atak i transport do Warszawy, to niebezpieczeństwo nie minęło.

Ciocia i babcia bardzo się przejęły wieściami i teraz modlą się gorliwie za niego i za jego wuja, który niedawno stracił najbliższą osobę. Nawet Zofia, która przecież twierdziła, że nie dba o dawnego konkurenta, jest naprawdę wstrząśnięta. A mnie, kiedy tylko o nim pomyślę – a myślę nieustannie – boli wszystko w środku.

Chciałabym go zobaczyć. Choć przez kilka sekund. Pod jakim jednak pretekstem miałabym iść do szpitala? Co powiedzieć siostrze? Zresztą i tak nie wpuściliby mnie do niego.

Nie wytrzymam tej niepewności!

Najgorsze, że nie mogę nic po sobie pokazać, bo zdradzę się z uczuciami. Nie mogę nawet płakać w nocy, bo po wyjeździe Stanisława Ninka zrezygnowała z mieszkania i z powrotem wprowadziła się do nas, a konkretnie do mojego pokoju. Nie żebym miała coś przeciwko jej sąsiedztwu, zwłaszcza że w porównaniu z Julią jest zupełnie niekłopotliwa, ale trochę się obawiam, że mając mnie tak blisko, odgadnie wszystkie moje tajemnice.

7.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytała z niedowierzaniem Nina na widok ubranej w pielęgniarski fartuch Sabiny Dresslerówny, która jak gdyby nigdy nic szła do pawilonu od strony bramy.

– Dzień dobry – odparła koleżanka z chłodną uprzejmością. – Chcę odwiedzić narzeczonego. Wiem, że u was leży.

– Rzeczywiście – kiwnęła głową – ale osobom postronnym nie wolno wchodzić na oddział.

Co prawda panu Edmundowi udało się zobaczyć siostrzeńca, ale o tym wiedziały tylko trzy osoby. Tudzież ordynator, który przyłapał go na gorącym uczynku. Odstąpił jednak od wymierzenia kary, ponieważ Richter był jednym z fundatorów nowoczesnej kliniki dla gruźlików prowadzonej w Otwocku przez profesora Maleskiego, z którą doktor Kowalenko też miał zaszczyt współpracować. Dresslerowie raczej nie trzymali w rękawie takiego asa: całe warszawskie towarzystwo wiedziało, że głowa rodziny nie lubi marnować pieniędzy na dobroczynność.

– Nie jestem osobą postronną – oświadczyła Sabina. – Jestem pielęgniarką z sąsiedniego szpitala. Doktor Sorokin mnie zna, bo raz w tygodniu u nas bywa. Zapytałam go i pozwolił mi przyjść do Witolda. Możesz mnie do niego zaprowadzić?

– Oczywiście. – Przerwa dobiegała końca, więc i tak powinna wrócić na oddział, gdzie czekało kilkanaście opatrunków do zmienienia. – Chodźmy.

Przez całą drogę milczały. Nina nie miała siły ani ochoty na kurtuazyjne konwersacje – na szczerą rozmowę z Sabiną jakoś nie mogła się zdobyć – a koleżance najwyraźniej to nie przeszkadzało. Zwłaszcza że była zdenerwowana. Nina nawet jej współczuła: uczucie paralizującego strachu o życie ukochanego mężczyzny znała akurat aż za dobrze.

Sala, do której zmierzały, znajdowała się na samym końcu korytarza, więc po drodze Dresslerówna mogła zobaczyć, usłyszeć oraz poczuć niemało z tego, co działo się na oddziale, i z każdym krokiem stawiała się coraz bledsza. A przecież ten dzień nie był wcale taki zły – od rana nie umarł ani jeden pacjent.

Mijane pielęgniarki nie zwracały na nie uwagi; zapewne myślały, że Sabina pracuje w którymś z sąsiednich pawilonów albo nawet w Zamku Ujazdowskim i przysłano ją do nich w jakiejś służbowej sprawie.

– Wyszoruj ręce i włóż maseczkę – powiedziała Nina, zatrzymując się przy drzwiach łazienki. – Leż na stoliku.

– Nie musisz mnie pouczać – mruknęła Sabina. – Wiem co robić.

Wymyła się bardzo starannie, zasłoniła usta i dopiero wtedy Ninka zaprowadziła ją do izby chorych, gdzie leżało ośmiu oficerów – dwóch, którzy przeżyli pierwszy atak gazowy w maju, i sześciu przywiezionych po drugim. Jeszcze cztery dni temu było ich tu trzynastu.

Dresslerówna stanęła na środku sali i niepewnie wodziła wzrokiem po nienaturalnie bladych twarzach rannych.

– Tam. – Nina wskazała jej pacjenta z ogromnym opatrunkiem na oczach. – Pod oknem. – Tarłowski był w stosunkowo dobrej kondycji, dlatego położono go najdalej od drzwi.

Przejęta koleżanka podeszła do łóżka i pochyliła się nad narzeczonym. Nie ruszał się, możliwe, że spał. Mimo kaszlu i rżenia sąsiadów Nina słyszała jego chrapliwy oddech.

Uspokojona wyszła na korytarz; nie chciała, aby Sabina posądziła ją o wścibstwo. W pobliżu nie kręciła się żadna inna pielęgniarka, więc postanowiła poczekać na koniec wizyty; Witold czuł się, co prawda, niezłe, ale nie wiadomo, jak zareaguje na obecność Sabiny – Nina miała nadzieję, że Dresslerówna nie kłamała i doktor Sorokin naprawdę pozwolił jej tu przyjść – więc ktoś kompetentny i gotowy do pomocy powinien czuwać w pogotowiu. Nic nie mogła poradzić, ale nie ufała zawodowym umiejętnościom koleżanki.

– Na co siostra czeka? – Z pokoju zabiegowego wyłoniła się Serafina. – Opatrunki same się nie zmieniają.

– Narzeczona porucznika Tarłowskiego dostała pozwolenie na wizytę. Jest w środku. – Spojrzała wymownie na wejście do sali.

– A siostra czuwa, żeby nie zrobiła mu krzywdy? – Szarytka uśmiechnęła się do niej. – Gdybym nie wiedziała, że z siostry mężatka, zaczęłabym coś podejrzewać.

– Znamy się z porucznikiem od dziecka. Kiedyś miał zenić się z moją siostrą.

– Przychodzą do niego pielgrzymki jak do cudownego obrazu. Boję się, że to chłopakowi zaszkodzi. Zaraz któreś przywlecze jakieś choróbko i

będzie po nim.

– Każę wszystkim szorować ręce i zakładać maski. Inaczej nie wpuszczam.

– Tyle dobrego – westchnęła zakonnica. – Gdyby to ode mnie zależało, zakazałabym wizyt na amen.

– Niech wie, że ma dla kogo żyć. To pomaga. Tak samo jak modlitwa.

– Nie wiedziałam, że z siostry taka znawczyni tematu. – Serafina pokręciła głową trochę z rozbawieniem, a trochę lekceważąco.

– Spotkałam mężczyznę, który uparł się, że przeżyje arcytrudną operację, bo wiedział, że ktoś na niego czeka. Zresztą pan Witold nie ma obrzęku płuc, więc chyba wszystko idzie ku dobremu. – Bardzo chciała w to wierzyć.

– Młody Iwanow pięć dni po ataku też niby nie miał. A po dwóch tygodniach, jak nikt się już nie spodziewał, wziął i umarł.

– Młody Iwanow od początku był w gorszym stanie niż porucznik Tarłowski.

Zanim szarytka zdążyła odpowiedzieć, drzwi sali otworzyły się gwałtownie i na korytarz, jak z procy, wyskoczyła Sabina. Nina złapała ją za rękę i mocno przytrzymała.

– Czy on... – Nie potrafiła dokończyć pytania.

Koleżanka nie zamierzała odpowiadać: wyrwała się z uścisku, ściągnęła z twarzy maseczkę, rzuciła ją na podłogę i pobiegła do drzwi.

Ninka i Serafina patrzyły za nią przez chwilę, ale w końcu oprzytomniały i na wyścigi popędziły sprawdzić, co się stało Witoldowi.

Żył. Nadal oddychał chrapliwie i leżał bez ruchu. Tylko jego prawa dłoń poruszała się niespokojnie.

– Bogu dzięki – rzuciła z ulgą zakonnica. – Pewnie rany wystraszyły pannę.

– Zostanę z nim. – Nina spojrzała błagalnie na przełożoną. – Tylko kilka minut. Upewnię się, że wszystko w porządku.

- No dobrze... Zaczę zmienić opatrunki, a siostra potem mnie zastąpi.
- Serafina ruszyła w stronę wyjścia, sprawdzając po drodze stan pozostałych rannych.

Witold nadal błędził palcami po kołdrze, jakby uparcie czegoś szukał. W tej niezrozumiałej dla Poli determinacji było coś tak poruszającego, że ścisnęło ją w gardle. Nie zastanawiając się, co robi, ostrożnie dotknęła jego ręki. Nie chwilę znieruchomiał, a potem uchwycił jej dłoń i z widocznym trudem wyszeptał: – Panna Zofia? Zosia... Wiedziałem, że przyjdiesz.

ROZDZIAŁ VII

I.

– A więc co twoim zdaniem powinnam zrobić? – zapytała Zofia, starając się nie patrzeć na Ninkę siedzącą na swoim dawnym łóżku.

Była śmiertelnie zmęczona, gdyż po wyjściu z pracy przez kolejne pięć godzin stała na posterunku przy moście Kierbedzia, obserwując, jakie instytucje zaczęły właśnie ewakuację i czy któreś pułki nie przenoszą się aby na Pragę. Do tego wciąż nie opuszczało jej przygnębienie. Nie pomagały tłumaczenia Janka ani jego czułość – wciąż nie umiała pogodzić się z tym, że zabiła człowieka. Wieści o tym, co spotkało Witolda, też zrobiły swoje; mogła myśleć o nim różne rzeczy, ale życzyła mu jak najlepiej.

– Na pewno zrozumiałaś, co powiedziałam? – Nina, wyraźnie zaniepokojona, wstała i usiadła obok niej. – Dobrze się czujesz? Pokaż czoło.

Nie protestowała, więc siostra sprawdziła, czy nie ma gorączki.

– Rozumiem, że opowiedziałaś mi tę historię w jakimś celu – rzuciła, kiedy Nina nieco się odsunęła. – Chciałabym wiedzieć w jakim.

– Uważam, że powinnaś go odwiedzić. I to jak najszybciej.

– Żartujesz sobie?!

– Powiedziałaś kiedyś, że Witold cię nie kochał, ponieważ nie pojechał za tobą do Krakowa – zaczęła ostrożnie siostra. – Mnie się wydaje, że właśnie kochał i dlatego dał ci wolną rękę.

Kocha cię do tej pory.

– I dlatego zaręczył się z Sabina? Piękny dowód miłości.

– Może uznał, że nigdy go nie zechcesz.

– I miał rację.

– Albo chciał, żebyś była zazdrosna.

– Witold?! – Zofia uśmiechnęła się mimo woli, bo pomyślała, że Tarłowski mógłby snuć skomplikowane miłosne intrygi, był tak absurdalny, aż śmieszny. Prędzej uwierzyłaby, że szpieguje dla Rosjan. – Mówiłam i będę powtarzać, że on robi tylko to, co należy. I nic się w tym względzie nie zmieni.

– Mówiłaś też, że kiedy zaczął się do ciebie zalecać, straciłaś do niego zaufanie.

Zofia jęknęła w duchu: siostra miała zdecydowanie za dobrą pamięć.

– Ciekawe, czy sama byś nie straciła, gdyby mężczyzna, którego traktowałaś jak brata, nagle poprosił cię o rękę? – rzuciła. – I na dodatek nie umiał wyjaśnić, czemu to zrobił?

– Nie wiem – odparła Nina. – Ale jedno jest pewne, nie oświadczył się pod presją, tylko z własnej woli.

– Na szczęście też miałam w tej kwestii coś do powiedzenia. – Uniosła hardo głowę. Coraz bardziej męczyła ją ta rozmowa. – Lubię Witolda, ale nic więcej. Nie pójdę do szpitala, żeby dawać mu złudną nadzieję, zwłaszcza gdy jest ciężko chory. Zresztą Sabina mnie nie cierpi. Gdyby dowiedziała się, że go odwiedziłam...

– I tak jest wściekła, bo pomylił ją z tobą – ucięła Nina. – Nie rozumiem, co się stało z tą dziewczyną. Przez tyle lat byliśmy sobie bliskie.

– Nie przyzna się za nic, ale wie, że on jej nie kocha. I chyba uważa, że to moja wina. Ty dostajesz rykoszetem. Nasza Julia często opowiada głupstwa, ale w tym wypadku miała rację: Sabina to flądra.

– Nie mieści mi się to w głowie. – Nina nie wyglądała na przekonaną.

– Poczekaj trochę. Zobaczysz, że będzie chciała odegrać się na mnie.

– Nie masz więc nic do stracenia. Przyjdź go odwiedzić. Jutro mam nocny dyżur, pomogę ci wejść do szpitala.

– Od kiedy łamiesz przepisy? – Spróbowała obrócić wszystko w żart. – Zawsze wiedziałam, że opieka nad Rosjanami źle na ciebie wpływa. – To, że Nina zatrudniła się w Szpitalu Ujazdowskim, nadal jej się nie podobało, ale wiedziała, że skoro siostra tak postanowiła, nic nie zdoła jej skłonić do zmiany decyzji.

– Jak na razie, widzę same korzyści z takiej opieki – odparła przekornie siostra. – Proszę cię, nie odmawiaj. Zastanów się spokojnie, ale nie za długo. – Posmutniała, a Zofia poczuła się nieswojo. Nie zamierzała jednak robić czegoś, czego mogłaby potem żałować. I bez tego jej sprawy osobiste były wystarczająco skomplikowane.

– A może przestałabyś układać mi życie? Sama wiem, co mam robić.

– Przyganiał kocioł garnkowi – rzuciła Nina, ale w jej głosie nie było złości ani żalu.

– Przeprosiłam Stanisława i ciebie też przepraszam. I sama widzisz, że z takiego wtrącania nie przychodzi nic dobrego. Naprawdę nie mogę pójść do Witolda. Będę modlić się za niego, ale go nie odwiedzę. Nie ma mowy.

– Kochasz kogoś?

– Tak – odparła bez namysłu. – I on mnie kocha. Nie chcę, by myślał, że liczy się dla mnie ktoś inny.

– Jesteście zaręczeni? Czemu nie zaprosisz go do domu? Przez wymogi konspiracji?

Mogła zbyć siostrę jednym zdaniem, ale zapragnęła powiedzieć prawdę. Może za przyczyną niedawnych wydarzeń poczuła się nieładnie zmęczona wmawianiem całemu światu, że nic nie łączy jej z Jankiem. Ukradkowymi spotkaniami i nieustanną ostrożnością, która i tak nie przynosiła efektów. Udawaniem, że nie dostrzega ciekawskich spojrzeń i nie słyszy dwuznacznych uwag.

– Janek jest żonaty.

Ku jej zaskoczeniu Nina nie wyglądała na zgorszona tym wyznaniem.

– Naprawdę ci to nie przeszkadza? – zapytała po chwili milczenia.

– Wziął ślub bardzo młodo – wyjaśniła szybko Zofia. – Na polecenie ojca... który niedługo później zmarł. Janek nie chciał utrzymywać fikcji. Tyle że żona nie chce dać mu rozwodu, mimo że nie mają dzieci. – Spojrzała niepewnie na siostrę, a potem rzuciła desperacko: – Tak, przeszkadza mi to okropnie. Nie rozumiem, jak mógł dać się zmusić do małżeństwa. Ale i tak go kocham. Nie mogę nic na to poradzić.

Nina westchnęła i przyciągnęła ją do siebie. Zosia mocno przytuliła się do siostry i poczuła ulgę, że nareszcie ktoś jej nie potępił.

2.

Przed wejściem do klatki schodowej Pola natknęła się na komisarza Górskiego. Policjant ukłonił się jej uprzejmie, ale nie rozpoczął rozmowy, tylko szybkim krokiem przemierzył podwórze i zniknął w bramie. Kellerówna była na siebie zła, że go nie zatrzymała, gdyż chętnie dowiedziałyby się z pierwszej ręki, czy śledztwo w sprawie ostatniego włamania posunęło się choć o cal. Cóż, będzie musiała zadowolić się relacją babci, jak zwykle pełną dygresji i najróżniejszych przypuszczeń.

Weszła na górę kuchennymi schodami i zapukała do drzwi, które zostały ostatnio wzmocnione dwoma solidnymi sztabami z żelaza.

– Kto tam?

– To ja, Pola. Niech Balbina otworzy.

Usłyszała szcęk metalu i po chwili była już w środku. Służąca wyszła zaś na korytarz i rozejrzała się uważnie, a kiedy nabrała pewności, że wszystko jest w najlepszym porządku, wróciła do kuchni i przekręciła klucz w zamku. Sztaby wskoczyły na swoje miejsce.

– Zje panienka zupy? Pomidorowa.

– Dziękuję, Balbino, jadłam w pracy. Pójdę się przebrać i zajrzę do babci, ale – zerknęła na szumiący samowar – chętnie napiłabym się herbaty.

Opuściła kuchnię i odpinając po drodze kapelusz, szła prosto do swojego pokoju. Nie zdołała jednak tam dotrzeć, bo kiedy mijała salon, dobiegło ją wołanie Adeli.

– Polciu, to ty?

– Tak, babciu. – Cofnęła się i zajrzała do pokoju.

– Jesteś, moja droga. – Starsza dama ucieszyła się na jej widok. – Siedzę tu sama jak za karę i mam wrażenie, że nawiedzi mnie duch tego zbrojaka. Nie chciałabym się stąd wyprowadzać, więc pójdę jutro do kościoła poprosić, żeby ksiądz proboszcz wyświęcił całe mieszkanie. Może wtedy zdołamy odetchnąć... Nie sądzisz, że to jakaś klątwa?

– Żadna klątwa, tylko przestępca, który zawziął się na nas – oświadczyła Pola. – A odetchniemy, kiedy wreszcie go złapią. A właśnie, na dole minęłam się z komisarzem Górskim.

– Ach, był wszystkiego kwadrans i ciągle przeproszał, że się spieszy.

– Coś powiedział?

– Że umorzyli sprawę Stasia – mruknęła Adela. – Sędzia śledczy dostał wczoraj pismo z samego sztabu.

– Ależ to doskonale! – Tak po prawdzie, Pola trochę się obawiała, że wydarzy się coś nieoczekiwanego i szwagier będzie musiał odpowiedzieć za nie swoją winę.

– Druga wiadomość jest gorsza. Umorzyli też sprawę włamania.

– Jak to?

– Ewakuują sąd i nawet ten tajny radca od Amelii nic nie poradzi – westchnęła babcia. – Zresztą policji też kazali pakować papiery, więc pewnie będzie następna do wyjazdu. Zaraz wymordują nas wszystkie i nawet pies z kulawą nogą nie zwróci na to uwagi.

– Trzymam na wierzchu tasak – powiedziała konfidencjonalnie Balbina, która akurat weszła do salonu z herbatą i ciastkami z ciemnej mąki. – A drugi pod poduszką. Rozwałę łeb każdemu, kto wlezie.

– To pocieszające – mruknęła babcia. – Ale Balbina nie zastąpi policji.

– Takim draniom nie policja potrzebna – zawyrokowała służąca, kiedy rozstawiła na stole przyniesione rzeczy – tylko kula w łeb!

– Mamy już naszą polską milicję obywatelską – rzekła pocieszająco Pola, kiedy zostały z babcią same. – Czytałam o niej w gazecie.

– Nasza milicja ma pilnować porządku w mieście, a nie szukać bandytów i ich zleceniodawców. Czarno to widzę, moje dziecko. Czasami żałuję, że nie nakazałam Maksymilianowi, żeby uczył was strzelania. A jak widać, to przydatna umiejętność. Może da się jeszcze nadrobić ten brak.

Informację, że nadrabianie zaległości rozpoczęło się już dawno temu, a do tego przyniosło pierwszy efekt, Pola przezornie zachowała dla siebie.

3.

Zofia obudziła się, kiedy za oknem panowała jeszcze ciemność. Zacisnęła powieki i starając się oddychać regularnie, czekała na sen.

Ten jednak nie nadchodził. Za to w głowie tłukły się myśli, które najchętniej wyrzuciłaby stamtąd raz na zawsze. Boże kochany, przecież podjęła decyzję. I to najlepszą z możliwych. Nie pójdzie do żadnego szpitala. Nie zmieni zdania. Koniec i amen!

Zamierzała odetchnąć z ulgą, ale nieoczekiwanie wróciło do niej wspomnienie zepchnięte dawno temu w odmęty niepamięci. I choć od tamtego dnia upłynęło prawie jedenaście lat, zobaczyła wszystko tak wyraźnie, jakby to było wczoraj.

Mama umarła w szpitalu po trudnym porodzie zakończonym cesarskim cięciem, wykonanym przez jednego z najslawniejszych warszawskich chirurgów. Kiedy stało się jasne, że taki zabieg jest niezbędny, babcia chciała wezwać którąś z kształconych za granicą młodych doktorek, ale ojciec nie wyraził na to zgody – nie wierzył, że kobieta może wyuczyć się medycyny w takim stopniu, aby móc skutecznie operować. W następstwie tej decyzji został wdowcem, bo zadufany w sobie profesor Zieliński

spartolił pracę. Dziecka – tak wyczekiwanego przez niego syna – także nie dało się uratować.

Zosia, która była ulubienicą matki, nie chciała uwierzyć w jej śmierć, więc postanowiła pojechać do szpitala, aby przekonać się o tym na własne oczy. Ojciec miał jednak na głowie ważniejsze sprawy niż spełnianie życzeń najstarszej córki. Za to Witold, który zjawił się wraz z Richterami chcącymi wesprzeć osieroconą rodzinę, bez pytania zabrał nowiutkiego forda wuja i nie myśląc o konsekwencjach, zawiózł ją do Dzieciątka Jezus. Co prawda nie wpuszczono ich do środka, ale Zofia i tak poczuła się lepiej, bo ktoś zatroszczył się o nią i zaryzykował: w gorącej wodzie kąpany Richter o mało nie spuścił manta szesnastoletniemu siostrzeńcowi.

Witold zawsze robił to, o co go poprosiła. Kiedyś brała to za słabość, ale teraz już wiedziała, że chciał przychylić jej nieba.

Ze zdenerwowania zaschło jej w gardle, ale szklanka, którą napełniała na noc przegotowaną wodą, tym razem była pusta. Nie chciała tłuc się po kuchni, aby nie budzić śpiącej w służbówce Balbiny. Postanowiła za to sprawdzić, czy coś nie zostało w dzbanku w salonie.

Wyszła z pokoju, następnie na palcach przemknęła przez korytarz, starając się nie patrzeć na fragment podłogi, gdzie kilka tygodni temu leżało ciało włamywacza; babcia zgodnie z zapowiedzią wezwała kolejno aż trzech księży ze święconą wodą, ale Zofia i tak nie czuła się nieswojo za każdym razem, kiedy mijała to miejsce.

Wiecznie skrzypiące drzwi do salonu na szczęście były otwarte. Wślizgnęła się do środka i podeszła do stołu. Kryształowy dzbanek był na szczęście wypełniony wodą prawie do połowy.

– Zosia?

Drgnęła i o mało nie upuściła szklanki, a kiedy opanowała zaskoczenie, spojrzała w kierunku, z którego dochodził szept: na parapecie siedziała Pola, także w nocnej koszuli i bez papci.

Zofia naląła sobie wody i wypiła ją duszkiem, a potem podeszła do siostry.

– Co tu robisz o tej porze?

– Nie mogę spać. Wiercę się i wiercę. Nie chciałam obudzić Ninki, to przyszłam tutaj i czekam, aż mnie zmorzy.

– Ninki po dyżurze nie obudzi wystrzał z armaty. – Uśmiechnęła się do Poli. Wzrok przywykł do ciemności, więc wyraźnie widziała rysy jej twarzy. Łudzące podobieństwo do matki, na które zwykle nie zwracała uwagi, teraz uderzyło ją bardzo mocno. Może przez tę historię, którą właśnie sobie przypomniwała...

– Coś cię męczy?

– Nie. – Młodsza pokręciła przecząco głową. – Chyba jestem za bardzo zmęczona.

Coś, jakaś fałszywa nuta w głosie siostry, sprawiało, że Zofia nie umiała jej uwierzyć.

Uznała jednak, że nie będzie o nic pytać; sama nie znosiła, kiedy ktoś wiercił jej dziurę w brzuchu.

– A ty? Wciąż myślisz o tamtych wydarzeniach? – kontynuowała Pola.

– Staram się zapomnieć. – Usiadła na parapecie obok siostry; niebo za oknem odrobinę pojaśniało. – Ale to niełatwe.

Młodsza chciała chyba coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Przez jakiś czas siedziały w milczeniu, bo żadna nie miała ochoty wracać do łóżka. Wreszcie Pola zapytała półgłosem: – Myślisz, że pan Witold przeżyje?

– Mam nadzieję – rzuciła zdawkowo. – Musisz zapytać Ninę.

– Myślałam, że tobie powiedziała coś więcej. W końcu chce, żebyś poszła go odwiedzić.

– Przed tobą naprawdę nic się nie ukryje – rzuciła Zofia z rezygnacją, zastanawiając się jednocześnie, czy najmłodsza siostra nie wywąchała czegoś na temat śmierci włamywacza. Jeśli tak, to kryła się z tym bardzo dobrze.

– Szczerze mówiąc, byłam przekonana, że do szpitala nie ma wstępu nikt z zewnątrz.

– Wuj był u niego dwa razy. Odwiedziła go też Sabina.

– Ona? A po co?

– Zapomniałaś, że to jego narzeczona?

– No tak – mruknęła młodsza, a potem przyciągnęła do siebie kolana i objęła je ramionami. Zofia spojrzała na nią z niepokojem; w dzieciństwie Pola zawsze siadała w ten sposób, kiedy czuła się nieszczęśliwa. – Szkoda go dla niej.

– Ty lepiej byś do niego pasowała – rzuciła bez namysłu, ale już po chwili uznała, że wcale nie byłby to zły pomysł. O ile, oczywiście, Witold przestałby nazywać inne kobiety jej imieniem.

– Nie żartuj sobie ze mną – powiedziała Pola z urazą i skuliła się jeszcze bardziej.

– Przepraszam. – Poglądziła siostrę po ramieniu. – Sama nie wiem, co robić.

– Idź. Nie musisz wyznawać mu miłości ani nic obiecywać. Idź jako stara przyjaciółka.

Znasz go od kilkunastu lat i chyba lubisz. Bo później, jeśli coś by mu się stało – jej głos lekko zadrżał – nie wybaczysz sobie tej odmowy do końca życia. Chyba że „Gryf” ci zabronił...

– Zapamiętaj sobie, że nie ma na świecie mężczyzny, który mógłby mi czegoś zabronić.

Zofia wypowiedziała te słowa z absolutną pewnością w głosie, miała jednak nieprzyjemne wrażenie, że minęła się z prawdą.

4.

Zapiski Poli

Nie mam wątpliwości – Witold kocha Zofię. Zawsze ją kochał, tylko nikt – ani ona, ani nawet ja – nie zdołał tego zauważyć. A skoro ta miłość trwa tyle lat, nie ma szans, że kiedykolwiek o niej zapomni. Każdy inny dałby radę, ale nie on.

Co mam teraz zrobić? Przecież nie znienawidzę własnej siostry... Muszę chyba cierpieć w ciszy tak jak dotychczas i modlić się, żeby Zosia doceniła to, co ma w zasięgu ręki.

5.

– Naprawdę nie dbasz o to, że chcę odwiedzić dawnego konkurenta? – rzuciła wyzywająco Zofia.

– Zośka, do czorta, są ważniejsze sprawy! – Janek wcale nie ukrywał niezadowolenia. – Ustaliliśmy, że spotykamy się, kiedy dam znak, że można. A ty przychodzisz niespodziewanie i zawracasz mi głowę bzdurami!

Do tej pory bezwzględnie trzymała się zasad, ale dziś musiała z nim porozmawiać o Witoldzie. Gdyby był przejęty albo zazdrosny, wiedziałyby, że odmawiając wizyty w szpitalu, postąpiła słusznie. Tymczasem on sprawiał wrażenie, że jest mu wszystko jedno.

– Co tu się dzieje? – Do pokoju zajrzał zaaferowany czymś Roman. – „Mira”? – Zdziwił się na jej widok. – Przyniosłaś broń?

– Nie. Przyszłam tylko.... – Miała pustkę w głowie, zresztą nie umiałaby okłamać dowódcy. – Przyszłam tylko na chwilę.

„Roman” natychmiast przestał się nią interesować, za to zwrócił się do Janka: – Czekamy na ciebie.

– Idę. – Zerwał się z miejsca i wyszedł za dowódcą, nawet się na nią nie oglądając.

Przez chwilę siedziała jak ogłuszona. Czuła zawstydzienie pomieszane z poczuciem winy i złością. Rzeczywiście, może i nie powinna była

przychodzić bez uprzedzenia, ale z drugiej strony, nie przywykła, aby ktoś traktował ją tak lekceważąco.

Wreszcie uznała, że nic tu po niej. Poprawiła kapelusz i ruszyła do wyjścia.

– Pamiętasz, że jutro masz dyżur na moście? – zapytała „Milska”, patrząc na nią z niepokojem – Tak. – Kiwnęła głową i nie zwracając więcej uwagi na koleżankę, opuściła konspiracyjne mieszkanie.

Próbowała się uspokoić, tłumacząc sobie, że zapewne Oddział Lotny szykował się do kolejnej akcji i Janek był tym bardzo przejęty. Niestety, myśl, że nie jest dla niego nikim ważnym, tylko zabawką, która umiła mu czas na wojnie, powracała do niej wręcz obsesyjnie, choć robiła wszystko, aby wyrzucić ją z głowy.

Szła przed siebie i nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się na Wiejskiej tuż przed bramą Szpitala Ujazdowskiego. Nieco ją to skonfundowało. Skoro jednak nogi same ją tu przyniosły, to chyba znak, że powinna posłuchać rad siostr i odwiedzić Witolda. Mogła to zrobić bez przeszkód. Nic nikomu nie była winna.

– Chcę zobaczyć się z siostrą Janiną Woydą – powiedziała po rosyjsku do jednego ze strażników. Starła się wyglądać przy tym jak najbardziej słodko i dziewczęco. – Jestem jej siostrą.

Mam naprawdę ważną sprawę.

Żołnierz obrzucił ją spojrzeniem pełnym aprobaty, a potem cofnął się do budki strażniczej i po chwili usłyszała, jak rozmawia z kimś przez telefon.

– Trzeba czekać – oznajmił, kiedy znowu stanął obok niej.

Pokiwała gorliwie głową i korzystając z tego, że strażnik musiał wypuścić sanitarkę, odeszła na bok i przez pręty ogrodzenia popatrzyła na porośniętą drzewami wiślaną skarpe, która bardziej przypominała park niż miejsce, gdzie leczono rannych żołnierzy. Nie miała jeszcze okazji tu wejść, choć dzięki raportom wywiadowczyń doskonale wiedziała, ilu pacjentów przybywa na wszystkich oddziałach, do jakich formacji

wojskowych należą, skąd ich przywieziono i jakie panują wśród nich nastroje.

Oświetloną ścieżką wędrowała Nina. Zofia pomyślała, że siostra wygląda nader mizernie.

Oczywiste było, że przepracowywała się, aby zdusić tęsknotę za mężem. Ona też martwiła się o szwagra, gdyż wciąż pamiętała zainteresowanie i dziwne pytania Janka. Chciała wrócić do tej rozmowy, ale dotąd nie miała okazji.

– Zosia? – W głosie Niny pobrzmiwała radość. – Poczekaj!

Podeszła do strażnika i przez chwilę coś mu tłumaczyła. Najwyraźniej przekonująco, bo żołnierz bez zwłoki otworzył furtkę.

– Chodź. – Siostra złapała ją za rękę i wciągnęła na teren szpitala. – Myślałam, że się nie zdecydujesz. Dziękuję. – Uśmiechnęła się promiennie do wartownika.

– Na pewno nie będzie z tego problemów?

– To akurat nie twoje zmartwienie.

– A jak on się czuje?

– Lekarze nie mówią tego głośno, ale jego stan się poprawia. Ostatnio mi powiedział, że wiedza inżynierska niezwykle przydaje się na wojnie.

Coraz bardziej oddalały się od bramy i Zofia miała wrażenie, że nagle znalazła się w innym świecie, gdzieś daleko za miastem. Wsłuchując się w głośne cykanie świerszczy, zapomniała o zmartwieniach i mocno odetchnęła rześkim nocnym powietrzem.

Nagle gdzieś z zarośli dobiegło ją znajome kląskanie, a potem dźwięczny trel. Obie aż zatrzymały się w miejscu.

– Słowik?

– Siostra Serafina mówiła, że tu są – Nina była zdziwiona tak samo jak ona – ale wcześniej ich nie słyszałam.

– Pamiętasz, jak śpiewały w naszym ogrodzie?

– Jeszcze rok temu...

Stały w milczeniu, wsłuchując się w ptasi głos, wreszcie Nina pierwsza się ocknęła.

– Chodźmy – ponagliła ją cicho. – Bo jak siostra Serafina zauważy, że mnie nie ma na miejscu, zaraz zakaze odwiedzin.

– To znaczy, że wie? – zapytała Zofia.

– Musiałam ją spytać o pozwolenie. Inaczej moje dni w tym szpitalu byłyby policzone.

Przyspieszyły kroku. Kluczyły między pawilonami, w których mieściły się szpitalne oddziały. Nina witała się ze spotykanymi ludźmi jak ze starymi znajomymi. Trochę dziwiło to Zofię, która zawsze uważała siostrę za osobę niezbyt towarzyską. Cóż, naprawdę musiała pogodzić się z tym, że mało o niej wie.

– To tutaj.

Stały przed największym pawilonem. Światło paliło się tam tylko w niektórych oknach, a drzwi wejściowe były szeroko otwarte.

– O, jesteś. – Ucieszyła się na widok Niny bardzo młoda jasnowłosa pielęgniarka.

– Siostra Serafina mnie szukała?

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głową. – Jakies pół godziny temu poszła do Zamku Ujazdowskiego i jeszcze nie wróciła. Ale pytał o ciebie Witold Aleksandrowicz.

– Przyprowadziłam mu gościa. – Spojrzała na Zofię. – To moja siostra. A to Wiera, pracujemy razem.

Skinęła uprzejmie głową, a potem ruszyła w ślad za Niną. W budynku było ciepło, więc pootwierano wszystkie lufciki, ale i tak czuła charakterystyczną woń lizolu, która pamiętała ze szkoleń sanitarnych; ukończyła je, ponieważ były obowiązkowe dla dziewcząt z Drużyn Strzeleckich, ale cieszyła się, że do tej pory nie miała okazji wykorzystywać zdobytej tam wiedzy. I oby tak zostało.

Wreszcie po odpowiednich przygotowaniach – musiała porządnie wyszorować ręce i włożyć maseczkę – Nina zaprowadziła ją do sali, gdzie

leżało sześć osób. Choć wokół panował półmrok, bo paliła się tylko jedna lampka, natychmiast dostrzegła Witolda. Chciała podejść do niego, ale najpierw spojrzała na siostrę. Może trzeba go jakoś przygotować?

– Idź – nakazała jej szeptem Nina.

Zatrzymała się przy jego łóżku. Mimo że miał opatrunek na oczach, wiedziała, że nie śpi.

Spoglądała na niego z niedowierzaniem: spotykali się w różnych sytuacjach, ale nie przypuszczała, że kiedyś przyjdzie jej odwiedzać go w szpitalu.

– Kto tam? – zapytał schrypniętym głosem. – Nina? To pani?

Coś dławiło ją w gardle. Nagle zrozumiała, że nie zdoła wykrztusić ani słowa. Tak samo jak nie była w stanie porozmawiać z nim przed czterema laty, zanim wyjechała do Krakowa.

Szybko, prawie biegiem wycofała się na korytarz.

– Co ty wyprawiasz? – Nina nie kryła irytacji. – Wracaj.

– Nie mogę. – Ściągnęła maskę z twarzy. – Nie umiem z nim rozmawiać. Nigdy nie umiałam.

– Przecież nie zrobi ci nic złego.

– Wiem, ale... To ja jestem podła. Sama o tym wiesz... Nie mogę. – Poczowała, że jeśli powie jeszcze słowo, wybuchnie płaczem.

6.

– Podobno byłaś z wizytą u mojego narzeczonego – zapytała Sabina, kiedy przekazała jej już wszystkie raporty ze szpitali. – Jakim prawem?

Siedziały w kawiarni Sedemaniego pod filarami Teatru Wielkiego, jak zwykle udając najlepsze przyjaciółki i popijając kawę, której daleko było do tej podawanej tu przed wojną. Na szczęście ptifurki wciąż były smaczne i nieodparcie przywodziły Zofii na myśl dzieciństwo.

– Miał życzenie mnie widzieć, a ja nie umiałam odmówić choremu – odparła beznamiętnym tonem. Nie uznała za słuszne wyjaśnić koleżance, jak naprawdę wyglądała ta wizyta. Tym bardziej że ze złości na samą siebie przepłakała później całą noc.

– Jeśli myślisz, że on cię... że coś do ciebie czuje, to jesteś w grubym błędzie. Wciąż nie doszedł do siebie po tym okropnym ataku i...

– Nic nie myślę – przerwała koleżance ostrym tonem. – Wbij sobie w końcu do głowy, że nie kocham Witolda. Inaczej od czterech lat byłabym jego żoną.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– Trudno – mruknęła, a potem ugryzła ciasteczko. Chciała, aby czas przeznaczony na to spotkanie minął jak najszybciej. I chyba będzie musiała poprosić „Ellę”, żeby po raporty ze szpitali zaczęła posyłać kogoś innego. To przecież proste zadanie, z którym poradzi sobie bez trudu każda kurierka. Ona robiła to wciąż chyba siłą rozpędu.

– Posłuchaj – zaczęła Sabina ponurym szeptem. – Ostatni raz cię ostrzegam. Zostaw go w spokoju.

– Nic od niego nie chcę – powiedziała Zofia z udawanym westchnieniem. – A tobie bardzo współczuję. Świadomość, że ktoś żeni się z tobą dla posagu, musi być doprawdy upokarzająca.

– Nie bardziej niż pozycja kochanki żonatego dowódcy.

– To nie twoja sprawa! – Nieświadomie tak podniosła głos, że liczni goście kawiarni zaczęli odwracać się w jej kierunku, więc dodała już ciszej: – Skąd o tym wiesz?

– To żadna tajemnica. Wszyscy wiedzą, że jesteś zwykłą uliczną.

– Waż słowa, bo pożałujesz. – Zmrużyła oczy.

– Myślisz, że się ciebie boję? – rzuciła kpiąco Sabina. – Nie zbliżaj się do *mojego* narzeczonego, bo zapłaczesz krwawymi łzami. A wraz z tobą cała rodzina.

– Mnie możesz grozić, ile chcesz, ale od rodziny wara! Jeśli którejś z moich sióstr spadnie z głowy jeden włos, zastrzelę cię własnoręcznie.

Boże drogi, nie poznawała samej siebie. Jeszcze kilka tygodni temu takie słowa nie przeszłyby jej przez gardło. Janek miał rację, kiedy powtarzał, że zabijając człowieka, który jej zagrażał, przekroczyła pewną granicę, zza której nie ma już powrotu.

– Nie bądź śmieszna.

Sabina spojrzała na nią z politowaniem, a potem – choć jeszcze nie minął czas przeznaczony na to spotkanie – wstała od stołu i pewnym krokiem skierowała się do wyjścia.

– Jeszcze zobaczymy, która jest śmieszniejsza – mruknęła pod nosem Zofia i spokojnie dopiła kawę.

7.

Tego popołudnia przyszła do konspiracyjnego mieszkania w ściśle służbowej sprawie i kiedy oddała „Milskiej” przemyconą amunicję, postanowiła ulotnić się stamtąd bez zwłoki. Nie zdążyła, bo w ostatniej chwili Janek wyjrzał ze swojego pokoju i oficjalnym tonem – wszak należało zachować pozory – zaprosił ją do środka.

– Dlaczego wczoraj nie przyszłaś? – zapytał, staranie zamykając drzwi. – Czekałem cały wieczór.

– Nie miałam czasu.

Skłamała. Czas znalazłaby bez problemu, ale zabrakło jej ochoty – i na wysłuchiwanie pustych obietnic, i na karesy. Od kilku dni nie mogła znaleźć sobie miejsca.

Do niedawna życie wydawało się Zofii proste. Oczywiście nie było czarno-białe, miało mnóstwo odcieni szarości, ale Kellerówna żywiła przekonanie, że umie je odróżnić i podejmuje właściwe decyzje. Po tym jak zastrzeliła człowieka, ta pewność zachwiała się w posadach. Łatwo przychodziło jej rozgrzeszać innych, przeważnie mężczyzn, którzy zabijali

wrogów w imię Polski, ale ze sobą nie potrafiła dojść do ładu. Nie potrafiła też zrozumieć swojego zachowania względem Witolda.

Dlaczego nie mogła zdobyć się na szczerość? Dlaczego wolą uciekać niż stanąć z nim twarzą w twarz? Przerażało ją to, bo zawsze uważała, że jest odważna i bez ogródek mówi to, co myśli.

– Obraziłaś się, bo nie miałem czasu z tobą porozmawiać? Nie bądź dzieckiem. Sama widzisz, co się dzieje. Rosjanie wcześniej czy później opuszczą Warszawę. I na pewno nie zrobią tego spokojnie.

– Dlatego muszę być cierpliwa i poczekać na swoją kolej.

– Cieszę się, że to rozumiesz. – Nie dostrzegł ironii w jej słowach. – Teraz organizacja jest najważniejsza. Dla ciebie chyba też?

Właśnie za tę bezkompromisowość kiedyś podziwiała go najbardziej. Co się w niej zmieniło?

– Też – odparła, starając się, aby w jej głosie nie było słycać wahania. – Chciałam się tylko poradzić, co zrobić.

– Poszłaś do niego? – zapytał szybko.

– Nie – skłamała. Nie zamierzała nic mu wyjaśniać.

– Wiedziałem, że postąpisz słusznie. – Wyraźnie się rozluźnił. – Nie musiałaś o nic pytać.

– Kochasz mnie?

– Co ci się nagle stało? – Spoglądał na nią w taki sposób, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. – Nigdy nie rozmawialiśmy na takie tematy. Wszystko było jasne od początku.

– Chcę wiedzieć, kim dla ciebie jestem.

– Wiesz, że gdybym tylko mógł...

– Wiem, że nie możesz – odparowała. – Ale nie mam pojęcia, czy zrobiłeś cokolwiek, żeby móc. Czy poprosiłeś żonę o rozwód?

– Myślałem, że mi ufasz. – Chwycił ją mocno za rękę. – Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

Zofia milczała.

– Posłuchaj. – Przyciągnął ją do siebie. – Chcę, żebyś ze mną była. Ty jedna, żadna inna.

Zaczekaj, wojna się skończy, to poukładamy sprawy, jak należy.

– Teraz nie masz do tego głowy.

– Dlatego nie rób dramatów. – Janek znów nie wyczuł ironii. – Zostawmy wszystko, jak jest.

Patrzył na nią wyczekująco, więc kiwnęła głową i ze spokojem, który zdziwił ją samą, patrzyła, jak na jego twarzy maluje się ulga. Ciężar, który dźwigała na sercu, nagle zrobił się jeszcze większy.

8.

– Mizernie pani wygląda – powiedział Witold, kiedy Nina przyszła zmienić mu opatrunek na gojącej się z wielkim trudem rękę. – Chyba za dużo pracy?

– Widzę, że z pana wzrokiem coraz lepiej. – Postanowiła obrócić jego słowa w żart, choć sama zaczynała podejrzewać, że jest z nią coś nie tak. Nie mogła jeść, ciągle robiło się jej niedobrze i najchętniej spałaby przez całą dobę. – Co powiedział okulista? – zapytała już poważnie.

– Z prawym okiem wszystko w porządku. Gorzej z lewym. Doktor Iwanowski twierdzi, że będę nim widział o wiele gorzej. Ale cóż, i tak jestem rad, że wykpitem się tanim kosztem.

Ostatnio mówił bardzo dużo, jakby pękła w nim jakaś tama blokująca słowa, ale już nie wspominał o Zofii. Nina zastanawiała się, czy w ogóle był świadomy tego, że przyszła tu i cofnęła się w ostatniej chwili.

– Ja też jestem rada, napędził nam pan strachu. Gotowe. – Sprawnie zawiązała bandaż. – Potrzeba panu czegoś jeszcze?

– Na razie dziękuję.

Zabrała opatrunki i wyszła z sali. Na korytarzu minęła Sabinę, która znowu przyszła z wizytą do narzeczonego. Nina chciała się z nią przywitać, ale Dresslerówna udąła, że jej nie zauważyła.

– Szkoda dla niej Witolda Aleksandrowicza – powiedziała Wiera, która też przyglądała się Sabinie. – Taki przystojny i uprzejmy mężczyzna. A ona? Kwaśna jak ocet siedmiu złodziei.

– To moja koleżanka ze szkoły. Zawsze uważałam, że jest miła. – Nina wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia, że jej zdanie na temat Sabiny tak bardzo różni się od opinii innych ludzi.

– Ty byś każdemu uchylała nieba, a to jędza. Nino – w głosie Wiery pojawił się niepokój – dobrze się czujesz?

– Doskonale – skłamała. – Czemu pytasz?

– Zrobiłaś się okropnie blada. Jadłaś dzisiaj cokolwiek?

– Nie mam apetytu. – Próbowwała zbagatelizować problem, choć czuła, że jej serce nieprzyjemnie przyspieszyło, a puls zadudnił w skroniach.

– Powinnaś porozmawiać z którymś z lekarzy.

– Teraz nie czas na choroby. Ranni czekają – odparła, po czym zebrała brudne bandaże i ruszyła w stronę łaźni.

Nagle pociemniało jej w oczach. Upadłaby na podłogę, gdyby nie pomoc Wiery.

– Co tu się dzieje? – Z pobliskiej sali chorych wyłoniła się siostra Serafina.

– Nina źle się poczuła. – Koleżanka pospieszyła z odpowiedzią. – Zakręciło się jej w głowie.

– Widzę – mruknęła zakonnica. – Pomóż jej, dziecko, wejść do pokoju pielęgniarek. Mam z nią poważnie do pogadania.

– Nie trzeba – rzuciła pospiesznie Nina, bo złe samopoczucie już minęło. – Wszystko w porządku.

– Chodź i nie dyskutuj!

Posłusznie ruszyła za przełożoną, modląc się, żeby Serafina nie kazała jej iść do domu albo wziąć kilku dni wolnego. W szpitalu przynajmniej nie miała czasu, aby pograżać się w tęsknocie i ponurych myślach; u siebie martwiła się nieustannie, bo od Stasia nie przychodziły żadne wieści. Także Julia zamilkła po przysłaniu tylko jednego listu.

– Siadaj na łóżku. I mów, co się dzieje.

– Nie jadłam śniadania. – Starła się zbagatelizować dolegliwości. – Zwyczajnie brak mi apetytu. Wszystko smakuje jak metal. Ale już lepiej, naprawdę.

Niestety, jej żarliwe zapewnienia nie powstrzymały kolejnego zawrotu głowy. Opadła na poduszkę i pomyślała, że chyba nigdy z niej nie wstanie.

– Osiemdziesiąt pięć. – Serafina zmierzyła jej puls. – Często miewasz mdłości?

– Kilka dni temu miałam – odparła po chwili namysłu. – Coś przypaliło się w kuchni i okropnie śmierdziało... I dzisiaj rano.

– Zapytam wprost... Kiedy ostatnio widziałaś się z mężem?

– Miesiąc temu wyjechał na front.

– Ale wcześniej był w domu przez kilka tygodni? – indagowała ją dalej zakonnica.

– Nawet przez kilka miesięcy. – Ninę niepokoiły te coraz dziwniejsze pytania.

– Wygląda na to – Serafina uśmiechnęła się porozumiewawczo – że zostawił ci coś na pamiątkę.

Nina wpatrywała się w przełożoną ze zdumieniem i dopiero po chwili dotarł do niej sens wypowiedzianych przez szarytkę słów.

Dziecko... Dlaczego sama na to nie wpadła?

ROZDZIAŁ VIII

I.

– Nareszcie – powiedziała z wyrzutem ciotka Klara, wpuszczając ją do mieszkania.

– Czemu ciocia nie śpi? – Zofia, która miała za sobą wyjątkowo trudny dzień, nie chciała przed snem wysłuchiwać kazań. – Dałabym sobie radę sama.

W lipcu nie było już najmniejszych wątpliwości, że Niemcy zajmą Warszawę. Tempo ewakuacji przybrało na sile; większość wystraszonych cywilów zdążyła już wyjechać w głąb Cesarstwa; obecnie wywożono instytucje, muzea oraz zakłady przemysłowe, ze szczególnym uwzględnieniem tych, które prowadziły produkcję na rzecz wojska.

Choć zaborcy szykowali się do odwrotu, to nie zaprzestali represji. Tak zwane aresztowania prewencyjne – przez warszawiaków zwane też pożegnalnymi – zataczały coraz szersze kręgi.

Zamykano i wysyłano do Rosji głównie młodych ludzi, których Ochrana uznała za podejrzany i szkodliwy element. Dlatego też pogłoska o tym, że władze zamierzają zrobić to samo ze wszystkimi mężczyznami zdolnymi do służby wojskowej, trafiła na podatny grunt. POW postanowiła do tego nie dopuścić; plan zakładał rozmieszczenie uzbrojonych oddziałów w różnych punktach miasta i stawienie Rosjanom zbrojnego oporu.

Organizacja, nie chcąc popełnić żadnych błędów, rzuciła do przygotowań wszystkie dostępne siły. W tym, oczywiście, oddział wywiadowczy.

– Nie było was tak długo, że mama zaczęła się martwić. – Klara wyrzała na korytarz, aby sprawdzić, czy nie ma tam kogoś jeszcze. – Gdzie Pola?

– Pola? Do tej pory nie wróciła?

– Myślałam, że jesteście razem.

– Czy to dziewczynki? – Z sypialni wyszła odziana w szlafrok babcia Adela, a wraz z nią Nina, tak mizerna i blada, jakby miała wkrótce na coś zachorować.

– Załatwiałam ważne sprawy, ale sama. – Zofia odpinała kapelusz tak szybko, że ukuła się szpilką w palec. Syknęła i odruchowo wsadziła go do ust. Niepokój domownicy zaczął udzielać się i jej.

Pola czasem wracała do domu nawet po dziesiątej wieczorem – zwłaszcza kiedy roznosiła bibułę albo musiała zostać dłużej w pracy – ale teraz dochodziła północ.

– Muszę odpocząć – jęknęła Klara. – Słabo mi. To chyba atak serca.

– Idziemy do salonu – zarządziła Adela. – Nie ma co tutaj sterczeć. Boże drogi, gdzie jest ta dziewczyna... – dodała, kiedy już weszła do największego pokoju i usiadła przy stole.

– Wiedziałam, że taki będzie koniec tej waszej swobody. – Ciotka klapnęła na otomanę. – Kiedyś przez was oszaleję.

– To nie pora na lamenty, trzeba myśleć, co robić – mruknęła babcia zdegustowana zachowaniem córki. – Gdzie jej szukać? – Popatrzyła wymownie na Zofię, która siedziała naprzeciwko niej.

– Po południu zajrzałam do niej na chwilę i wszystko było w porządku.

– Pewnie gdzieś poszła z tym chłopakiem, który się koło niej kręci – snuła przypuszczenia Klara. – Głowa mi pęknie.

– Niech ciocia wypije waleriany. – Nina weszła do salonu z buteleczką specyfiku w jednej ręce i szklanką w drugiej; za nią podążała Balbina, też ubrana jak do snu, z dzbankiem świeżej wody.

– Dziękuję, moja droga, ale nie uspokoję się, dopóki Pola nie wróci. A może trzeba dzwonić do cyrkułu?

– Żeby tylko nie wpadła w łapy Moskalom. – Zmartwiona służąca poprawiła chustkę okrywającą jej ramiona. – Ostatnio łapią młodych, aż strach.

– Zosiu, chcę z tobą porozmawiać – oświadczyła Adela. – Na osobności.

Posłusznie poszła za babcią do jej pokoju. Domyślała się, czego będzie dotyczyć ich rozmowa.

– Posłuchaj, dziecko. – Adela wyjęła z szafki opróżnioną do połowy butelkę koniaku i naląła sobie trochę do kieliszka. – Od dawna wiem, czym się zajmujesz. Domyślam się też, że wciągnęłaś w to Polę.

– Proszę babci...

– Siadaj i nie przerywaj. – Starsza dama uniosła ostrzegawczo rękę. – Nie zabraniałam niczego ani tobie, ani jej, bo wiem, że choćbym miała trzy pary oczu, i tak nie zdołam was upilnować. Czasy są, jakie są. Liczyłam jednak na wasz rozsądek. Nawet nie tyle twój, co Poli – westchnęła. – Moje nadzieje okazały się płonne. Chcę wiedzieć, co mogło się z nią stać. Ty nas przyzwyczaiłaś do późnych powrotów, ale ona...

– Nie wiem, co zaszło, proszę babci. Nie robiła... nie robi nic skomplikowanego, ale u nas każda praca bywa ryzykowna. Noszenie bibuły... to jest zakazanych wydawnictw pod wskazane adresy także. Do tej pory radziła sobie doskonale. Nie wierzę, że mogliby ją złapać. I przepraszam, że ją do tego namówiłam. – Zofia uświadomiła sobie, że gdyby tylko mogła cofnąć czas, nie zrobiłaby tego po raz drugi. Jak mogła być tak lekkomyślna?

– Nie przepraszaj, Bóg raczy wiedzieć, kto ma rację. Może i ten twój Piłsudski... – Adela sięgnęła po koniak, a kiedy wypiła łyk, powróciła do indagacji: – A ten chłopak, o którym wspomniała Klara? Jak mu tam na imię... Michał? Może gdzieś poszła z nim?

– Przecież babcia wie, że Pola nie zwraca uwagi na mężczyzn.

– Każda dziewczyna w wieku twojej siostry zwraca na nich uwagę – oświadczyła Adela z niezachwianą pewnością w głosie. – Tylko niektóre nie

chęć się do tego przyznać. Nie widzę powodu, żeby Pola miała być wyjątkiem.

– Michał smali do niej cholewki, ale ona traktuje go jak kolegę.

– Na pewno? Niekiedy nie umiesz rozeznaczyć się w uczuciach sióstr.

A więc Adela wiedziała i o tym. Czego by nie mówiła, naprawdę miała trzy pary oczu.

– Niech mnie babcia nie doprowadza do rozpacz.

Jej niepokój narastał. Najmłodsza siostra była odpowiedzialna, więc nie dałaby się namówić na żadną szaloną eskapadę. Naprawdę musiało stać się coś złego.

Pomyślała, że dłużej nie wytrzyma tej niepewności. Należało zacząć działać.

– Pójdę jej poszukać. – Zerwała się z łóżka. – Nie wysiedzę do rana. – Postanowiła, że najpierw odwiedzi szefową sekcji kolportażu, najwyżej ją obudzi.

– Idę z tobą – powiedziała Adela. – Nie będziesz błąkała się sama po mieście.

– Ależ babciu, nie mogę...

– Nie dyskutuj.

Jęknęła w duchu. Wiedziała, że starsza dama nie ustąpi, a ona przecież nie mogła obwozić postronnej osoby po konspiracyjnych lokalach. Sytuacja była patowa.

Ponure rozmyślenia przerwał głośny łomot, brzmiący tak, jakby ktoś walił w drzwi kolbą karabinu.

– Nareszcie! – zawołała babcia, szybko wstając z fotela. – Urwę głowę tej dziewczynie.

Zofia nie poczuła ulgi. Hałas wydał się jej nad wyraz podejrzany.

Z każdym mijającym dniem Julia nabierała coraz większej pewności, że jej dawne wyobrażenia na temat małżeństwa, rodzinnej harmonii, sielskiego życia na wsi i świetlanej przyszłości gwiazdy salonów nie miały nic wspólnego z rzeczywistością.

Uroczy mężczyzna, który kiedyś zgadywał jej życzenia, po ślubie zmienił się nie do poznania. Z jednej strony zaczął traktować ją jak małą dziewczynkę, która nie ma nic mądrego do powiedzenia, z drugiej zaś, uważał za niepoprawną flirtującą, nieustannie kokietującą stacjonujących w dworze oficerów. Na domiar złego, kiedy był z niej niezadowolony – a zdarzało się to nader często – okropnie zrzędził.

Miał też wyraźną wizję tego, jaka powinna być jego żona. Jak ma się zachowywać, wyrażać, ubierać, a Julia ze zdumieniem odkrywała, że kompletnie nie pasuje do tego obrazu. Mimo to zaciskała zęby i próbowała wtłoczyć się w ramę, bo wtedy przynajmniej miała święty spokój.

Wiedziała jednak, że prędzej niż później ta metoda zawiedzie. Dobrze byłoby więc przekonać Andrzeja do zmiany podejścia. Z nim samym dałaby sobie zapewne radę – jak większość mężczyzn bał się kobiecych łez – ale była jeszcze wiecznie niezadowolona świekra, która odreagowywała na niej swoje frustracje. Julia także i to znosiła z pozornym spokojem – zupełnie jak nie ona – pomna nauk ciotki, która często powtarzała, że małżeństwo zawarte przed Bogiem to śmiertelnie poważna sprawa. Naprawdę nikt nie mógł jej zarzucić złej woli.

Czasem jednak dochodziła do wniosku, że najchętniej spakowałyby bagaże, wróciła do Warszawy i zaczęła życie od nowa. Przed wszystkim jeszcze raz porozmawiałyby z Józefem.

Swoją drogą, powinna napisać list do domu; jedna krótka wiadomość, którą wysłała zaraz po przyjeździe, korzystając z uprzejmości wojskowych, to zdecydowanie za mało. Ale o czym miała pisać? O swoich wątpliwościach i obawach? A może o niechęci Matyldy Turzynieckiej? Nie, lepiej nie martwić babci ani tym bardziej ciotki Klary.

– Znalazłem panią wreszcie! – zawołał nagle wesóły męski głos. Podniosła głowę. Jak spod ziemi wyrósł koło niej porucznik Oboleński. –

Nie dziwię się wcale, bardzo tu pięknie.

Zgodnie z przewidywaniami ogród stał się jej ulubionym miejscem. Wśród kwiatów i krzewów spędzała każdą wolną chwilę. Najczęściej, tak jak teraz, w towarzystwie Flaszki.

– Szukałam cienia – odparła zdawkowo.

Lubiła porucznika, bo był sympatyczny, ciekawie opowiadał i potrafił poprawić jej humor, ale unikała go jak ognia: z jakiegoś powodu Andrzej był o niego wściekle zazdrosny.

– Mogę usiąść?

– Proszę bardzo. – Odsunęła się na brzeg ławki. Najlepiej zrobiłaby, gdyby wstała i odeszła, ale nie mogła zachować się tak ostentacyjnie. – W czymś panu pomóc?

– Właściwie tak... Od kilku dni chcę o coś zapytać, ale trudno panią spotkać.

– Świekra dba, żebym się nie nudziła – rzuciła żartobliwym tonem, choć wcale nie było jej wesoło. – Ale skoro się spotkaliśmy, proszę pytać śmiało.

– To nic osobistego – zastrzegł natychmiast. – Otóż zupełnym przypadkiem usłyszałem, jak wspomniała pani o niejakiem Stanisławie Woydzie...

– Tak...? – Spojrzała na niego wyczekująco. Chciała usłyszeć coś więcej, zanim udzieli dokładniejszej odpowiedzi.

– Miałem kolegę w szkole wojskowej, który właśnie tak się nazywał. Potem on poszedł do szkoły piechoty w Moskwie, ja gdzie indziej, i straciliśmy się z oczu. A jakiś czas temu... – zawahał się na chwilę – ...doszły mnie wieści, że Stas nie żyje. Że zginął jeszcze w zeszłym roku, pod Warszawą. Pewnie to zbieżność nazwisk, ale pomyślałem: zapytam.

– Porucznik Woyda żyje – odparła uradowana, że w końcu może komuś przekazać dobrą wiadomość. – Był bardzo ciężko ranny, ale wyzdrowiał.

– Naprawdę?! – ucieszył się Oboleński. – Jak to ludziom spieszo człowieka pochować.

– Można powiedzieć, że Stanisław uciekł grabarzowi spod łopaty. Kurował się bardzo długo... Kiedy wyjeżdżałam z Warszawy, czuł się doskonale i przygotowywał do wyjazdu na front. Ach, zapomniałam o najważniejszym, ożenił się.

– Naprawdę? A z kim?

– Tak się złożyło, że z moją starszą siostrą.

– Jeśli jest choć w połowie tak urocza jak pani, wcale mu się nie dziwię – powiedział z kurtuazją, a potem uśmiechnął się i dodał: – A swoją drogą, dotrzymał słowa.

– Co to znaczy? – zapytała zaintrygowana słowami porucznika.

– Widzi pani, Stas miał zawsze szalone powodzenie u dziewcząt. Jak szedł z nami na bal, zaraz kończyła się zabawa, bo wszystkie panny pytały o niego... Ale on powtarzał, że weźmie za żonę tylko Polkę. Trochę było to niepolityczne i sam komendant go zrugął, kiedy raz usłyszał te słowa... Chętnie spotkałbym się z nim. Nie wie pani, dokąd go wysłali?

– Bardzo mi przykro, ale nie. I przepraszam, muszę wracać do swoich zajęć. – Podniosła się z ławki, żałując, że robi to tak późno. Przed chwilą dostrzegła bowiem świekrę przyglądającą się im podejrzliwie zza płotu.

3.

– Kto tam? – zapytała drżącym głosem ciotka Klara, której też wyraźnie nie spodobał się podejrzany łomot.

– Żandarmeria! Otwierać!

– Jezu Chryste – jęknęła Zofia.

Przyszli po nią albo w sprawie Poli – nie mogła zdecydować, która z tych dwóch możliwości bardziej ją przeraża.

– Otwierać!

Ku jej zdumieniu ciotka wcale nie rzuciła się wypełniać polecenia, tylko spojrzała na nią i półgłosem zapytała: – Masz w domu coś trefnego?

– Mam – odparła tak samo cicho i bez wahania; nie była to właściwa pora, aby udawać oburzone niewiniątko.

– Zrób z tym coś. Przetrzymam ich, ile zdołam.

Jeszcze pięć minut temu Zofia dałaby uciąć sobie rękę, że w takiej sytuacji Klara dostanie jakiegoś ataku albo padnie trupem na progu mieszkania, a ona tymczasem momentalnie przeobraziła się z rozhisteryzowanej damy w doświadczoną konspiratorkę. Na dodatek ewidentnie wiedziała, czym zajmuje się jej bratanica.

– Liczę do trzech – grzmiał po rosyjsku wciąż ten sam tubalny męski głos. – I wyważam drzwi.

– Chwileczkę! – zawołała ciotka omdlewającym tonem, jednocześnie dając znak bratanicy, aby wreszcie zaczęła coś robić. – Niech łaskawi panowie ciut zaczekają. U nas same kobiety w dezabilu. Musimy coś na siebie włożyć.

Zofia, nie zwlekając ani chwili dłużej, pognęła do swojego pokoju. Zaraz za nią pobiegła Nina.

– Co masz? – zapytała bez owijania w bawełnę.

– Fałszywe paszporty.

– Ile?

– Cztery. Kilka książek i broszury. I jeszcze raport... Prawie gotowy.

– Dawaj to wszystko – ponagliła ją Nina.

Przykucnęła przy nocnej szafce. Wyciągnęła z szuflady dokumenty, a z dolnych półek resztę bibuły. Objętościowo, na szczęście, nie było tego dużo, więc bez namysłu zebrała papiery, włożyła paszporty między gazetki i wyrównała wszystko starannie, a potem sięgnęła do szafy po skórzany pasek i spięła nim cały pakiet, jak to mieli w zwyczaju uczniowie i studenci.

Co teraz?

Nie mogła wyrzucić pakunku przez okno, bo a nuż przepadnie lub, co gorsza, ktoś go znajdzie; niewykluczone, że jakiś żandarm albo agent filuje

w bramie i bardzo ucieszy się, kiedy dostanie prosto do łap niezbite dowody jej winy.

– Tam jest gwóźdź – rzuciła Nina.

– Gdzie?

– W futrynie. Po drugiej stronie. Julia podrapała sobie rękę, kiedy coś tam mierzyła. Ale paska nie zaczepisz.

– Paska może i nie, ale coś się znajdzie – mruknęła, znowu zaglądając do szafy.

Jedwabna apaszka? Cienki pasek od sukienki? Stare sznurowadła? Te rzeczy też się nie nadawały, ale czarna zimowa pończocha powinna być w sam raz.

Nina już mocowała się z okienną ramą, zaś Zofia starała się solidnie związać pończochę z paskiem.

– Gwóźdź jest tutaj – poinformowała ją cicho siostra. – Sterczy.

– Puść mnie. – Zofia usiadła na parapecie.

Na szczęście gwóźdź był solidny. Zaczepiła o niego pończochę, rwąc ją przy okazji, a potem kilkakrotnie owinęła dzianiną łepiek, na koniec sprawdziła, czy pakiet dobrze się trzyma, i zamknęła okno.

– Módlmy się, żeby nie spadło.

– Polka ma coś u siebie?

– Nie powinna – odparła Zofia odruchowo, a potem spojrzała na siostrę.
– Ty też wiesz, że...?

– Wszystko wiem. Gdzie masz ten raport?

Z pudełka, w którym trzymała nieużywaną od dawna ozdobną papeterię, wyciągnęła malutką rolkę indyjskiej bibułki.

– Takie maleństwo? – zapytała ze zdziwieniem Nina. – Może by to zjeść?

– Nie mam prawa. Muszę...

– To daj. – Siostra prawie siłą wyrwała jej rolkę, potem złapała nożyczki, które leżały obok pudełka z papeterią, i lekko nadpruła pasek swojego

szlafroka, następnie w powstałą szczelinę wsunęła raport. – Mnie nie będą rewidować. To wszystko? Jesteś pewna?

– Pistolet! – Zofia złapała się za głowę. – Całkiem o nim zapomniałam.

– Trzymasz w domu broń? – jęknęła Nina. – Oni nie mogą tu nawet zajrzeć.

Starsza nic nie odpowiedziała, tylko sięgnęła pod poduszkę. Ostatnimi czasy chowała tam browninga. Mając go w zasięgu ręki, czuła się bezpieczniej. Zwłaszcza w nocy, kiedy wciąż jej się wydawało, że jakiś intruz znowu krąży po mieszkaniu.

„Gdzie to schować?” Rozejrzała się nerwowo. Niestety, przychodziła jej na myśl tylko jedna kryjówka. Nie wyjaśniając nic siostrze, wyciągnęła browninga spod pościeli, wspięła się na parapet i ukryła go w tym samym miejscu, co zawsze – w karniszu za ozdobną kokardą.

– Nieźle – mruknęła Nina. – Ale i tak lepiej, żeby tu nie wleźli. A nuż któryś będzie szarpać zasłony.

Znowu usłyszały głośne walenie w drzwi i wściekłe krzyki żandarma. Ciotce Klarze kończył się czas.

4.

Nina mogłaby zaryzykować stwierdzenie, że przywykła do regularnych wizyt policji oraz sądowych urzędników, ale widok oddziału złożonego z postawnego komisarza, chudego cywila, zapewne szpicla oraz sześciu uzbrojonych w karabiny żandarmów, który bez ceregieli wpakował się im do mieszkania, naprawdę ją przestraszył.

– Co panów sprowadza o tak późnej porze? – Adela, po której nie było widać strachu, wysunęła się na przód grupy. Mówiła po rosyjsku – może i kulawo, ale bardzo uprzejmym tonem. Nie zamierzała urządzać demonstracji i drażnić przybyszy. Klara stała tuż za nią z taką miną, jakby zamierzała rzucić się do gardła któremuś z intruzów. Dziwne.

– Zofia Maksymilianowna Keller to która? – zapytał komisarz, tocząc wzrokiem po zebranych w przedpokoju kobietach.

– To ja – odparła półgłosem Zosia, która swoim zachowaniem bardziej przypominała wystraszoną panienkę z dobrego domu niż terrorystkę zdolną zachwiać posadami carskiego imperium.

– Oddajcie paszport! I broń, jeśli macie.

– Broń? – Zofia była tak zszokowana, jakby nigdy w życiu nie widziała pistoletu. – Nie mam żadnej broni. Bałabym się dotknąć. A paszport...

– Zostawiłaś torebkę w moim pokoju – wpadła jej w słowo Nina, którą właśnie olśniło, jak najskuteczniej uniknąć rewizji w najniebezpieczniejszym miejscu; miała nadzieję, że siostra pojmie jej zamiary. – Nie pamiętasz? Zaraz panom przyniosę.

– A wy co za jedna? – zapytał obcesowo szpicel, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

– Jestem żoną rosyjskiego oficera – oświadczyła z dumą, owijając się szczelniej szlafrokiem. – I nie życzę sobie takiego tonu.

Szpicel chciał coś odpowiedzieć, ale do rozmowy wtrącił się zaintrygowany komisarz: – Wasz paszport też poproszę.

Nina podziękowała w myślach Opatrzności, że po powrocie z pracy zostawiła dokument w kieszeni żakietu wiszącego teraz smętnie na wieszaku w holu; gdyby musiała iść po niego do siebie, cały wymyślony naprędce plan runąłby jak domek z kart.

– Proszę bardzo. – Podała dokument dowódcy oddziału.

– Janina Maksymilianowna Woyda. Z domu Keller – przeczytał żandarm, a potem przyjrzał się jej uważnie. – Czym się zajmujecie?

– Oprócz czekania na męża, który walczy za jego cesarską mość? Opiekuję się rannymi żołnierzami w Szpitalu Ujazdowskim.

Komisarz popatrzył na nią z czymś na kształt szacunku, ale zaraz przypomniał sobie o Zofii.

– A wy co tak stoicie?! Paszport sam do was nie przyleci.

Siostra bez słowa poszła do pokoju, który miał teraz uchodzić za lokum Niny, i zaraz wróciła z dokumentem w ręku. Żandarm zabrał go natychmiast i zbadał jeszcze dokładniej niż poprzedni, a na końcu oświadczył: – Jesteście aresztowana. A to – wyciągnął z kieszeni na piersi złożony na czworo papier – nakaz rewizji. Który to wasz pokój?

Zofia zawahała się na chwilę, ale ponaglana wzrokiem Niny powiedziała: – Ten na końcu korytarza.

Babcia i ciotka wymieniły zdumione spojrzenia, ale na szczęście żadna nie powiedziała nawet słowa. Na rozkaz komisarza dwóch żandarmów natychmiast stanęło przy drzwiach wejściowych.

– W kuchni jest drugie wejście?

– Jest.

– Zaprowadzić.

– Ja pójdę – mruknęła zde gustowana Balbina, która dotąd w milczeniu obserwowała całe zajście. – Przypilnuję, żeby czego nie wyzarli.

Kiedy służąca i stróże politycznego prawa zniknęli za załomem korytarza, dowódca patrolu skinął na aresztantkę i wraz z resztą świty udał się do wskazanego im wcześniej pokoju.

– Kto jeszcze tu mieszka? – zapytał, kiedy zauważył drugie łóżko.

– Młodsza siostra.

Nina, podziwiając opanowanie Zosi, zaczęła się zastanawiać, czym konkretnie siostra zajmuje się w konspiracji. Na pewno musiały być to jakieś niebezpieczne rzeczy. A Pola? Co takiego robiła tam Pola? I gdzież ona przepadła, na miłość boską? Obawa o los i bezpieczeństwo obu dziewcząt sprawiła, że znowu zrobiło się jej słabo. Ciotka zerknęła na nią z niepokojem, a Nina pomyślała, że powinna wreszcie powiedzieć rodzinie o dziecku.

– A gdzie jest ta siostra?

– Pojechała do rodziny na prowincję. – Przy tym kłamstwie Zosi zadrzał głos.

– Pozwolenie na wyjazd dostała?

– Akurat tam nie trzeba pozwoleń.

Babcia bez słowa objęła ramionami ją i ciotkę Klarę. I tak stojąc we trzy, przytulone do siebie, obserwowały ze zgrozą, jak żandarmi wywracają pokój do góry nogami. Najpierw dokładnie wybebeszyli szafę, a z półek pozzrucali książki, tłukąc przy okazji kilka ulubionych farfurek Poli. Zagląwali pod materace, pod łóżka i do pieca – grzebali w nim pogrzebaczem. Obejrżeli ze wszystkich stron nawet maszynę do szycia. Zrzucili też z parapetu trzy paprotki, które Zosia przywiozła ze swoich tajemniczych wypraw. Szpicel metodycznie sprawdzał zakamarki toaletki, gdzie zamiast kosmetyków leżały krawieckie skarby Julii, których ta nie mogła zabrać do domu męża. Komisarz zaś rozsiadł się na krześle przy starym biurku i spokojnie – jedna za drugą – opróżniał szuflady oraz skrytki, wysypując na podłogę nie tylko notatki i listy, ale też papierosy, cygara i zapalki spoczywające tam niezmiennie od czasu śmierci ojca.

Nina – i chyba nie tylko ona – po raz kolejny w ciągu ostatnich tygodni przypomniwała sobie ubiegłoroczne włamanie do mieszkania na Złotej; kipsisz urządzony wtedy przez bandytów musiał wyglądać tak samo jak ten.

– Aby na pewno nie macie broni? – Komisarz zerknął podejrzliwie na Zosię, która blada niczym opłatek, ale spokojna stała bez ruchu na środku bezczeszczonego pokoju. – Przypomnijcie sobie dobrze.

– Nie mam broni – odpowiedziała stanowczo. Zachowywała się dziś zupełnie inaczej niż tamtego dnia, gdy stanęła oko w oko z bandziorem grożącym jej nożem.

– Ale zakazane rzeczy i owszem – oświadczył z triumfem szpicel, wyciągając z szuflady toaletki jakąś książkę.

Zrobiła szybki rachunek sumienia; toaletka stała przy wezgiłowiu jej łóżka, więc często kładła na niej lub chowała do szuflad książki, które zamierzała czytać przed snem. A że nie czytywała zakazanych druków...

– Ależ to podręcznik pielęgniarstwa – powiedziała Zosia. – Oficjalny i bardzo polecany przez hrabinę Szuwałow. Dostałam w prezencie od siostry. – Spojrzała wymownie na Ninę.

Żandarmi miotali się po pokoju jeszcze z kwadrans. Nie znaleźli nic jednoznacznie nielegalnego, ale i tak zebrali sporą górę papierów, które wydały się im podejrzane.

Zirytowany komisarz wyszedł na korytarz i zaczął rozglądać się uważnie po mieszkaniu.

Nie było wątpliwości, że zamierza kontynuować rewizję. Nina za nic w świecie nie mogła do tego dopuścić, bo jeśli żandarmi zaczną szarpać zasłonę, pistolet natychmiast spadnie im na głowy... Wtedy wszystkie jak jeden mąż powędrują do aresztu i od zsyłki nie uratuje ich nawet szarża Stanisława.

– Wasze błagrodie – zaczęła spokojnie, opierając się o ścianę, bo akurat zakreśliło się jej w głowie. – Rozumiem, że to koniec przeszukania? Przepraszam, że tak dopytuję, ale chciałabym położyć się do łóżka. Źle się czuję.

– Musimy sprawdzić całe mieszkanie.

– Przyszli panowie po moją bratanicę Zofię – oświadczyła nieoczekiwanie Klara, w którą dziś wstąpił bojowy duch. – Przeciwno nam – wskazała na babcię i na Ninę – nie wniesiono żadnych zarzutów. Nie ma powodu przeszukiwać naszych rzeczy.

– Oczywiście – poparła ją Adela, wyraźnie zaskoczona śmiałością córki.

– Mój mąż jest kawalerem Orderu Świętego Jerzego – powiedziała Nina, którą dopadł kolejny zawrót głowy. Zachwiała się i zrozumiała, że już długo tu nie wystoi, nerwy jej na to nie pozwolą.

– Dziecko, co się dzieje? – zapytała z niepokojem ciotka, która dostrzegła jej słabość.

– Koniecznie musisz się położyć. – Adela szybkim krokiem podeszła do wnuczki. – Na co panowie czekają? – Spojrzała z przyganą na zdeorientowanych mężczyzn. – Same nie damy sobie rady.

Komisarz, który mimo aroganckiego zachowania i tak był najkulturalniejszy z całego towarzystwa, wziął Ninę na ręce i idąc w ślad za

babcią, zaniósł do salonu – pożałowała, że akurat nie dostała nudności – i zgodnie z instrukcjami opiekunek położył na otomanie.

– Proszę podać wodę. – Babcia usiadła obok niej i zaczęła poprawiać poduszkę. – Masz, kochanie... – Ostrożnie napoiła wnuczkę, kiedy szpicel z miną obrażonego angielskiego lorda podał jej szklankę.

Zapraszanie tych ludzi do salonu było ryzykowne, ale z drugiej strony, gospodyni nie mogła dobitniej im pokazać, że nie ma nic do ukrycia.

– Lepiej ci, kochanie?

– Nadal mi słabo – odparła zgodnie z prawdą.

– Widzi pan, coście narobili? – zapytała ciotka z wyrzutem. – Co powiem jej mężowi, jeżeli coś się stanie?

– Przepraszam. – Nina delikatnie położyła rękę na brzuchu. – Lekarz zalecił mi spokój i odpoczynek.

Komisarz przestąpił z nogi na nogę, nerwowo przełknął ślinę i wreszcie podjął decyzję.

– Ubierajcie się. – Spojrzał na Zofię. – Idziemy.

W tym momencie ciotka straciła cały rezon i wybuchnęła płaczem, a ona pomyślała, że siostra co prawda pójdzie do aresztu, ale przynajmniej nikt nie będzie mógł udowodnić jej winy.

Nie zamierzała jednak oddychać z ulgą; dopóki żandarmi grasowali po domu, należało zachować czujność. I przytomność.

– Mogę pożegnać się z rodziną? – zapytała Zofia, kiedy włożyła kapelusz i zakiet.

Zniecierpliwiony szpicel nie zezwoliłby zapewne na takie ceremonie, ale komisarz kiwnął głową. Łkająca Klara pierwsza rzuciła się bratanicy na szyję, a następnie babcia wyściskała ją ze wszystkich sił. Wreszcie Zofia przycupnęła przy otomanie, a Nina uniosła się z trudem i mocno ją objęła – dotarło do niej, jak bardzo kocha tę nieznośną dziewczynę i jak bardzo nie chce jej stracić.

– Raport – mruknęła Zofia prosto do jej ucha. – „Urania” na Brackiej. Pola wie.

Lekko skinęła głową na znak, że zrozumiała.

– Wystarczy tych lamentów – ponaglił je szpicel. – Idziemy.

Zofia żegnana płaczem ciotki i głośnym zawodzeniem Balbiny, która przed chwilą wróciła z kuchni wraz ze strażnikami, a także błogosławieństwami babci, wyszła z mieszkania. A wraz z nią cała żandarmaska horda.

„Udało się” – pomyślała Nina i opadła na poduszkę.

5.

Im mniejsza odległość dzieliła ją od domu, tym Pola coraz bardziej przyspieszała kroku. Na szczęście Michał nadażał za nią bez problemu. Kiedy zaproponował, że ją odprowadzi, początkowo nie chciała się zgodzić, ale teraz była zadowolona z jego uporu; północ minęła dawno temu, a ona nie zwykła chadzać w pojedynkę po mieście o tak późnej porze.

Niestety, przed gniewem babci i ciotki będzie zmuszona obronić się sama. A i Nina pewnie dołoży swoje. Skoro jednak zdecydowała się wstąpić do organizacji wojskowej, musiała słuchać rozkazów przełożonych i czasami zapomnieć o rodzinie. Dziś nadszedł właśnie taki dzień.

Aresztowano – i to wcale nie przypadkiem – cztery kurierki, więc pozostałe musiały wykonać oprócz swoich także ich zadania, a potem jeszcze uporządkować biuro „Uranii”: wszystkie nielegalne książki, broszury i ulotki należało ukryć wśród niezliczonych paczek w taki sposób, aby maksymalnie utrudnić żandarmom ewentualną rewizję.

Tylko jak to wytłumaczyć opiekunkom, nie mówiąc prawdy? Może Zosia jakoś pomoże.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała, kiedy dotarli do skrzyżowania Siennej i Wielkiej. – Bardzo dziękuję. – Podała Michałowi rękę.

Naprawdę była mu wdzięczna za pomoc, miała tylko nadzieję, że chłopak nie wyciągnie z tej nocnej przechadzki żadnych pochopnych wniosków.

– Zaczekam, aż wejdiesz. – Uścisnął jej dłoń.

– Przesadzasz z troską. – Uśmiechnęła się mimowolnie. – Zaraz wezwę stróża.

Sięgała po rączkę dzwonka, kiedy zobaczyła, że furтка jest otwarta na oścież. Pomachała więc Michałowi na pożegnanie i weszła do bramy zadowolona, że przynajmniej raz nie musi robić rabanu. Przechodziła akurat obok wejścia do stróżówki, kiedy zza drzwi wyrżał przestraszony czymś stróż Walery.

– Dobry wie.... – zaczęła grzecznie, ale stróż gestem nakazał jej milczenie. Następnie rozejrzał się bacznie i konspiracyjnym szeptem powiedział: – Niech panna Pola nie idzie do domu. Dobrze radzę.

– A czemuż to? – zapytał cicho Michał, który zgodnie z obietnicą nie spuszczał jej z oczu i natychmiast zauważył, że się zatrzymała.

Walery łypnął na niego podejrzliwie.

– To mój znajomy – rzuciła uspokajającym tonem. – Proszę mówić, co się dzieje.

– Żandarmy przyszedli. Jakąś godzinę temu.

– Do nas?

A więc któraś z kurierek nie wytrzymała przesłuchania i wsypała koleżanki...

– Ano tak. Pytali o pannę Zofię.

Nie, żadna z aresztowanych dziewcząt osobiście nie знаła jej siostry. A skoro żandarmi po nią przyszedli, to musiało oznaczać, że Ochrana poważnie zabrała się za całe POW.

– Muszę tam... – Zrobiła krok do przodu.

– Nie musisz – oświadczył Michał, chwytając ją za rękę. – Nawet nie powinnaś. Siostrze nie pomożesz, a sobie narobisz kłopotów. Trzeba się schować i przeczekać.

– Pan kolega mądrze prawi – przytaknął stróż. – W czwartej klatce jest zepsute światło.

Jeszcze nie zdążył naprawić.

– Nie musisz ze mną zostawać. – Spojrzała niepewnie na chłopaka. – Twoja matka pewnie się zamartwia.

– Powiedziałem, że odprowadzę cię do domu. A na razie tam się nie wybierasz.

Tym razem nie zamierzała z nim dyskutować; jego obecność sprawiała, że czuła się raźniej.

Szli wolno, tuż przy ścianie budynku, starając się nie narobić hałasu i kryjąc w ciemności, a kiedy dotarli do celu, Michał ostrożnie uchylił drzwi i oboje wsunęli się do środka. Na klatce, o wiele ciaśniejszej i skromniejszej niż ta, gdzie mieszkały, panowała cisza. Było tu czysto, ale w powietrzu unosiła się wyraźnie wyczuwalna kocia woń. Pola nie znosiła jej, jednak tym razem nawet nie skrzywiła nosa.

Stali blisko siebie, w napięciu obserwując podwórze przez szybę w drzwiach; na szczęście nad wejściem do ich klatki wyjątkowo paliło się światło; zapewne z powodu tych przeklętych żandarmów. A żeby sobie karki poskręcali!

Bardzo długo panował spokój, ale Pola i tak nie odwracała wzroku; bała się, że umknie jej coś ważnego.

– Która godzina? – Nie wytrzymała wreszcie.

– Kwadrans po trzeciej – odparł szeptem Michał.

Minęło jeszcze pół godziny i wreszcie wyjściowe drzwi stanęły otworem. Jako pierwszy wyłonił się z nich jakiś chuderławy cywil w kapeluszu, a zaraz po nim wysoki żandarm – pewnie komisarz. Następna była Zofia – wyprostowana niczym struna i z hardo uniesioną głową – i reszta patrolu.

„Aresztowali ją!”, „Dlaczego?”, „Jakim sposobem?”, „Ktoś wsypał?” – wszystkie te pytania Pola zadawała sobie już po południu, ale wtedy dotyczyły koleżanek z sekcji i bolały o wiele mniej.

– Muszę coś zrobić. – Chwyliła za klamkę. – Ratować. Nie mogą jej zabrać.

– Stój. – Michał złapał ją w pasie i pociągnął do tyłu. – Chcesz iść do więzienia razem z nią?

– Ale ja muszę. – Szarpnęła się w jego uścisku. – Muszę. Rozumiesz?

Czuła, że zaraz rozplacze się w głos.

– Stój – powtórzył łagodniej chłopak. – Proszę cię, Polu. Z samego rana pomyślimy, co zrobić.

Początkowo nie chciała go słuchać, ale jego stanowczość i spokój sprawiły, że przestała się szarpać. Za to przytuliła policzek do kłapy jego marynarki i zamknęła oczy; nie wiedziała, czemu właściwie to robi. Michał nie ruszał się i nic nie mówił, ale nadal obejmował ją w talii, a ona uspokajała się i zaczynała z wolna odzyskiwać rozsądek. Wreszcie, nieco zawstydzona, odsunęła się od chłopaka.

– Przepraszam – powiedziała, unikając jego wzroku. – Ja tylko...

– Wiem. – Kiwnął głową. – Lepiej się czujesz?

– Tak. Pójdę do domu. Chyba teraz można.

Cicho wyszli na zewnątrz. Niebo zaczynało już szarzeć. Przez jakiś czas stali w bezruchu, nasłuchując, czy nie dobiegną ich jakieś hałasy, ale wszystko wskazywało, że okropieństwa zaplanowane na tę noc już się wydarzyły. Pola ruszyła pierwsza – tym razem przez sam środek podwórza – i zatrzymała się dopiero przed wejściem do kuchennej klatki.

– Dziękuję, że ze mną byłeś – powiedziała. – I proszę, uważaj na siebie.

– To się wie – rzucił z uśmiechem.

Odszedł, a tym razem to ona patrzyła za nim. Kiedy zyskała już pewność, że Walery bez przeszkód wypuścił go na ulicę, weszła do budynku i skacząc co trzy stopnie, pobiegła na górę.

Drzwi kuchenne były zamknięte na głucho. Już miała zapukać, gdy usłyszała groźny głos Balbiny.

– Kto tam?!

– Balbino, to ja, Pola – odparła cicho.

Służąca nie odpowiedziała, tylko zaczęła pospiesznie otwierać zamki, a potem bez ceregieli wciągnęła ją do środka.

– Panienska. Cała i zdrowa – rzuciła z ulgą i mocno ją uściskała. – Nareszcie! Cośmy się tu zamartwiały... Była żandarmeria. Zabrali pannę Zosię.

– Wiem. Widziałam, jak ją wyprowadzali.

– Niech panienska pokaże się starszej pani, bo ona od zmysłów odchodzi.

Pola nagle poczuła przemożną chęć zobaczenia rodziny. Pobiegła w głąb rozświetlonego mieszkania. Głosy domowniczek dochodziły z salonu, więc weszła tam i zatrzymała się zaraz za progiem, przestraszona widokiem, jaki ukazał się jej oczom.

Na otomanie leżała Nina i... wyglądała jak nieżywa – Pola przeżegnała się odruchowo – a nad nią pochylały się babcia i ciotka. Zdenerwowana Klara ze wszystkich sił chłodziła bratanicę swoim największym wachlarzem, próbując jednocześnie wyjaśnić Adeli, że koniak nie jest cudownym remedium na wszelkie dolegliwości.

– Przecież nie zamierzam jej poić – mruknęła babcia, wyraźnie zniesmaczona kazaniem córki. – Chciałam tylko natrzeć skronie.

– Co z nią? – Najmłodsza Kellerówna, do tej pory niezauważona przez opiekunki, odważyła się odezwać.

– Jezus Maria! Józefie Święty! – Adela na widok wnuczki upuściła kieliszek, który trzasnął o podłogę; w pokoju zapachniało alkoholem. – Pola?! Jesteś!

– Gdzieś ty była, dziecko? – dopytywała płaczliwie ciotka. – Gdzieś ty była?

– Trzeba wezwać lekarza. – Dziewczyna nie odpowiedziała na żadne z pytań, tylko dopadła kanapy i chwyciła Ninę za rękę. – Kochana, odezwij się. Błagam. – Z trudem powstrzymywała płacz. Czy Bóg chciał ją za coś ukarać, kolejno odbierając wszystkie siostry?

Nina wolno rozwarła powieki. Przez czas jakiś wpatrywała się w najmłodszą z ulgą wymieszaną z radością.

– Jesteś – szepnęła wreszcie i lodowatą ręką dotknęła jej twarzy. – Bogu dzięki, że cię nie zamknęli.

– Nie dość, że ci dranie wzięli Zosię, to jeszcze wy dwie napędziłyście mi strachu – powiedziała z ciężkim westchnieniem Adela zaraz po tym, jak naląła trunku do nowego kieliszka i wypła wszystko duszkiem. – Jak się rozwidni, wzywam doktora Jezierskiego. – Spojrzała na Ninę. – Koniecznie musi cię zbadać.

– Nie musi – szepnęła siostra, próbując się podnieść. – To tylko... Nie mówiłam jeszcze, ale... spodziewam się dziecka.

6.

Nadchodził świt i niebo zaczynało szarzeć, kiedy Zofia ujrzała przed sobą ponury gmach Aresztu Centralnego na Daniłowiczowskiej. Dorożka, w której siedziała wraz z dwoma żandarmami, najpierw toczyła się wzdłuż muru, aż wreszcie dotarła do żelaznej bramy zabezpieczonej u góry drutem kolczastym.

Dyżurujący po drugiej stronie strażnik otworzył wrota i zamienił kilka słów z konwojentami, po czym pozwolił im wjechać do środka. Na dziedzińcu stało już kilka pojazdów, a to znaczyło, że Zofia nie była dziś jedyną aresztowaną. Znowu pomyślała o Poli. Panicznie bała się, że złapali także ją. I że najmłodsza siostra jest teraz tutaj albo w jakimś gorszym miejscu, na przykład na Pawiaku.

„Boże, błagam, tylko nie to. Nigdy więcej nie dam jej ryzykować. Nigdy więcej” – powtarzała w duchu.

Żandarmi kazali jej wysiąść i zaprowadzili do budynku. Przeszli kawałek ponurym korytarzem i znaleźli się pod drzwiami więziennej kancelarii, gdzie kłębił się tłum aresztantów płci obojga oraz ich strażników.

Pomyślała, że długo jej tu zejdzie. Dla niej nie miało to żadnego znaczenia, i tak dziś stąd nie wyjdzie, o ile wyjdzie w ogóle – ale żandarmi wyglądali na zirytowanych.

Brakowało miejsc do siedzenia, więc oparła się ciężko o ścianę i dla zabicia czasu tudzież uspokojenia nerwów przyglądała się przypadkowym towarzyszom niedoli. Zauważyła kilku dobrze ubranych mężczyzn, zapewne przedstawicieli wolnych zawodów. Kilku młodych chłopaków, niewykluczone, że jej kolegów z organizacji. Dwie mocno wymalowane i wyfiokowane kobiety – jedną w średnim wieku, drugą chyba młodszą od Poli – jak nic trudniące się najstarszym zawodem świata.

Czas zdawał się pełzać, ale kolejka posuwała się systematycznie. Tłumek jednak nie malał, bo wciąż przybywali kolejni ludzie pod strażą.

Doczekała się wreszcie i wraz z konwojentami weszła do dużego pomieszczenia biurowego, w którym – oprócz niezliczonych szaf i półek – stało pięć biurk. Siedzieli przy nich wymęczeni czynownicy; od groźnych aresztantów oddzielała ich metalowa siatka.

Żandarm pchnął ją w stronę stanowiska, przy którym urzędował starszy wąsaty jegomość.

Przyjrzał się jej uważnie, obadał paszport, a potem zaczął zadawać niezliczone pytania.

Imię. Nazwisko. Data i miejsce urodzenia. Imiona rodziców. Rodowe nazwisko matki.

Stan. Sytuacja rodzinna. Wykształcenie. Miejsce pracy.

Kiedy znużona indagacją złożyła podpis pod protokołem, żandarmów zastąpił więzienny strażnik, który kazał jej wyjść z kancelarii tylnymi drzwiami, a następnie powiódł w głąb gmachu. Myślała, że od razu trafi do celi, ale strażnik wepchnął ją do dużego obskurnego pomieszczenia, w którym czekało już kilkadziesiąt osób – mężczyzn i kobiet. Ku swej uldze nie wypatrzyła wśród nich siostry. Dostrzegła jednak Halinę, koleżankę z sekcji wywiadowczej.

Cóż za koszmarna noc.

7.

– Wygląda, jakby wybuchł tu granat! – Pola z przerażeniem rozglądała się po zdemolowanym podczas rewizji pokoju.

– Najważniejsze, że nie znaleźli nic trefnego – powiedziała Nina, która czuła się o wiele lepiej niż jeszcze godzinę temu i wyglądała też mniej przerażająco.

– A broń? – zapytała szeptem.

– W najlepszym porządku – odparła tak samo cicho siostra. – Nie odkryli, że to niewłaściwy pokój.

– Gdybyś miała czas wszystko rozpakować, pewnie by zauważyli. – Dwa zniesione z góry pudelka z rzeczami Niny, głównie dokumentami i książkami, nadal stały w schowku obok kuchni i czekały zmiłowania wiecznie zajętej właścicielki. Pola nie pisnęła ani słowa na ten temat, ale była ogromnie rada, że także tam, na najniższej półce za zimowymi butami, trzymała swoje osobiste zapiski.

– Moje drogie. – Ciotka Klara wyjrzała ze swojej sypialni. – Co jeszcze robicie? Ninko, wszystko w porządku? – Spojrzała z troską na starszą bratanicę.

– Tak, ciociu. Nie chce nam się spać.

– Pamiętajcie, moje drogie, co powiedziała babcia. Czeka nas trudny dzień, trzeba odpocząć.

Kiedy minęło zaskoczenie wywołane nieoczekiwanym wyznaniem Niny, natychmiast zaczęły myśleć, w jaki sposób wyciągnąć Zosię z aresztu. Pola najchętniej zrobiłaby coś od razu – od koleżanek ze swojej sekcji nasłuchiwała się okropnych rzeczy o warszawskich więzieniach – ale babcia ucięła dyskusję i kazała wszystkim iść do łóżek. Później, już o przyzwoitej porze, miały spokojnie zastanowić się i poszukać wśród znajomych kogoś na tyle wpływowego, kto zdołałby poradzić sobie z dowództwem żandarmerii i Ochroną.

– Za chwilę się kładziemy – powiedziała Pola i zawróciła do pokoju Zosi, w którym obie miały dzisiaj nocować; odkopywanie ich własnych łóżek spod zwałów różnych przedmiotów i papierów trwałoby zbyt długo.

– Ciocia nie da mi żyć – mruknęła Nina, kiedy zamknęły za sobą drzwi. – Będzie mnie niańczyć przez najbliższe siedem miesięcy.

– Przyda ci się odrobina troski – powiedziała z uśmiechem Pola. – Chyba powinnaś zrezygnować z pracy. Szpitalne warunki mogą źle wpłynąć na dziecko.

– Już zrezygnowałam, nie chciałam czekać, aż sami mnie zwolnią.

– Przynajmniej jedna dobra wiadomość.

– Gdybym... gdybym tylko mogła powiadomić Stasia – westchnęła Nina. – Byłam w sztabie, ale nie chcieli nic o nim powiedzieć.

– Pewnie sami nie wiedzą – odparła Pola. – A Staś wróci, zobaczysz. I to pewnie w samą porę.

– Przepraszam. – Nina szybkim ruchem wytarła oczy. – To nie czas... Teraz musimy załatwić sprawy Zosi. Podeszła do okna i zanim Pola zdążyła zapytać, co zamierza zrobić, otworzyła je na oścież. Spojrzała w dół, a potem zaczęła się z czymś mocować. Po chwili wciągnęła na parapet solidną paczkę książek i dokumentów spiętych skórzanym paskiem i związanych pończochą.

– Sprytne.

– Są tu jakieś paszporty... Trzeba je zanieść do „Uranii”. Ponoć wiesz, gdzie to jest. I to także. – Z nadprutego paska szlafroka Nina wyciągnęła zwiniętą bibułkę. – To raport. Prawie gotowy.

– Daj, zaniosę z samego rana. – Schowała rolkę do kieszeni spodnicy.

– Naprawdę martwię się o Zosię – powiedziała nieoczekiwanie Nina – ale zabiłabym ją gołymi rękami za to, że i ciebie wciągnęła w konspirację.

– Sama chciałam – odparła szybko Pola.

– Domyślam się. Ale mogła wybić ci to z głowy. Albo, bo ja wiem... zakazać?

– Uważasz, że rosyjskie rządy są dobre? I że mamy im pomagać?

– Gdyby coś ci się stało...

– Na razie stało się Zosi – wpadła siostrze w słowo – i to ją musimy ratować. Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Nie podobają mi się, ale... – Nina nagle urwała i wbiła wzrok w górną część zasłony. – Jezus Maria! Jak ona to wsadziła? Co za niezdara.

Pola spojrzała w tym samym kierunku i od razu dostrzegła lufę pistoletu wystającą zza fantazyjnej kokardy, z której w swoim czasie Julia była bardzo dumna. A więc Zosia nie wysiliła się na oryginalność i schowała broń w starej skrytce. Nic dziwnego, że Nina za nic w świecie nie chciała wpuścić żandarmów do jej pokoju.

ROZDZIAŁ IX

I.

Wedle planu, który zdążyły ułożyć w trakcie śniadania, ciotka Klara udała się do pana Richtera, Pola zebrała nielegalne dokumenty, aby odnieść je, gdzie należy, zaś babcia i Nina złożyły niezapowiedzianą wizytą Amelii Osnowskiej, która – jak wszystkie doskonale pamiętały – miała niezwykle znajomości w kręgach warszawskiej policji śledczej.

Szanowna dama podczas częstych wizyt w Warszawie mieszkała w eleganckiej kamienicy na Senatorskiej, dokładnie naprzeciwko kościoła Świętego Antoniego Padewskiego. Tego dnia była na szczęście u siebie i natychmiast zgodziła się je przyjąć.

– Cieszę się, że was widzę, moje drogie – powiedziała z uśmiechem, witając się z nimi w przestronnym holu. – Akurat wczoraj rozmawiałam z Rozalią, że najwyższa pora was odwiedzić. A tu taka niespodzianka...

– Obawiam się, że nie całkiem przyjemna – odparła posepnie Adela. – Nie będę owijać w bawełnę, chcę cię poprosić o pomoc.

Pani Osnowska nie skomentowała tego wyznania, tylko wskazała im drogę do salonu, który choć nieco zagracony, sprawiał bardzo przyjemne wrażenie. Przysadzista starsza pokojówka, nie czekając na polecenie, przyniosła herbatę i ciasteczka.

– Dziękuję, Pelagio – powiedziała gospodyni. – Częstujcie się, moje drogie.

Nina wcale nie miała ochoty na tę wizytę. W towarzystwie pani Amelii nadal czuła się nieswojo. Stanisław przekonywał ją, że jego babka nie jest

groźna, ale co on mógł tam wiedzieć.

Znał ją wszystkiego dwa tygodnie, a poza tym szybko stał się jej ulubieńcem. Przyszła tu jednak, gdyż były ważniejsze sprawy niż jej sympatie i antypatie. Babcia też nieszczerólnie przepadała za panią Osnowską, ale potrafiła wznieść się ponad dawne animozje.

– Jeszcze raz przepraszam za najście o tak wczesnej porze – powiedziała Adela, bez przekonania mieszając herbatę – ale mamy poważną sprawę – Czyżby coś stało się Stasiowi? – W głosie gospodyni zabrzmiał szczerzy niepokój.

– Ależ skąd! – odparła Nina. – To znaczy... nie wiem. Korespondencja nie dochodzi.

– To skandal! – prychnęła Osnowska. – Moskale nie potrafią niczego załatwić porządnie.

Nic dziwnego, że przegrywają wojnę.

– Oj, potrafią – mruknęła babcia. – Teraz robią wszystko, by zasłużyć na naszą „wdzięczną” pamięć.

– W takim razie zamieniam się w słuch. – Amelia odstawiła szklanekę. – W czym mogę pomóc?

– Aresztowano moją najstarszą wnuczkę.

– Zofię? Coś takiego! Za co?

– Ochrana uznała, że Zofia konspiruje – wyjaśniła Adela. – Dziś w nocy miałyśmy niezapowiedzianą wizytę żandarmów oraz rewizję.

– Znaleźli coś?

– Ależ skąd! Mimo to zabrali dziewczynę do więzienia. A ja potrzebuję pomocy, żeby ją stamtąd wyciągnąć. – Babcia spojrzała Osnowskiej prosto w twarz. – Serce mi pęknie, jeśli coś jej zrobią.

– Rozumiem – westchnęła gospodyni. – Masz takie wspaniałe wnuczki. – Zerknęła na Ninę. I nie, w jej wzroku nie było ani kpiny, ani nieszczerłości. – Co mogę dla was zrobić?

– Pamiętam, że masz kontakty w policji śledczej – zaczęła ostrożnie Adela. – I to na wysokim szczeblu. Może gdyby ktoś stamtąd podjął

interwencję, dałoby się coś wskórać.

Przez twarz Osnowskiej przemknął cień, a potem zamyśliła się głęboko. Obserwując ją, Nina pomyślała, że dama wygląda tak, jakby chęć niesienia pomocy walczyła w niej z uprzedzeniami, a może nawet z nienawiścią: Staś powiedział kiedyś, że babka nie znosi Rosjan jak zarazy i przy okazji każdej wizyty wierci mu dziurę w brzuchu, żeby zrzucił wrogi mundur, bo jego przodkowie przewracają się w grobach.

– Przyznam, że nie jest to łatwe – oświadczyła wreszcie gospodyni poważnym tonem. – W zasadzie ten człowiek dla mnie nie istnieje i wolałabym niczego mu nie zawdzięczać. Wyrządził mi krzywdy, których nigdy nie zapomnę. Ale – znowu spojrzała na Ninę – jesteście moją rodziną. Porozmawiam z nim. O ile jeszcze nie wyjechał z miasta.

– Dziękuję – powiedziała Adela, a potem wyciągnęła z torebki zapisaną kartkę. – Tu są wszystkie informacje o mojej wnuczce. Nie wiem tylko, dokąd ją zawieźli.

– Dowiem się wszystkiego – oświadczyła Osnowska z niezachwianą pewnością w głosie, a Nina pomyślała, że chyba nie chciałyby mieć w niej wroga.

2.

– A więc wzięli i „Mirę”. – „Milska” ze zdenerwowania usiadła na blacie biurka i sięgnęła po papierosy. – To źle. Wręcz tragicznie.

Pola bywała w biurze „Uranii” wiele razy, nieustannie odbierała stąd bibułę, ale dopiero poprzedniego dnia, podczas porządkowania magazynu, mogła przekonać się, że biuro jest naprawdę ogromne i zagrożone do granic możliwości. Przestała się dziwić, że żandarmi, którzy zaglądali tu już kilkakrotnie, nie byli w stanie połapać się, które biurko należy do kogo i które paczki można rewidować, a które lepiej zostawić w spokoju. Dziś przybiegła tu z samego rana, chcąc uniknąć tłoku, a także spotkań ze

znajomymi i kłopotliwych pytań, na które nie umiałyby udzielić odpowiedzi.

– Dobrze, że tego nie znaleźli. – „Milska” zaciągnęła się mocno i spojrzała na leżące przed nią na biurku lewe paszporty oraz pozostałą bibułę.

– Mam jeszcze to. – Pola wyłuskała zza mankietu bluzki rolkę z raportem. – Podobno prawie gotowy. I to. – Rozejrzała się uważnie, czy nikt nie kręci się w pobliżu, a potem sięgnęła pod sukienkę i z jednej z ukrytych kieszeni wyciągnęła pistolet. Długo zastanawiały się z Ninką, co należy z nim zrobić, i uznały, że lepiej pozbyć się go z domu. Widmo kolejnej rewizji było bowiem całkowicie realne.

– Zośka trzymała to u siebie?! Skąd go wzięła?

– Nie mam pojęcia. Dowiedziałam się o nim ledwie kilka tygodni temu.

– Powinna była bezzwłocznie zameldować. – „Milska” wyglądała na bardzo niezadowoloną. – Gdyby żandarmi go znaleźli... nie byłoby żadnego ratunku.

– Proszę powiedzieć – wpatrzyła się błagalnie w twarz starszej koleżanki – czy można coś dla niej zrobić? Czy organizacja mogłaby... Próbujemy same znaleźć ratunek, ale to może być za mało.

– Od wczoraj aresztowano nam aż osiem osób – powiedziała „Milska” poważnym tonem, dusząc niedopałek w popielniczce. – Nic nie możemy zrobić. Co więcej, nie wolno nam ryzykować dalszych strat.

– Ale Zofia...

– Zofia doskonale wiedziała, na co się pisze. Jaka jest stawka i jakie jest ryzyko. Myślę, że ty także zdajesz sobie z tego sprawę.

– Ale Zofia to moja siostra i zrobię wszystko, żeby jej pomóc.

– Pamiętaj, że jesteś zaprzysiężoną członkinią organizacji. Ty też nie możesz ryzykować więcej, niż to konieczne.

– Tak jest!

– Masz coś jeszcze do zameldowania?

– Nie, to wszystko.

– W takim razie możesz iść. Posłuchaj... – „Milska” zawahała się, a jej głos złagodniał – Zofia jest dla nas ważna. W niektórych kwestiach wręcz niezastąpiona, ale nie zdołamy jej wyciągnąć z aresztu. Gdybyśmy mieli takie długie ręce, nie przejmowalibyśmy się Ochraną.

Pola kiwnęła głową. Nie była tak naiwna, aby sądzić, że POW może załatwić wszystko, ale musiała przynajmniej spróbować.

– Do widzenia – powiedziała, starając się opanować drżenie głosu.

– Uważaj na siebie. Do jutra masz wolne.

Wyszła na korytarz i dopiero tam poszukała chusteczki. Kiedy wycierała załzawione oczy, w drzwiach prowadzących do największego składu bibuły stanął przystojny ciemnowłosy mężczyzna o śmiałym profilu; był blady i wyraźnie zdenerwowany. Pola nie poznała go osobiście, ale i tak wiedziała, kim jest.

Spojrzała mu prosto w twarz w nadziei, że może on coś jej powie albo doradzi. „Gryf” nie odezwał się jednak nawet słowem. Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem wrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

3.

Nina stała przed wejściem do Collegium Anatomicum na ulicy Teodora i zastanawiała się, czy wejść do środka, czy jednak sobie darować. Prosektorium nie robiło na niej wrażenia, ale żywiła obawę, że doktor Warliński nie zechce jej oglądać, gdyż od dnia ślubu Julii, czyli od ponad miesiąca, nie odwiedził ich ani razu. A ona zamierzała go zapytać o jego kontakty; jako lekarz sądowy stykał się przecież z przeróżnymi ludźmi.

Nie, na pewno nie zacznie odgrywać się na niej za błędy młodszej siostry. Na coś takiego był po prostu za porządny. Słońce dawało się jej we znaki, więc wreszcie zdecydowała się wejść do budynku. W holu panował przyjemny chłód. Nawet jeśli nie zdoła nic załatwić, przynajmniej trochę odpocznie.

– Dzień dobry – zaczęła uprzejmie, podchodząc do strażnika. – Chciałabym zobaczyć się z doktorem Józefem Warlińskim.

– Nie ma.

A to pech. Powinna była wziąć pod uwagę taki obrót spraw – mimo ewakuacji i wojennego zamieszania ludzie wcale nie przestali się zabijać i pan Józef na pewno miał dużo pracy.

– W takim razie zaczekam. – Rozejrzała się w poszukiwaniu ławki. – Kiedy może wrócić?

– Nie wróci.

Nie spodobała się jej ani ta odpowiedź, ani lakoniczność stróża.

– Nie wróci? – Upewniła się. – Przecież tu pracuje.

– Nie pracuje.

– Jak to: nie pracuje?! Niemożliwe.

– Szuka pani Józefa Warlińskiego? – Ze zdenerwowania nie zauważyła, że obok niej zatrzymał się niewysoki łysiejący mężczyzna w lekarskim fartuchu.

– Zgadza się. – Spojrzała z nadzieją na nieznanego. – Mam bardzo ważną sprawę. Osobistą.

– Makowicz – przedstawił się szybko. – Pracowałem razem z Józefem.

– Nina Woyda... Czy mógłby pan wyjaśnić, co się dzieje? Jestem znajomą doktora.

– Chodźmy. – Gestem zaprosił ją, aby z nim poszła. – Wydaje mi się, że powinna pani odsapnąć.

Zaprowadził ją do sporego, ale mocno zagraconego gabinetu na parterze. Wszędzie wałały się medyczne książki i jakieś szpargały, a w oszklonych szafach stały przeróżne preparaty anatomiczne – ludzkie i zwierzęce. Na biurku leżała zaś czaszka, która najwyraźniej służyła lekarzom za przycisk do papieru.

– Proszę usiąść. – Doktor Makowicz podsunął jej krzesło. – Napije się pani wody?

– Nie trzeba. – Chętnie skorzystałaby z tej propozycji, ale widok szklanek nie pierwszej czystości odwiódł ją od tego pomysłu. – Chciałabym dowiedzieć się, gdzie mogę znaleźć doktora Warlińskiego.

– Chyba dawno go pani nie widziała?

– Ponad miesiąc.

– W takim razie nie dziw, że pani o niczym nie wie – zaczął z westchnieniem lekarz, siadając naprzeciwko niej. – Otóż Józef w połowie czerwca zrezygnował z pracy. Profesor Patkiewicz nie chciał podpisać mu dymisji, namawiał, przekonywał, ale on uparł się jak, za przeproszeniem, osioł.

– Ale dlaczego? – zapytała, choć natychmiast w głowie zaświtało jej podejrzenie, że może Julia ma coś wspólnego z tą decyzją. – Chyba jakoś wyjaśnił, czemu odchodzi?

– Nie wiem, jak dobrze go pani zna – powiedział Makowicz. – Ale on robi wyłącznie to, co sam uzna za słuszne, i nie ma w zwyczaju się tłumaczyć. Podejrzewam jednak, że spotkało go jakieś nieszczęście... W końcu kiedy umarła mu żona, przez kilka tygodni siedział w domu, patrzył w okno, prawie nie jadł i do nikogo się nie odzywał.

– Rzeczywiście, to bardzo smutne. – Nina starała się nie pokazać po sobie, że jest zaskoczona tym, co właśnie usłyszała. Warliński wydawał się pogodnym człowiekiem i nie przyszło jej do głowy, że mógłby przeżyć jakąś osobistą tragedię.

– Ano smutne. Słyszała pani, co się stało z jego żoną?

– Coś niecoś – odparła zdawkowo, licząc na to, że zaraz wszystkiego się dowie. I nie, nie kierowało nią wścibstwo – po prostu zaczęła martwić się o doktora. A jeśli będzie wiedziała, co go właściwie spotkało, może zdoła jakoś mu pomóc. Miała przecież u niego ogromny dług wdzięczności.

– Brała morfinę na potęgę. Józef nie uchował w domu ani jednej fiolki, wszystko musiał trzymać w szpitalu. Prosił kolegów, żeby jej nic nie przepisywali, ale ona umiała wykopać narkotyk nawet spod ziemi. Bał się

wracać do domu, bo nie wiedział, co tam zastanie. Próbował ją leczyć, ale nic nie pomagało. W końcu wzięła za dużą dawkę i umarła.

A więc to w taki sposób Warliński nauczył się kurować morfinistów... Czy Julia wiedziała o tym wszystkim?

– Niedawno kręciła się koło niego taka ładna fertyczna panna. Widać było, że odżył. Ale chyba nic z tego nie wyszło.

„Niestety” – pomyślała Nina, a głośno zadała pytanie: – Co może dziać się z nim teraz?

– Nie mam pojęcia. – Makowicz bezradnie rozłożył ręce. – Wymówił mieszkanie i gdzieś przepadł. Wcześniej mówił profesorowi, że chce iść na wojnę.

– Jezu Chryste! – jęknęła. – Na wojnę?

Tylko tego jeszcze brakowało do kompletu nieszczęść.

4.

– Jak myślisz, ile to potrwa? – mruknęła Halina, której jakiś czas temu udało się dopchać do kąta, gdzie na gołej podłodze przycupnęła Zofia; teraz mogły przynajmniej oprzeć się o siebie.

– Długo już nie wytrzymam. Od wczorajszego popołudnia nie miałam nic w ustach.

Minęło kilkanaście godzin, a one nadal tkwiły w sali, do którego wepchnął je strażnik.

Początkowo było tu czterdzieści osób – Zofia policzyła dokładnie – ale wciąż wprowadzono nowe, więc w końcu straciła rachubę. Choć pomieszczenie było duże, szybko zrobiło się tu ciasno i duszno, a dozorczy nie chcieli otworzyć okien. Dopiero kiedy kobiety zaczęły mdleć, jeden z nich zlitował się nad zmaltretowanymi aresztantami i długim drągiem zakończonym drutem pootwierał zakratowane lufciki znajdujące się pod samym sufitem.

Areszt Centralny na Daniłowiczowskiej oddano do użytku niedługo przed wojną, więc był prawie nowy, ale Zofia, patrząc na oblepione brudem ściany i podłogi, z trudem mogła w to uwierzyć.

– Kiedyś muszą nas wypuścić – odparła, z niepokojem spoglądając na bledziutką koleżankę; sama czuła, jak po jej plecach spływają stróżki potu.
– Nie będą przecież wpychać tu aresztantów bez końca.

Omiotła wzrokiem stłoczonych ludzi, wśród których był cały przekrój społeczeństwa. Nauczycielki i ich uczennice, studentki oraz profesorowie, a także kłócący się ze sobą zajadłe złodzieje i znudzone prostytutki.

– Oby tylko nie złapali Poli – dodała po chwili. – Oby gdzieś zamarudziła.

– Mówiłam ci, że robili wielkie porządki w „Uranii”. Wszystkie kurierki pomagały. Ona pewnie też.

– Że też wczoraj nie było mnie w biurze... – mruknęła. – Nie uspokoję się, póki nie usłyszę, że jest cała i zdrowa.

Za każdym razem, kiedy skrzypiały zawiasy, serce podchodziło jej do gardła, gdyż bała się, że w progu sali stanie siostra. Myślała też o Nince. Chyba po raz pierwszy ze szczerym podziwem. Nie przypuszczała, że ta dziewczyna, którą uważała za najmniej bystrą z nich wszystkich, miała tyle sprytu i odwagi.

– Może nas szybko uwolnią – szepnęła Halina, prostując obolałe plecy.

– Nie po to łapali, żeby uwalniać. – Nie wątpiła, że rodzina zrobi wszystko, aby ją ratować, ale to „wszystko” mogło nie wystarczyć. Organizacja też nie zdoła pomóc.

Zamilkły, bo nie miały już siły na rozmowy. Brak wody i toalety coraz bardziej dawał im się we znaki.

Nadchodził wieczór, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie na całą szerokość i do sali wpadł gruby żandarm. Potoczył wzrokiem po stłoczonych ludziach i wrzasnął: – Wstawać! Już!

Pomagając sobie wzajemnie, dziewczęta podniosły się z podłogi. Zofii robiło się słabo z głodu i pragnienia, ale wiedziała, że musi wytrzymać. Jeszcze trochę. Przynajmniej jeszcze trochę.

Zaczęła się segregacja aresztowanych.

5.

– Tak więc doktor Warliński przepadł jak kamień w wodę. – Tymi słowami Nina zakończyła swą opowieść.

– Myślisz, że pojechał do Julii? – zapytała Pola, pogryzając ciasteczka, które Balbina upiekła z resztki pszennej mąki i orzechów. – Do Turzyny?

Siedziały obie w pokoju Zosi, który stał się ich tymczasowym lokum, ponieważ u nich, choć służąca zaczęła już porządki, nadal nie dało się spać. Babcia i ciotka udały się do doktorowej Maleskiej, która obiecała ściągnąć na popołudniową herbatę profesorową Waissową i kilka innych wpływowych pań, więc w spokoju mogły porozmawiać i spróbować wymyślić jakąś nowy plan.

– Myślałam tak przez chwilę, ale to chyba niemożliwe. Doktor przekonywał Julię, póki miał nadzieję, że odwoła ślub, ale nie posunąłby się do rozbijania małżeństwa.

– Masz rację. – Pola kiwnęła głową. – Doktor jest zbyt dumny, aby pchać się tam, gdzie go nie chcą.

– Myślisz, że naprawdę zaciągnął się do armii? – Jakiś czas temu zauważyła, że Pola, najlepiej z nich wszystkich, zna się na ludzkich charakterach. Musiała odziedziczyć tę umiejętność po babci Adeli, bo przecież jej doświadczenie życiowe było niewielkie.

– Do rosyjskiej armii? Po dobroci? Nie sądzę.

– Julia naprawdę złamała mu serce.

– Boję się – zaczęła niepewnie Pola – że kiedyś tego pożałuje. Między nimi było coś takiego... – Zamilkła na chwilę, bo chyba szukała właściwych słów. – Kiedy zbliżali się do siebie, w powietrzu czuć było elektryczność.

– Ładnie powiedziane. – Uśmiechnęła się mimowolnie, zastanawiając się, w jaki sposób siostra opisałaby jej relację ze Stanisławem. – Doktor to

chyba jedyny mężczyzna, któremu Julia nie zdołała wejść na głowę.

– Nie byłabym taka pewna. W końcu patrzył na nią jak w obraz Matki Boskiej.

– Ale przynajmniej miał cięty język i mógł sobie z nią poradzić.

– Mam nadzieję, że nie spotka go nic złego... Będę się za niego modliła.

– Ja też, bo nic innego nie mogę zrobić. W sprawie Zosi nie zamierzam jednak poprzestać na modlitwach. Może wasza organizacja mogłaby jakoś pomóc?

– Nie może – rzuciła Pola z rezygnacją. – Pytałam.

– Nawet *ten* człowiek? – dopytała ostrożnie.

– Czy to znaczy, że wiesz... – Oczy siostry zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. – O *nim*?

– Wiem. – Kiwnęła głową. – Zosia mi opowiedziała.

– No proszę... A ja musiałam dowiadywać się z plotek.

– Nic dziwnego, że chciała to ukryć. Przecież to związek bez przyszłości. Nawet gdyby on się rozwiódł, musieliby zmieniać wyznanie, żeby wziąć ślub. Babcia, a już zwłaszcza ciocia, nigdy w życiu nie zgodziłyby się na coś takiego.

– Nie sądzę, aby Zosia zamierzała pytać je o zdanie. A on, to znaczy „Gryf”, kocha ją niewątpliwie, ale nic nie robi. Nie może.

– Ostatnio nic nie układa się, jak powinno. – Spojrzała w okno i nagle zaczęła myśleć o mężu, który był gdzieś daleko na wschodzie i wciąż nie dawał znaku życia.

6.

Pod drzwiami celi niechlujna dozorczyńni dokładnie sprawdziła, czy Zofia nie ma przy sobie żadnych ostrych przedmiotów, następnie strażnik

sięgnął po klucze, otworzył ciężkie drzwi i gestem nakazał jej wejść do środka.

Zatrzymała się tuż za progiem i rozejrzała dookoła. Nie, nie spodziewała się luksusów i nie była też przesadnie wymagająca, gdyż przez ostatnie cztery lata nauczyła się zadowalać bardzo skromnymi warunkami – w czasie terenowych szkoleń albo w drodze przez front spało się tam, gdzie było miejsce, i jadło to, co łaskawie zaoferowali gospodarze – ale nie pamiętała, czy już kiedyś widziała tak okropne pomieszczenie.

W niewielkiej, słabo oświetlonej celi tłoczyło się ze trzydzieści kobiet. Inteligentki, eleganckie damy, wiejskie baby, dziewczęta lekkich obyczajów.

Pod jedną ze ścian stały cztery piętrowe prycze, na których nie dało się uświadczyc nawet kawałka wolnego miejsca; większość aresztantek układała się do spania wprost na podłodze. Choć zakratowane okna było uchylone, w powietrzu unosił się fetor niemytych ciał. Najgorsze było jednak to, że nigdzie nie dostrzegła Haliny, z którą rozdzielono ją brutalnie jeszcze w poczekalni. Po raz pierwszy od bardzo dawna Zofia poczuła się całkowicie bezradna.

ROZDZIAŁ X

I.

– Będzie mi siostry brakowało – oświadczyła Serafina, kiedy już serdecznie ją wyściskała. – Naprawdę.

– Mnie siostry także – odparła Nina, która co prawda jakiś czas temu zwolniła się z pracy, ale dopiero tego dnia przyszła po odbiór dokumentów, a przy okazji zajrzała na oddział, chcąc pożegnać się ze współpracowniczkami i chorymi.

– Choć i tak rozstałybyśmy się rychło – kontynuowała zakonnica. – Tylko patrzeć, jak nas zapakują i wywiozą do Rosji. Już zbierają ozdrowieńców z innych oddziałów.

Niemcy byli coraz bliżej, więc władze wojskowe robiły, co mogły, aby uchronić rannych przed niewolą, której wielu z nich mogłoby nie przeżyć.

– Dokąd was ewakuują?

– Pewnie do Piotrogradu – westchnęła zakonnica. – Naszych zatrutych wezmą na samym końcu. Dla nich im później, tym lepiej.

Od drugiego ataku gazowego pod Bolimowem minął ponad miesiąc. Niestety, większość poszkodowanych żołnierzy i oficerów zmarła, a ci, którzy przeżyli, bardzo wolno wracali do zdrowia.

– Gdybym mogła jakoś pomóc...

– Niech siostra zajmie się sobą i swoim zdrowiem. – Serafina pogroziła jej palcem. – I życzę siostrze syna.

– W mojej rodzinie rodzą się same dziewczynki – rzuciła z uśmiechem.

Tak naprawdę było jej wszystko jedno; niezależnie od płci, dziecko stanowiło prawdziwy dar od Boga.

Znowu zatęskniła za mężem. Gdyby mogła przynajmniej do niego napisać, podzielić się dobrą nowiną. Albo gdyby dostała jakieś wieści od niego. A tak nie miała pojęcia, gdzie walczył i czy był zdrowy. Pocięszała się tym, że brak wiadomości to dobra wiadomość; przecież gdyby – nie daj Bóg! – zginął, armia raczyłaby ją o tym poinformować. Problem jednak w tym, że ostatnio wszędzie panował ogromny bałagan.

– Późno już. – Zerknęła na zegarek. – Chciałabym jeszcze zajrzeć do chorych.

– Koniecznie. – Serafina przytuliła ją znowu. – Niektórzy nieustannie pytają o siostrę.

Wyszła z pokoju pielęgniarek i idąc korytarzem, zaglądała do kolejnych sal. Rozmawiała z rannymi i z pielęgniarkami. W Szpitalu Ujazdowskim pracowała krótko, zaledwie kilka tygodni, ale czuła się o wiele lepiej niż w Lazarecie Miejskim. Miała też więcej koleżanek – być może dlatego że zatrudniono ją bezpośrednio na oddziale, a nie na chirurgii – i po tym, co przed chwilą powiedziała Serafina, zrozumiała, że większości z nich już więcej nie zobaczy.

– Nina! – Wiera, która akurat wyszła z oficerskiej sali, rzuciła się jej na szyję. – Myślałam, że nie przyjdiesz. A tak chciałam... chciałam cię wyściskać po raz ostatni.

– Ja ciebie też. – Uśmiechnęła się do koleżanki. – Koniecznie.

– Chcesz widzieć porucznika Tarłowskiego? Nie ma go tutaj.

– Coś mu się stało?

– Spokojnie. Poszedł niedawno na spacer i pewnie schował się gdzieś pod drzewem.

– W takim razie pójdę i go poszukam.

Pożegnała się serdecznie z Wierą i jeszcze kilkoma dziewczętami, które właśnie zaczynały dyżur, a potem wyszła na zewnątrz. Odetchnęła pełną piersią i uświadomiła sobie, że naprawdę będzie jej brakować tego miejsca.

Witolda odnalazła po drugiej stronie pawilonu. Siedział na ławce w cieniu lipy i myślał o czymś tak intensywnie, że nawet nie zauważył, kiedy do niego podeszła.

– Dzień dobry – zaczęła cicho. – Mogę usiąść?

– Pani Nina? – Oprzytomniał w jednej chwili i zerwał się z miejsca. Wyglądał lepiej niż jeszcze kilka dni temu. I nosił opatrunek już tylko na jednym oku. – Miło panią widzieć.

– Nie powinien pan wykonywać tak gwałtownych ruchów – upomniała go z uśmiechem.

– Proszę siadać z powrotem i odpoczywać.

W powietrzu unosił się zapach lipowego kwiecia i słychać było głośne brzęczenie pszczoł. Wbrew wszelkim pozorom w tym miejscu naprawdę można było zapomnieć, że niedaleko toczy się wojna.

– Przyszłam, żeby się pożegnać – zaczęła ostrożnie. Nie miała pojęcia, czy Witold wie coś o aresztowaniu Zofii. Niewykluczone, że wuj nie chciał go niepokoić i o niczym mu nie wspomniał.

– Odchodzi pani z pracy?

– Sprawy rodzinne – powiedziała. – Poza tym słyszałam... siostra Serafina wspominała, że szpital czeka ewakuacja, a ja przecież nie mogę pojechać do Rosji.

– Pani przynajmniej ma wybór – odparł w zamyśleniu.

– Przecież pan Edmund... Jakoś dałoby się załatwić, żeby mógł pan zostać w Warszawie.

– Pani Nino, nie prosiłem się o to, ale jestem rosyjskim oficerem i nie zdołam ukryć tego faktu przed Niemcami.

Rzeczywiście, Serafina mówiła o tym samym. Aresztowanie i niewola w Bóg wie jakich warunkach.

– A co na to pańska narzeczona? Pojedzie za panem? – Gdyby Stanisław znalazł się w podobnej sytuacji, ruszyłaby za nim bez namysłu.

– Panna Sabina i ja... – zawahał się na chwilę – postanowiliśmy, że rozsądniej będzie zwrócić sobie słowo.

Nina była tak zaskoczona tą wieścią, że przez długą chwilę nie była w stanie się odezwać.

Wreszcie wykrztusiła z trudem: – Przykro mi.

– Czasem tak trzeba – rzucił, starając się na nią nie patrzeć.

Ona zaś zadała sobie pytanie, czy jej starsza siostra nie miała aby czegoś wspólnego z tymi zerwanymi zaręczynami. Witold ją kochał, więc może postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia. Nie mogłaby życzyć Zosi lepszego męża.

– A co słyhać u pani rodziny? – zapytał dyplomatycznie, nie wątpiła jednak, kto naprawdę go interesował.

Chyba nie wiedział o niczym. Co zrobić? Powiedzieć mu, że Zosia siedzi w areszcie?

Rozsądniej byłoby chronić go przed prawdą, ale – prędzej czy później – i tak się dowie. Co do tego, że Tarłowski mógłby mieć przydatne znajomości w kręgach władzy, raczej nie żywiła złudzeń.

Najważniejsze było jednak to, że kłamstwa przychodziły jej z ogromnym trudem.

– Żandarmeria aresztowała Zosię – powiedziała w końcu.

Witold wbił w nią wzrok. Widząc, jak raz po raz mocno zaciska szczęki, zrozumiała, że wiadomość bardzo go wzburzyła.

– Kiedy? – zapytał.

– Przedwczoraj. Przyszli w nocy, zrobili rewizję, a ją zabrali. Nie wiemy dokąd.

– O co jest oskarżona?

– O spiskowanie przeciwko władzy i szpiegostwo.

– Nic się nie zmieniła...

– To pan... – Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. – To pan wie, że ona... Mówiła panu?

– Czym konkretnie się zajmuje, to akurat nie wiem. Ale... Pani Ninko, poznaliśmy się z panną Zofią w bardzo młodym wieku i spędziliśmy ze

sobą sporo czasu. Wiem, co jest dla niej ważne i do czego bywa zdolna.

– Obawiam się, że ona o panu wie niewiele – stwierdziła ze smutkiem. Wszystko wskazywało, że jej odważna i przekonana o własnej racji siostra mało wie o mężczyznach. Była to chyba jakaś rodzinna przypadłość, bo uległa jej także Julia. – Nie ma pan do niej żalu, że wtedy uciekła? – zaryzykowała pytanie, które dręczyło ją od dawna.

– Mam żal, że nie powiedziała mi prawdy w oczy. Nie zawłóklbym jej przecież siłą do ołtarza.

Wtem Nina pojęła, że Zofia z jakiegoś powodu bała się konfrontacji z Witoldem. Dlatego kiedyś wybrała ucieczkę i dlatego w ostatniej chwili zrezygnowała ze spotkania w szpitalu. Miała ochotę jeszcze spytać Tarłowskiego o to, czemu zaręczył się z Sabiną, ale uznała, że to już za duże wścibstwo.

– Martwię się, że ją wywiozą gdzieś na koniec Rosji – wyznała.

Tarłowski znowu milczał przez chwilę, a potem powiedział: – Pani Nino, proszę... Czy byłaby pani uprzejma przekazać mojemu wujowi, żeby mnie odwiedził?

– Pana wuj chyba nie chciał, żeby pan dowiedział się o aresztowaniu Zofii.

– Być może. Ale nie widzieliśmy się od czterech dni, a muszę jak najszybciej z nim porozmawiać.

2.

Julia miała wrażenie, że czas cofnął się prawie o rok. Stojąc przy płocie odgradzającym ogród od głównego traktu, patrzyła na toczące się jeden za drugim chłopskie wozy naładowane mizernym dobytkiem i ciągnące za sobą inwentarz. Na workach i tobołach siedziały zapłakane kobiety i dzieci, a mężczyźni szli w upale, poganiając wymęczone konie.

„Bieżeńcy” – tak mówili o nich rosyjscy oficerowie i żołnierze. Przerażeni ludzie, głównie prawosławnej wiary, wypędzeni ze swoich wsi przez wojsko, które obracało w perzynę opuszczone domy i niezebrane zboże. Ci, którzy zamierzali przeczekać najgorsze, chowali się po lasach, w krzakach, w wykopywanych naprędce ziemiankach. Bezskutecznie; Kozacy znajdowali ich wszędzie i wypędzali nahajkami oraz ogniem.

Nie miała złudzeń, że wojna dotrze także i tutaj. Była to wyłącznie kwestia czasu, ale już teraz nocą dało się słyszeć bijące gdzieś na zachodzie armaty.

– Chodź, moja droga – powiedział Andrzej. – Nic nie poradzisz na nieszczęście.

– To okropne. – Przytuliła się do jego ramienia.

– Spokojnie. – Cmoknął ją w czubek głowy. – Niedługo wszystko się skończy.

Od czasu, kiedy pułkownik Gołowin wraz ze swoimi oficerami – w tym porucznikiem Oboleńskim – i żołnierzami opuścił Turzynę, mąż zrobił się miłszy i spokojniejszy. Sztab generała Susłowa, który po całych dwóch dniach spokoju ulokował się we dworze, też o wiele mniej działał mu na nerwy. Może dlatego, że oficerowie brygady syberyjskiej bardziej skupiali się na kwestiach wojennych niż na życiu towarzyskim. Inna sprawa, że i oni, i ich żołdaci byli bardziej karni niż poprzedni; Susłow – chudy, kostyczny sześćdziesięciolatek – znany był ponoć z tego, że trzyma podwładnych żelazną ręką.

– Nie jestem pewna – odparła. – Niemcy podobno są pod Warszawą. Co będzie, jeśli wojsko i nam każe się wynosić?

– Nie jesteśmy chłopami – oznajmił Andrzej. – Nie mają prawa nam rozkazywać.

Oby to była prawda.

– I tak zem mu dogodziła, że mu para uszami poszła.

– Eeee, ja tam znam lepszy sposób... Słuchaj.

Zofia zatkała uszy. Nie była niewinną lilią, zdążyła poznać miłość, ale obrazowe dyskusje wesołych dziewcząt wydawały się jej zbyt wulgarne. Niestety, siedząc w zbiorczej celi z kilkudziesięcioma innymi kobietami była na nie skazana.

– Napijesz się herbaty, dziecko? – zapytała półgłosem profesorowa Białecka, którą trzy dni temu zaaresztowano, bo trzymała w domu kilkanaście egzemplarzy nielegalnych gazetek pozostawionych jej na przechowanie przez siostrzeńca z POW. To dzięki jej opiece i sąsiedztwu Zofia przetrwała bez szwanku pierwszą więzienną noc. Dystyngowana, uprzejma, ale nader stanowcza dama w średnim wieku budziła respekt nawet u kobiet z marginesu.

A było ich całkiem sporo, prawie jedna trzecia stanu celi. Pozostałe więźniarki rekrutowały się, między innymi, z kręgów konspiracyjnych; było tu kilka peowiaczek z innych sekcji, których Zofia nie miała okazji poznać wcześniej. Sporą grupę stanowiły też wieśniaczki oskarżane o spekulowanie i przemyt żywności, a także rzekome albo rzeczywiste niemieckie szpiegówki.

– Dziękuję, pani profesorowo – odparła. – Nie trzeba.

W rzeczywistości pragnienie męczyło ją nieustannie, ale swoją herbatę wypiała już dawno i nie chciała wykorzystywać dobroci pani Białeckiej.

– Pij, moja droga. – Sąsiadka podsunęła jej szklankę. – I nie dyskutuj.

– Dziękuję. – Wypiła tylko kilka łyków, potem zaś wyciągnęła się na niewygodnej podłodze. Minęła już północ, większość towarzyszek niedoli spała, a przynajmniej usiłowała to robić.

Zofia zaś czuła, że nie zdoła zasnąć żadnym sposobem. Nieustannie gryzły ją pluskwy i nie mogła przywyknąć do palącego się przez cały czas światła. A co najważniejsze, zbliżała się pora, o której zwykle zaczynały się przesłuchania. Nikt jeszcze jej nie wzywał i nie wiedziała, czy z tego powodu ma się cieszyć, czy martwić.

I tak nie dałaby rady się wyspać. Pobudka odbywała się o czwartej i wtedy też przynoszono im śniadanie, czyli gorącą wodę i chleb. Potem wypuszczano je tylko na chwilę za potrzebą i szybko zamykano z powrotem. Niemiłosiernie ciągnący się czas do obiadu, na który dawano im podejrzaną ciecuch udającą zupę, w której czasem pływały kawałki tłustego boczku, więźniarki spędzały, tłukąc szwendające się po celi karaluchy i rozmawiając o rzeczach, które pozwalały im choć na chwilę zapomnieć, gdzie się znajdują i co może je czekać.

– Boję się, że nas wywiozą – powiedziała cicho Stenia, peowiaczka z sekcji kolportażu, która jak się okazało, nieźle znała Polę, ale nie miała pojęcia, co się z nią dzieje.

– Może nie zdążą – mruknęła. – Zanim przeprowadzą śledztwo, a potem postawią pod sąd, do miasta mogą wejść Niemcy.

– Słyszałam, że wywożą bez sądu. Uznali nas za niebezpieczny element – dodała z przekąsem – i nie chcą, żebyśmy tu były, kiedy pobiją wroga i wrócą.

Kellerówna mocno zacisnęła powieki. Ze wszystkich sił zapragnęła zasnąć.

4.

W porze popołudniowej herbaty przyszły do nich z wizytą Osnowska i Burzyńska. A to mogło oznaczać tylko jedno – babka Stanisława miała jakieś wieści o Zosi. Towarzysząca szanownym matronom służąca Pelagia przyniosła duży kosz załadowany prowiantem; były tam nie tylko warzywa i jajka, ale także wędlina i mąka. Balbina na widok niespodziewanej dostawy frykasów pokraśniała z zadowolenia.

– Dziękujemy za pamięć, ale niepotrzebnie się pani kłopotala – powiedziała kurtuazyjnie Klara. – Jakoś dajemy sobie radę.

– No właśnie, jakoś – rzuciła pani Amelia. – I pewnie dlatego Janina wygląda, jakby miała początki suchot... Mój mąż zjechał wczoraj ze wsi i przywiózł trochę rzeczy. Uznałam więc, że o was zadbam.

– Dziękujemy bardzo – wtrąciła Adela. – Nie będziemy odmawiać. Nina rzeczywiście powinna lepiej się odżywiać. – Spojrzała z troską na wnuczkę.

– Chciałam porozmawiać o panie Zofii – oświadczyła Osnowska, kiedy już zakończyły wszystkie powitalne uprzejmości. – Kontaktowałam się z radcą Woroninem i...

– Rozmawiałaś z Woroninem? – zapytała ze zdumieniem Burzyńska, której siostra najwyraźniej nie wtajemniczyła w sprawę. – Przysięgałaś przecież na wszystkie świętości, że...

– Oktawio, uspokój się, proszę. Pań nie obchodzą nasze stare rodzinne sprawy. Otóż – pani Amelia spojrzała na ciotkę Klarę – radca wywiedziało się, że pannę Zofię trzymają w Areszcie Centralnym na Daniłowiczowskiej.

Nina nie umiała ocenić, czy to dobra wiadomość, ale wiedziała jedno – więzienie zbudowano zaledwie kilka lat temu. Może więc panowały w nim znośne warunki i siostra zdoła wytrzymać jeszcze trochę czasu.

– Można jej coś wysłać? – zapytała Klara.

– Można. – Osnowska kiwnęła głową. – Strażnicy i dozorczy znają radcę Woronina i żaden nie odmówi mu przysługi. Uwolnienie to niestety trudniejsza sprawa... Ponoć policja śledcza i Ochrańa darzą się niechęcią i nieustannie ze sobą rywalizują. Do tego stopnia, że obecny szef Ochrańy prędzej zastrzeliłby Zofię na miejscu, niż spełnił prośbę Woronina.

– Nie żebym mu się dziwiła – mruknęła pod nosem Burzyńska.

– Ochrańa i żandarmeria postawiły sobie chyba za punkt honoru, żeby na koniec zesłać jak najwięcej ludzi – kontynuowała Amelia, nie zwracając uwagi na słowa siostry. – Radca powiedział, że spróbuje jeszcze od innej strony, ale nic nie może obiecać.

Nina ukradkiem wytarła załzawione oczy. Skoro zawiódł kontakt, na który najbardziej liczyły, to chyba Zosi nie da się uratować.

– Nie płacz, moje dziecko. – Pani Oktawia zwróciła się tym razem do niej. – Lepiej weź ciasteczko. Smaczne.

– Nie, dziękuję bardzo. – Ciastka, jak wszystkie wypieki Balbiny, były bardzo dobre, ale z jakiegoś powodu ich zapach wywoływał u niej mdłości.

– Zjedz, zjedz. – Dama, wyraźnie pełna dobrych chęci, podsunęła jej talerzyk.

Zaleciała ją intensywna woń korzeni i poczuła, że wszystkie jej wnętrzności przewracają się na drugą stronę. Wstała z miejsca, zasłoniła usta dłonią i co sił w nogach pobiegła do klozetki.

Nie miała pojęcia, ile czasu tam spędziła, walcząc ze słabością, ale kiedy poczuła się lepiej, pomyślała, że za żadne skarby świata nie wróci do salonu. Ciotka zapewne nie wybaczy jej takiej gafy; odmienny stan był jedną z najbardziej intymnych spraw i obnoszenie się z nim nie należało do dobrego tonu.

Jednak ku jej zdumieniu Klara czekała na korytarzu i wyglądała na bardzo zmartwioną.

– Przepraszam – jęknęła Nina. – Nie mogę się tam pokazać. Taki wstyd.

– Nie musisz. Chodź – ciotka objęła się ramieniem – położysz się i odpoczniesz.

– A pani Amelia i pani Oktawia?

– Nie martw się, są tak zadowolone z nowiny, że wybaczą ci wszystko. – Klara uśmiechnęła się do niej znacząco, a ona, kładąc się posłusznie do łóżka, znowu zadała sobie pytanie, co takiego stało się z tą kobietą w noc aresztowania Zofii.

5.

– Bładź przekłeta! – Śledczy huknął pięścią w blat biurka.

Zofia drgnęła odruchowo i zacisnęła pięści; za nic nie chciała okazać strachu.

Tak, bała się, bo w tej chwili nic nie zależało od niej. Na dodatek nie miała do czynienia z kulturalnym oficerem wojsk liniowych, ale z kapitanem Sidorowem z Ochrony, cieszącym się wśród więźniów politycznych wątpliwą sławą służbisty i chama.

– Uparta jesteś – rzucił już spokojniej, zapalając papierosa, co oznaczało, że przez kilka minut nie będzie na nią wrzeszczał. – Ale w niczym ci to nie pomoże. Mamy tu kilka osób z tej twojej organizacji, które śpiewają jak słowiki. Wiem o tobie wszystko.

– W takim razie moje wyjaśnienia są zbędne.

– Udam, że tego nie słyszałem. – Uśmiechnął się krzywo, a potem zaciągnął się mocno i prosto w jej twarz wypuścił wielki kłęb dymu; nie zdołała opanować kaszlu. – Powiesz mi za to, kim są ludzie na tych zdjęciach i gdzie mam ich szukać. – Sięgnął do szuflady, a potem gestem doświadczonego karciarza rozłożył na biurku kilkanaście fotografii.

Zerknęła na nie ostrożnie, udając kompletny brak zainteresowania. I dobrze, że się pilnowała, bo natychmiast rozpoznała i miejsca, i osoby. Wiedziała też, kiedy wykonano te zdjęcia; na jednym z nich dostrzegła siebie, na szczęście stała tyłem do aparatu. Obraz był bardzo wyraźny – Ochrana miała świetnego fotografa.

– Nie mam pojęcia, co to za ludzie.

– Dokładnie się przyjrzałaś?

– Nie widziałam ich nigdy wcześniej.

– Łziesz jak suka! – krzyknął i zamachnął się tak, jakby zamierzał uderzyć ją w twarz.

Skuliła się instynktownie, ale cios, na szczęście, nie padł.

– Mówię prawdę.

Nie minęło nawet pół godziny, od kiedy ją tu przyprowadzono, a już miała dosyć tego gabinetu, rażących w oczy świateł, krzesła, na którym nie dało się usiedzieć prosto, a przede wszystkim Sidorowa. Dziesięć razy

bardziej wolałaby leżeć na twardej podłodze w celi i toczyć podjazdową wojnę z pluskwami.

– Od kiedy należysz do POW?

– Co to jest?

– To może opowiesz mi o Drużynach Strzeleckich?

– Jakich znowu Drużynach? – Nie spuszczała wzroku z kapitana, zastanawiając się nerwowo, w jaki sposób dokopał się do informacji z jej przeszłości.

– No zobacz sama. – Otworzył szufladę i wyciągnął z niej zeszyt oprawiony w szare płótno; rozpoznała swój stary notatnik, który jakimś sposobem zabłąkał się do pokoju Poli i Ninki. – Stoi tu jak wół – wskazał dolną część strony – składka na Drużyny Strzeleckie. Dwadzieścia koron.

– Ależ to pomyłka! Nie pamiętam, żebym płaciła na taki cel.

– A może to robota twoich siostrzyczek? – Sidorow uśmiechnął się wrednie. – Sprowadzimy je tutaj i zapytamy?

– Moje siostry to głuptasy – rzuciła lekceważąco. – Ktoś je pewnie naciągnął.

– Doprawdy? Tu mamy coś jeszcze ciekawszego. Bilety do Lublina.

– Ktoś musi dbać o rodzinę, a tam łatwiej o żywność niż w Warszawie.

– A nie o dynamit?

– Panie kapitanie – zaczęła poważnym tonem. – Jestem kobietą i panicznie boję się wszystkiego, co strzela i wybucha.

– Tak mnie wzruszyła twoja opowieść – rzucił szyderczo śledczy – że sprawdzę, co mi jeszcze zostało. – Wyjął z szuflady wymiętoloną kopertę zaadresowaną równym pismem. – Widzisz, dostaliśmy ostatnio ciekawą korespondencję. Chcesz posłuchać? Może wtedy przestaniesz łąć.

– Nie sędzę, żeby mnie to zainteresowało.

– Posłuchaj, posłuchaj – mruknął, a potem rozprostował kartkę i zaczął czytać: *Do Biura Oddziału ochrony porządku i bezpieczeństwa publicznego.*

W poczuciu obowiązku spieszę poinformować, że niejaka Zofia Keller, zamieszkała w Warszawie, ul. Sienna 5/7, należy do nielegalnej Polskiej Organizacji Wojskowej, z ramienia której zajmuje się szpiegostwem, rozpowszechnianiem zakazanych pism, a przede wszystkim przemytem broni. Taka groźna przestępczyni nie powinna pozostawać na wolności.

Lojalna poddana Jego Wysokości cara Mikołaja II – I co ty na to? – Sidorow odłożył pismo i przyjrzał się jej uważnie.

– To jakaś kompletna bzdura! – Wzburzenie Zofii było sincere.

Nie mieściło się jej w głowie, że ktoś na nią doniósł. Co gorsza, donosiciel zapewne znał ją bardzo dobrze. Nie musiała ani daleko szukać, ani długo się zastanawiać. Sabina. Że też była zdolna do takiej podłości... Osobiste porachunki i złość na rzekomą rywalkę okazały się dla niej ważniejsze niż dobro całej organizacji. Koniecznie trzeba zawiadomić o tym dowództwo.

– Mam zazdrosne koleżanki – rzuciła, kiedy zdołała się uspokoić. – Może któraś z nich posunęła się za daleko.

– A czego ci zazdroszą, słonko? – Sidorow wyszedł zza biurka, przysunął sobie krzesło i usiadł bardzo blisko niej. Tak blisko, że poczuła niepokój. Na szczęście jeszcze nie straciła zimnej krwi. Kokieteryjnym gestem, tyle razy podpatrywanym u Julii, odrzuciła do tyłu włosy i tonem sugerującym niezachwianą pewność siebie, oświadczyła: – Męskiego zainteresowania.

Kapitan przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, a potem wybuchnął śmiechem. Cóż, po trzech dniach spędzonych w Centralniaku musiała wyglądać koszmarnie i pachnieć jeszcze gorzej.

Rechot ucichł jak nożem uciął. Sidorow pochylił się, chwycił ją za brodę i siłą skłonił, żeby spojrzała mu w oczy. Instynktownie zacisnęła powieki, a wtedy nią potrząsnął – musiała na niego patrzeć.

– Nie pierdol mi o mężczyznach! – warknął. – Mów o POW!

– Nie wiem, co to jest – powtórzyła uparcie, a on odepchnął ją z taką siłą, że kulawy stółek, na którym siedziała, mocno się zakoleysał. Z trudem

utrzymała równowagę.

– Byłaś w Kijowie! Wiemy o tym.

– Nie zaprzeczę, byłam.

– Po co?

– U znajomych. Po jedzenie.

– Po jedzenie, mówisz... A to znaczy, że spekulujesz. I pewnie wiesz, co cię za to czeka.

Serce podeszło jej do gardła.

6.

– Kto to był?! – zawołała Adela.

– Jacenty, kierowca pana Richtera – odparła Nina, kiedy starannie zamknęła drzwi wejściowe i wróciła do salonu. – Przywiózł wiadomość. – Podała babci dużą białą kopertę, na której widniało jej imię i nazwisko.

Adela pospiesznie rozerwała papier i wyciągnęła list. Rozłożyła go, rzuciła okiem na treść, a w końcu oddała wnuczce: – Znowu gdzieś zostawiłam okulary... Czytaj.

Nina sama chciała jak najprędzej dowiedzieć się, jaki interes może mieć do nich pan Edmund – po cichu liczyła, że zdziałał coś w sprawie Zosi – więc wygładziła kartkę i zaczęła czytać na głos: *Szanowna Pani Adelo, proszę wybaczyć, że nie znalazłem czasu na złożenie Pani osobistej wizyty, ale wygląda na to, że nie dam rady dłużej zwlekać i muszę wykonać rozkaz ewakuacji fabryki. Byłem dziś w tej sprawie w biurze oberpolicmajstra i przy okazji dowiedziałem się, że ewakuacja waszej dawnej fabryki rozpocznie się jutro z samego rana. Maszyny i wszystko, co z niej pozostało, zostaną wywiezione do Samary i tam uruchomione na nowo. Myślę, że powinna Pani pojechać na Szmulki i sprawdzić, czy przy okazji wywózki nie da się ustalić tożsamości obecnego właściciela. Nie mogę Pani, niestety, towarzyszyć, ale o dziewiątej rano przyślę automobil z kierowcą. Jacenty zawiezie Panią na miejsce i będzie służył wszelką pomocą i opieką.*

Niestety, nie załatwiłem nic w sprawie panny Zofii. W obecnej sytuacji ani z Ochroną, ani z żandarmerią nie da się rozmawiać – wszyscy trzymają się rozkazów, jakby od tego zależało ich życie. Co prawda Witold wciąż próbuje wykorzystać własne kontakty, ale radziłbym nie nastawiać się na żaden cud.

*Z poważaniem
Edmund Richter*

– Pan Witold? – zdziwiła się ciotka Klara, która akurat wróciła z pracy. – Nie sądziłam, że będzie chciał ruszyć palcem w sprawie Zosi. I że ma w ogóle jakieś kontakty.

– Ten chłopak nie lubi rzucać słów na wiatr – oświadczyła babcia. – Zawsze uważałam, że to taki ścichapek. I że jeszcze nas zaskoczy. Szkoda, że Zosia go nie chciała, ale cóż, był za spokojny, a jej zawsze marzyli się rycerze w lśniących zbrojach. Niepotrzebne czytałam wam *Trylogię*, kiedy byliście małe.

– Jemu nadal zależy na Zosi – wtrąciła się do rozmowy Nina. – I chyba naprawdę coś wymyślił. Przynajmniej takie odniosłam wrażenie, kiedy zegnałam się z nim w szpitalu.

– A co z fabryką? – zapytała ciotka. – Pojedziemy tam?

– Oczywiście, moja droga. – Adela kiwnęła głową. – My obie i Pola. Nie przepuszczę okazji, żeby spojrzeć w oczy draniowi, który zamordował mi syna i okradł rodzinę.

– A ja? – zapytała nieśmiało Nina. – Też powinnam...

– Ty nie ruszysz się na krok z domu – rzuciła babcia tonem, który wykluczał wszelkie dyskusje. – Nie patrz tak na mnie. Chyba nie sądzisz, że pozwoliłabym ci się narażać.

– Ale przecież...

– Moja droga – odezwała się ciotka. – Sama wiesz, że to niebezpieczny człowiek. Różne rzeczy mogą się wydarzyć, a ty jesteś odpowiedzialna nie tylko za siebie.

Nina miała na tyle rozsądku, aby zdawać sobie sprawę i z niebezpieczeństwa, i z własnych powinności, ale uważała, że jej pomoc mogłaby się przydać.

– Nie patrz na mnie w ten sposób – oświadczyła babcia. – Nie pojedziesz i kropka! Gdybym ci pozwoliła na tę eskapadę, Amelia urwałaby mi głowę. A ja mam ochotę jeszcze trochę pożyć.

7.

Zgodnie z obietnicą pana Richtera samochód przyjechał punktualnie o dziewiątej. Niestety, droga na Szmulki zajęła im więcej czasu, niż się spodziewały – karawana najróżniejszych pojazdów pełzła mostem Kierbedzia w kierunku praskich dworców kolejowych z prędkością zaspanego żółwia. Wyładowane po brzegi automobile, dorożki, wozy i platformy wiozły głównie mienie należące do przeróżnych urzędów: wielkie skrzynie z dokumentami oraz piramidy mebli, wśród których były nawet podniszczone stoły biurowe i połamane stołki. Widać, że Rosjanie pakowali wszystko jak leci.

– Zupełnie jak rok temu – powiedziała Pola, nawet na chwilę nie przerywając obserwacji.

– Prawie – odparła ciotka. – Teraz uciekają w większym popłochu. Wiedzą, że nie wrócą.

– Jestem przeszczęśliwa, że dożyłam tej chwili – stwierdziła z satysfakcją Adela. – Daj Bóg, to dożyję i niepodległości. Nieważne, kto ją nam przyniesie.

„Brygadier Piłsudski” – pomyślała odruchowo jej wnuczka. Po ponad sześciu miesiącach działalności w POW nie żywiła co do tego żadnych wątpliwości, ale uznała, że lepiej będzie nie wspominać o tym głośno w obecności ciotki Klary.

Wreszcie auto przedarło się na drugą stronę Wisły. Przy wyjeździe z mostu Pola spostrzegła kilka znajomych twarzy: dziewczęta z oddziału wywiadowczego nadal wypełniały swoje zadanie i bacznie obserwowały mijające je transporty, udając grupkę zagadanych koleżanek.

Kiedy minęli dworzec petersburski, na drodze zrobiło się luźniej, więc Jacenty nieco przyspieszył, ale i tak dotarli do fabryki około jedenastej. Oby nie było za późno.

Nie mogły się oszukiwać, istniało ogromne prawdopodobieństwo, że ich wyprawa nie przyniesie efektów, bo skoro nowy właściciel nie ujawnił do tej pory swojej tożsamości, to nie zaryzykuje osobistego nadzoru nad ewakuacją zakładu. Chyba że wydarzy się cud.

Na polecenie babci kierowca zaparkował samochód jakieś sto sążni od bramy wjazdowej.

Wszystkie zgodnie uznały, że lepiej nie rzucać się od razu w oczy, nie wiadomo, kto mógł być w środku.

To, że ktoś był, nie ulegało dyskusji, ponieważ wrota otwarto na całą szerokość i właśnie wytaczała się z niej platforma ciągnięta przez dwa perszerony i po brzegi wyladowana szlifierkami. Ciotka z nieodgadnionym wyrazem twarzy patrzyła na uginający się pod ciężarem maszyn wóz.

– Idziemy? – zapytała wreszcie.

– Oczywiście. – Babcia ocknęła się z zadumy.

– Pan Richter polecił, żebym paniom towarzyszył – powiedział milcząco dotąd Jacenty.

Postura kierowcy budziła respekt i Pola nie wątpiła, że jest uzbrojony. Nagle pożałowała, że oddała „Milskiej” pistolet Zofii. Od biedy potrafiłaby go przecież użyć.

– Dobrze – zgodziła się Adela. – Choć nie sądzę, żeby coś nam groziło.

– Nie byłabym tego taka pewna – mruknęła Klara. – Ta sprawa kosztowała kilka trupów.

Pola dyskretnie rozglądała się dookoła. Ostatni raz była w fabryce jakiś miesiąc przed samobójstwem ojca i wtedy pulsowało tam życie, a

produkcja szła pełną parą. Obecnie zakład wyglądał na opuszczony i zaniedbany – mimo że kręcili się tu ludzie.

– Gdyby August zobaczył tę dewastację, pękłoby mu serce – westchnęła babcia, która najwyraźniej doszła do takich samych wniosków.

Dotarły do bramy w momencie, gdy wyjeżdżała z niej kolejna platforma. Stały więc i patrzyły, jak prawie nowe maszyny, w które Maksymilian Keller włożył ciężkie pieniądze, jadą nie wiadomo dokąd.

– Skąd panie się tu wzięły?

Wszystkie trzy odwróciły się jak na komendę. Komisarz Górski? Pola w pierwszej chwili nie poznała go, ponieważ miał na sobie cywilne ubranie.

– A pan? – Babcia nie dała zbić się z tropu.

– Wyjaśnię. – Niespokojnym spojrzeniem omiółł bramę fabryki. – Chodźmy stąd.

– Nie pójdziemy – oznajmiła stanowczo Adela – zanim nie dowiemy się, kto jest właścicielem fabryki. Po to przyjechałyśmy.

– Nie ma go – odparł policjant. – Proszę wrócić do auta.

– Ależ, panie komisarzu – zaczęła ciotka, ale zaraz umilkła, bo od strony zakładu szedł w ich kierunku elegancki jegomość w średnim wieku, wyprostowany niczym struna. Ani chybi prawnik albo plenipotent. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn, których najmłodsza Kellerówna wolałaby nie spotkać nocą w ciemnej uliczce.

– Co państwo tu robią? – zapytał jegomość, kiedy tylko znalazł się obok nich. – To prywatny teren.

– Pan żartuje – babcia zmrużyła oczy – albo coś mnie ominęło. Nie wiedziałam, że ktoś kupił całą Kawęczyńską. Adela Kell...

– Wiem, kim pani jest – przerwał jej niegrzecznie elegant. – I dlatego radzę, aby pani oraz reszta towarzystwa oddaliła się stąd jak najszybciej.

Towarzyszący mu mężczyźni zhardzieli, a jeden z nich wykonał taki gest, jakby zamierzał sięgnąć po broń. Kątem oka Pola dostrzegła, że Jacenty przysunął się bliżej nich. Komisarz zaś z pozornym spokojem czekał na dalszy rozwój wypadków.

– Jakim prawem chce pan nas stąd wyrzucić? – Klara nie zamierzała dłużej kryć irytacji.

– To prywatny teren – powtórzył jegomość.

– Czy właściciel jest obecny? – Adela nie zwróciła na to uwagi. – Winszowałabym sobie zamienić z nim kilka słów.

– Proszę się stąd zabierać! Pókim dobry.

– A może grzeczniej – odezwał się wreszcie Górski. – Rozmawia pan z damami.

– Byle chłystek nie będzie mnie uczył kultury. – Mężczyzna nabzdyczył się niczym rozzłoszczony indor.

– Zapomniałem się przedstawić... Komisarz Górski, policja śledcza.

Nagle, nie wiadomo skąd, na ulicy pojawiło się czterech umundurowanych policjantów.

Nieznajomy natychmiast spokorniał.

– Mecenas Lorenc, adwokat – powiedział. – Czym mogę panu służyć?

– Pani Kellerowa pytała o właściciela fabryki.

– Właściciel nie planuje tu przyjeżdżać.

– A gdzie możemy go znaleźć? – zapytała ciotka.

Lorenc zmrużył powieki i oświadczył: – Nie jestem upoważniony do udzielania informacji. A teraz – spojrzał wyzywająco na komisarza – pozwolą państwo, że się pożegnám. – Nie czekając na odpowiedź, skinął na towarzyszy i zawrócił w stronę fabrycznej bramy.

– Co za oślizgły typ – mruknęła babcia, śledząc go wzrokiem. – Myśli pan, że naprawdę właściciel się nie pojawił?

– Nie po to chował się w cieniu przez kilkanaście miesięcy, żeby teraz wychodzić na słońce – odparł policjant. – Ale widzę, że musimy o nim porozmawiać.

– Wie pan, kto to jest? – Pola nie wytrzymała przedłużającej się niepewności.

– Wiem.

– Kto...

– Nie będziemy rozmawiać o nim tutaj. Proszę zawieźć panie do urzędu śledczego na Daniłowiczowską – zwrócił się Górski do Jacentego. – Ja i moi ludzie pojedziemy za wami. Spotkamy się na miejscu.

Babcia, ciotka i Pola popatrzyły po sobie – sprawa naprawdę ruszyła do przodu.

8.

W stronę Warszawy jechało się na szczęście szybciej i sprawniej, więc na Daniłowiczowską dotarły w ciągu niespełna godziny. Komisarz Górski pojawił się zaledwie kilka minut po nich.

– Proszę panie ze mną – powiedział, gestem wskazując drzwi do budynku.

– Może pan nas tu zostawić. – Adela zwróciła się do szofera. – Proszę podziękować panu Richterowi.

– Szef mi nakazał zawieźć panie do fabryki, a potem odwieźć pod sam dom – odparł Jacenty. – Zaczekam.

Weszli do niewielkiego holu, a tam komisarz zamienił kilka słów ze strażnikiem. Następnie polecił paniom wpisać swoje dane do wielkiego liniowanego kajetu. Ciotka spojrzała na Polę z wahaniem; niewątpliwie dotarło do niej, że Urząd Śledczy to nie miejsce dla niewinnej panienki, i szukała pretekstu, aby nakazać bratanicy opuszczenie jego murów. Babcia miała jednak inne zdanie na ten temat.

– Dziecko, pospiesz się – powiedziała, przekazując jej stalówkę. – Nie zamierzam sterczeć tu do jutra.

Pola – która prędeziej umarłaby, niż odpuściła sobie rozmowę z komisarzem – sprawnie i bez kleksów wypełniła wymagane rubryki i złożyła podpis.

– Możemy iść. – Babcia wzięła ją pod ramię.

Górski poprowadził je w głąb budynku. Kellerówna, która nie miała jeszcze okazji odwiedzić nawet policyjnego cyrkułu, z ciekawością rozglądała się po wąskich korytarzach i niepewnie zerkała na mijających je policjantów. Cóż, widok stróżów prawa napawał ją pewnym lękiem – przez ostatnie miesiące uczyła się, jak skutecznie ich unikać, a tymczasem zawędrowała do samego gniazda os.

Znalazły się wreszcie w ciasnym gabinecie zastawionym szafami pozamykanymi na wielkie kłódki. Komisarz szybko znalazł kilka wolnych krzeseł.

– Zechcą panie spocząć.

Ledwo zajęły miejsca, a do pokoju wpadł młody policjant, który na ich widok trochę się zmieszał, ale zaraz oprzytomniał i rzucił służbiście: – Panie komisarzu, radca Woronin prosi do siebie.

– Proszę o jeszcze chwilę cierpliwości. – Górski rozłożył bezradnie ręce. Z rozkazami przełożonych nigdy się nie dyskutuje.

– Oczywiście – rzekła babcia spokojnym tonem, choć widać było, że siedzi niczym na szpilkach.

– Zaraz dostanę apopleksji – oświadczyła ciotka, kiedy policjanci wyszli na korytarz.

– Wstrzymaj się, moja droga, bo niczego się nie dowiesz.

Na szczęście nie musiały długo czekać. Komisarz wrócił już po kilku minutach, a chwilę po nim w gabinecie pojawił się wysoki mężczyzna; niewątpliwie ktoś ważny.

– Dzień dobry. – Urzędnik przywitał się z nimi uprzejmie. – Tajny radca Woronin. Komisarz poinformował mnie, że przyszły panie do nas osobiście. Skorzystam więc z okazji i omówię kilka kwestii.

A więc to był człowiek, który na życzenie pani Amelii próbował ratować Zosię...

– Bardzo nas to cieszy – oświadczyła babcia, jednocześnie obrzucając radcę spojrzeniem pełnym aprobaty.

Mimo powagi sytuacji Pola z trudem powstrzymała śmiech, przez głowę przemknęła jej bowiem myśl, że Adela, nawet leżąc na łożu śmierci, nie przestanie oglądać się za przystojnymi mężczyznami. Woronin miał już swoje lata – na pewno był starszy od Richtera i ich ojca – poza tym siwiał i trochę łysiał, ale miał nader przyjemną powierzchowność i pogodne spojrzenie. Do tego trzymał się prosto, poruszał energicznie i choć niewątpliwie był Rosjaninem, mówił po polsku bez cienia akcentu.

– Dziękujemy panu za zainteresowanie sprawą mojej bratanicy – powiedziała ciotka, udając, że osoba urzędnika wcale jej nie interesuje.

– Przykro mi, że nie zdołałem jej pomóc, ale na Ochronę nie tylko ja, ale nawet mój przełożony nie ma odpowiednich argumentów. Oczywiście z przekazaniem kolejnych paczek nie będzie najmniejszego problemu.

– Przynajmniej tyle – westchnęła Adela. – Może jednak pozostałe kwestie uda się doprowadzić do końca. Skoro zajęła się nimi taka wysoka instancja. – Spojrzała na Woronina tak figlarnie, że wstrząśnięta jej zachowaniem Pola o mało nie spadła z krzesła.

– Wiem, że działamy wolniej i mniej sprawnie niż przed wojną, ale zaręczam, że nie odkładamy niczego ad acta. A ja... no cóż. – Radca nieoczekiwanie uśmiechnął się do starszej damy. – Pani Amelia bywa przekonująca. Wcześniej nie życzyła sobie mojej pomocy, więc kiedy zatelefonowała, poczułem się tak zaintrygowany, że przestudiowałem wszystkie raporty. No dobrze – zwrócił się do Górskiego – nie trzymajmy pań dłużej w niepewności. Proszę zaczynać, komisarzu.

– Do kogo należy nasza fabryka? – zapytała babcia, zanim policjant zdążył otworzyć usta.

– Do Fryderyka Dresslera.

– Co takiego?! – Adela zerwała się z miejsca, a ciotka o mało nie zemdląła. Pola zaś poczuła się tak, jakby ktoś mocno uderzył ją w głowę.

– Skąd... skąd panowie wiecie? – wyjąkała Klara.

– Proszę sobie imaginować, od Jerzego Szustra – odparł Woronin i uprzedzając następne pytanie, wyjaśnił: – Jerzy od kilku miesięcy przebywa

z rodziną w Moskwie i pracuje w miejscowym sądzie. Ostatnio zwieziono tam mnóstwo dokumentów z Warszawy. A że Jerzy jest znany ze swego uporu, postarał się o dostęp do tych papierów i znalazł w nich kilka przydatnych informacji. Między innymi taką, że pan Dressler, jako jedyny wierzyciel Maksymiliana Kellera, przejął wszystkie jego nieruchomości.

– Mój syn pożyczał pieniądze od Dresslera? Nie wierzę.

– Wszystko na to wskazuje – powiedział Górski. – Musiały to być wielkie sumy, skoro stracił cały majątek.

– Ale na co były mu potrzebne te pieniądze?

– Tego, niestety, nie udało nam się ustalić. Przynajmniej na razie.

– Czy Dressler odpowiada za włamania do naszych mieszkań i śmierć Katarzyny? – zapytała Klara.

– Tego też nie możemy stwierdzić jednoznacznie.

– Przejął nasze domy i fabrykę i czegoś w nich szukał. Nie znalazł, więc pomyślał, że ciągle jest to w naszym posiadaniu – powiedziała Adela. – Nikt inny nie miał interesu, żeby nasyłać na nas zbirów.

– Rzeczywiście, to logiczne wnioski – wtrącił Woronin. – Natomiast nie mamy dowodów, że Fryderyk Dressler zrobił cokolwiek wbrew prawu. Nie mamy też świadków. Mordercy tej dziewczyny, która u pań pracowała, przeżyli ją ledwo o kilka dni. Kolejnego włamywacza zabił porucznik Woyda. A ten łobuz, który stał wtedy na czatach, przepadł jak kamień w wodę... Nasi niemieccy następcy zapewne wyłowią go z Wisły. Mecenas Finkiel ponoć strzelił sobie w głowę.

– Wcale nie „ponoć” – zaoponował Górski. – Doktor Warliński w takich sprawach nigdy się nie mylił.

– Doktor Warliński powiedział, że na dziewięćdziesiąt pięć procent sam strzelił sobie w głowę – przypomniał mu natychmiast przełożony. – Zawsze pozostaje margines błędu.

– Zaraz, zaraz! – zawołała babcia. – Czy Henryk Finkiel miał coś wspólnego z Dresslerem?

– Pracował dla niego.

– Wiedziała! Od zawsze wiedziała, że temu draniowi nie można ufać.

– Mecenas miał duże potrzeby, ponieważ... – zaczął znowu komisarz.

– Uprawiał hazard i przegrywał. – Adela była wściekła. – Gdyby żył, wyrwałabym mu głowę razem z kręgosłupem!

– Mamy więc podejrzanego – westchnęła Klara. – Ale nic z tego nie wynika. Co teraz robić? – Spojrzała z nadzieją na radcę.

– Należy z nim porozmawiać! Zaraz do niego pojedziemy i wezmę go w obroty.

– Rozmawiałem już z Dresslerem – rzucił Górski. – Przyznał, że rzeczywiście pożyczał panu Kellerowi duże sumy pod zastaw nieruchomości. Twierdził, że nie pytał, na co potrzebne są te pieniądze. Kiedy nadeszła pora zwrotu, dłużnik nie miał z czego zapłacić, więc wierzyciel podał go do sądu i zabrał, co mu się należało. Aha, zaprzeczył, że miał jakikolwiek związek z włamaniami.

– Przed ostatnim napadem odwiedziła nas jego córka. – Pola poczuła, że musi poinformować policjantów o tym, co właśnie sobie przypomniała i co nieoczekiwanie nabrało znaczenia. – Myszkowała po mieszkaniu. Może coś wypatrzyła.

– A rzeczywiście, była u nas – mruknęła Adela. – Trzeba jeszcze raz porozmawiać z obojgiem.

– Niestety, pan Dressler i jego córka wczoraj wyjechali do Moskwy.

– Do Moskwy? Prosto w objęcia sędziego Szustra?

– A jakże – potwierdził radca Woronin. – Jerzy chętnie nawiąże z nimi bliższą znajomość.

– Ale co nam z tego przyjdzie – zauważyła ciotka – skoro zaraz będą tu Niemcy?

– Jeśli będę wiedziała, co zaszło, znajdę sposób, żeby dobrać się im do skóry – oświadczyła babcia.

– Gdybym nie musiał zamknąć tego interesu – zaczął Woronin żartobliwym tonem, choć widać było, że wcale nie jest mu wesoło – zaraz

bym panią zatrudnił.

Rozmowa dobiegła końca, więc radca pożegnał się uprzejmie, a komisarz odprowadził je do wyjścia.

– Muszę odetchnąć – rzuciła babcia, kiedy już znalazły się na zewnątrz. – Ten Dressler...

Zawsze źle mu patrzyło z oczu. I w co wciągnął mojego syna?! Dowiem się, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu! – Uchwyciła się ramienia wnuczki.

– Może chciał pozbyć się konkurenta – powiedziała Pola, której nie mieściło się w głowie, że ojciec Sabiny mógł być zdolny do tak podłych działań. – Pan Richter ponoć podejrzewał, że może być następny. Ninka kiedyś wspominała.

– Szkoda, że radca Woronin nie będzie dłużej rządził w policji – rzuciła Adela. – Coś czuję, że on dałby radę dokopać się do prawdy. Ciekawe, skąd Amelia tak dobrze go zna.

– Pamięta mama jej najstarszą córkę? – zapytała Klara ze znaczącym uśmiechem.

– Leontynę? A jakże, pamiętam doskonale. Zaraz, zaraz... To *ten*?!

– Tak. – Klara kiwnęła głową. – To ten.

– W takim razie wcale się jej nie dziwię. To musiał być za młodu chłopak jak malowanie.

– Ależ proszę mamy! – jęknęła zgorszona ciotka, a Pola dałaby wiele, aby poznać kontekst i sens tej tajemniczej konwersacji. Wiedziała jednak, że żadna z opiekunek nie zechce jej tego wytłumaczyć, bo sprawa miała chyba posmak skandalu.

Szofer, który cierpliwie czekał przed urzędem, otworzył im drzwi auta, a potem włączył silnik i ruszył w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Patrząc na mijane budynki, Kellerówna znowu zadawała sobie pytanie, na które nikt wciąż nie potrafił znaleźć odpowiedzi – czego właściwie chciał od nich Dressler?

ROZDZIAŁ XI

I.

Dworzec petersburski był obstawiony przez żandarmów tak ściśle, że nie przemknęłaby się nawet mysz. Nie było więc mowy, aby choć przelotnie pożegnać Zosię; Pola, która była najwyższa w rodzinie, tylko przez chwilę widziała siostrę wsiadającą do wagonu trzeciej klasy.

O tym, że najstarsza Kellerówna zostanie wywieziona do Rosji, jej babka, ciotka i siostry dowiedziały się zaledwie dzień wcześniej i tylko dzięki więziennym kontaktom radcy Woronina.

Zapomniały natychmiast o Dresslerze i zaczęły w pośpiechu pakować najpotrzebniejsze rzeczy, które miały zostać dostarczone do Centralniaka.

Niestety, nie udało się załatwić widzenia, więc jedyne, co mogły zrobić, to przyjść na stację i liczyć na łut szczęścia. Zabrakło go, ponieważ wszędzie – na peronach, w przejściach i w poczekalniach – panował nieznośny tłok, spowodowany trwającą nadal ewakuacją.

Ciotka nieustannie ocierała łzy, babcia nie odzywała się słowem, a bladziutka Nina mocno zagryzała wargi, aby nie wybuchnąć płaczem. Zapewne czuła to samo, co Pola – że ktoś żywcem wyrwał jej kawał serca.

Boże kochany, jeszcze trzy miesiące temu były razem, we cztery. Najmłodsza Kellerówna nie kryła, że siostry czasami ją irytowały, a ich pomysły przyprawiały o migrenę, ale kochała wszystkie bez wyjątku i nawet do głowy jej nie przyszło, że mogłaby je stracić. A teraz...? Nie miała pojęcia, co dzieje się z Julią, a Zosia jechała gdzieś hen, daleko, na poniewierkę i nie wiadomo, czy kiedykolwiek wróci do domu.

Ona zaś nie mogła nic zrobić, aby temu zapobiec. Wciąż lękała się, że zaraz wydarzy się coś niespodziewanego i żandarmi będą musieli wypuścić aresztowanych; byłaby szczęśliwa nawet na widok uzbrojonych Niemców.

Niestety, nic się nie stało. Lokomotywa gwizdnęła przeciągle i pociąg – ledwo widoczny zza wielkich kłębow pary – ruszył na wschód. Pola śledziła go wzrokiem, a kiedy zniknął w oddali, nie wytrzymała i rozplakała się jak dziecko. Nina, która też przestała nad sobą panować, bez słowa ją przytuliła. Stały tak, mocno objęte, przez kilka minut, pochlipując i modląc się o cud.

„Niech ten pociąg zawróci. Niech zawróci” – powtarzała w myślach Pola. Odsunęła się niechętnie od siostry i chusteczką wytarła oczy, a potem nos. Powiodła wzrokiem po kłębiącym się przy wejściu na peron tłumie i nagle wydało się jej, że dostrzega znajomą twarz. „Gryf”?! Zamrugła i jeszcze raz popatrzyła w to samo miejsce. Nie było go tam, pewnie tylko jej się zdawało.

Ktoś wpadł na nią tak niefortunnie, że z trudem zachowała równowagę. Przepchnęła się do krawędzi peronu, a potem stanęła na palcach i rozejrzała wokoło w poszukiwaniu towarzyszek, które nagle zniknęły jej z oczu. Zaczęła przebijać się przez zwartą ciżbę. Nie było ich nigdzie. Możliwe, że już wydostały się na zewnątrz. Właściwie, nie musiały na nią czekać, bo i tak wybierała się do pracy.

Na sąsiednim peronie stał długi pociąg oznaczony symbolami Czerwonego Krzyża, wokół którego kręcili się lekarze w białych fartuchach i liczne pielęgniarki, a wśród nich siostry szarytki. Trwała ewakuacja rannych żołnierzy.

– Panno Polu! Dzień dobry!

Odwróciła się natychmiast, gdyż ten głos rozpoznałaby wszędzie. Stał przed nią Witold Tarłowski. Mizerny i wymęczony. Jego lewe oko przesłaniał opatrunek, a na twarzy, szyi i dłoniach widniały wyraźne ślady po oparzeniach chlorem. Wyglądały przerażająco, a przecież Nina mówiła,

że Witold i tak miał ogromne szczęście. Wolą nie wyobrażać sobie, co działo się z tymi, którym go zabrakło.

– Dzień dobry. – Wyciągnęła do niego rękę. – Wyjeżdża pan? Nina coś wspominała, ale myślałam, że wuj zapewni panu opiekę na miejscu.

– Wolę jechać do Piotrogradu niż iść do niewoli – odparł, ściskając jej dłoń. – Od tego nawet wuj nie zdołałby mnie wyratować. A co pani tu robi?

– Właśnie wywieźli Zosię. Też do Piotrogradu.

– Co takiego?! – zapytał głucho, a potem zacisnął zęby, jakby bał się, że wyrwie mu się jakieś nieparlamentarne słowo. – Zabrakło dwóch dni – dodał dopiero po chwili.

Widząc jego zdenerwowanie, Pola zrozumiała, że nigdy, przenigdy, nie zdobędzie jego wzajemności. Dla Witolda Tarłowskiego na tym świecie istniała tylko jedna kobieta. Powinna była zauważyć to już dawno temu i przestać snuć mrzonki.

– Skoro pojechała do Piotrogradu... – Witold zastanawiał się półgłosem. – A gdyby tak...

Panno Polu. – Spojrzał na nią bacznie. – Czy mogę prosić panią o pomoc? Nie wiem, czy wuj zdąży przyjść, a chyba wiem, jak nie dopuścić, żeby wywieźli ją w głąb Rosji. I żeby odzyskała wolność.

– Panie poruczniku. – Korpulentna zakonnica w średnim wieku zatrzymała się obok nich i spoglądała karcąco na Tarłowskiego. – Mówiłam, że ma pan iść z siostrą Wierą do doktora Kowalenki. A ona mi przyleciała ze skargą, że pan uciekł. Co to za porządki?

– Przepraszam siostrę najmocniej, ale spotkałem znajomą.

– Widzę – rzuciła zakonnica z przekąsem. – Interesujące, że wszędzie ma pan znajome.

– To panna Apolonia, siostra pani Niny.

– Naszej Niny Woydy? – Upewniła się, patrząc na nią ciut przychylniejszym okiem. – A wcale panna niepodobna... No, może odrobinę. Jak nie możecie się nagadać, to proszę zaprowadzić tego huncwota do pociągu. Inaczej ordynator dostanie szału, że nie może się

doliczyć rannych. – Pogroziła Tarłowskiemu palcem i zawróciła w kierunku budynku dworca.

– Oczywiście – odparła pospiesznie, choć zakonnica nie mogła już jej usłyszeć. – Weźmie mnie pan pod rękę? – Spojrzała na Witolda.

– Dam radę sam, tylko wolno... Nie mam siły, za długo leżałem – wyjaśnił. – A jak doktor już mnie policzy, wyjaśnię pani co i jak.

Szli bardzo wolno, noga za nogą, a Poli krajało się serce, kiedy widziała, ile wysiłku kosztuje Witolda ta wędrówka. Wreszcie dotarli do celu i zameldowali się u energicznego lekarza w średnim wieku.

– Porucznik Tarłowski... – Lekarz najpierw spojrzał w papiery, a potem coś w nich odnotował. – Czwarty wagon, łóżko numer trzy. Wynajął pan na drogę prywatną pielęgniarkę? Nie ma mowy, nie może jechać.

– To znajoma, tylko mnie odprowadza. Może jeszcze zostać?

– Tylko parę minut.

– Mamy dwie godziny do odjazdu.

– Poruczniku, proszę nie dyskutować i nie robić większego zamieszania, niż to konieczne.

Czwarty wagon stał nieopodal centrum dowodzenia, więc Tarłowski nie musiał już się męczyć. Wbrew temu, co powiedział lekarz, wszędzie było raczej spokojnie. Większość miejsc była pusta; zapewne czekały na ciężej rannych, którzy mieli być przywiezieni do pociągu na krótko przed odjazdem.

Witold ciężko usiadł na łóżku, które wskazała mu nadzorująca wagon pielęgniarka, a Pola przycupnęła obok niego. Z jednej strony niepokoiła się, bo nie wiedziała, co takiego wymyślił, ale z drugiej strony przecież mu ufała – jeśli powiedział, że Zofia może uniknąć zesłania do jakiejś dziury, to tak musiało być. Babcia mawiała, że Tarłowski nie rzuca słów na wiatr, i była to święta prawda.

– Panno Polu, bardzo proszę, aby zaraz pojechała pani na pocztę i nadała depeszę do Piotrogradu.

– Oczywiście.

– Potrzebuję papieru. – Rozejrzał się dookoła; wagon został porządnie wysprzątany, więc nigdzie nie wały się żadne zbędne kartki.

– Mam gazetę. – Sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej najnowszy numer „Kuriera Warszawskiego” zakupiony w drodze na dworzec.

– Doskonale. – Wydłubał z kieszeni ołówek.

Przez jakiś czas pisał w skupieniu na marginesie „Kuriera”, analizując każde słowo.

Wreszcie skończył i uważnie przeczytał całość.

– Proszę, niech pani sprawdzi, czy wszystko jest zrozumiałe.

Wzięła gazetę i zerknęła na wypisane cyrylicą słowa. Adresatem depeszy był niejaki pułkownik Paweł Pawłowicz Dubinin, a tekst brzmiał: *Dziś z Warszawy wyjechał transport aresztantów. Jest w nim Zofia Keller. To moja narzeczona. Aresztowana przez pomyłkę. Proszę o pomoc i opiekę. Jestem w drodze z Czerwonym Krzyżem.*

Tarłowski

Przeczytała wszystko bez najmniejszego problemu. Tylko to jedno słowo... „Narzeczona”. Zabolało niczym ukłucie igłą w już i tak poranione serce.

– To mój znajomy – wyjaśnił Witold. – Bardzo wpływowy człowiek. Mam tylko nadzieję, że panna Zofia nie przyznała się do niczego nielegalnego.

– Zosia? Nigdy w życiu.

– W takim razie powinno się udać.

Nie zamierzał nic wyjaśniać, więc Pola starannie złożyła gazetę i schowała ją z powrotem do torebki. Chętnie zostałaaby z nim jeszcze trochę, ale nie miała pretekstu. Chciała też jak najszybciej wysłać telegram.

– Dam pani pieniądze. – Witold sięgnął do kieszeni gimnastiorki.

– Nie trzeba. – Powstrzymała go gestem. – Mam swoje, a panu przydadzą się na drogę.

Niech Bóg ma pana w opiece.

Bez słowa pocałował ją w rękę, a ona przygryzła wargę, aby znowu się nie rozplakać.

Nad nim. Nad siostrą. I nad własnymi nadziejami, które musiała pożegnać raz na zawsze.

2.

– Jak się czujesz, moja droga? – zapytała pani Amelia, patrząc na nią z troską. Od kiedy dowiedziała się, że zostanie cioteczną prababką, zrobiła się wręcz ujmująco miła.

– Wciąż nie mam apetytu – odparła Nina z zawstydzeniem. Rozmowy na temat stanu odmiennego krępowały ją i najchętniej wolałaby ich unikać. Żałowała szczerze, że nie udało się utrzymać wszystkiego w tajemnicy.

– Kiedy ja spodziewałam się dziecka – wtrąciła Burzyńska – prawie nic nie jadłam przez dziewięć miesięcy. Rączki miałam takie chudziutkie, jak patyczki. – Spojrzała na swoje upięścienione dłonie, których za nic w świecie nie dałoby się nazwać smukłymi. – I syn przyszedł na świat bez problemu.

– Tak, ale po urodzeniu ledwo go odratowali – przypomniała jej Osnowska.

– Ty nie żałowałaś sobie niczego, a wszystkie dzieci wyszły nieudane – odparła pani Oktawia tak zbolalym głosem, że trudno byłoby zarzucić jej złośliwość.

Pani Amelia nie miała jednak złudzeń co do prawdziwych intencji siostry, więc posłała jej karcące spojrzenie, a następnie oświadczyła stanowczym tonem: – Nasz prawnuczek będzie zdrowy i udany. Sama tego dopilnuję.

Ninę zaniepokoiło to dictum, ale babcia Adela uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo; nie było wątpliwości, że w razie potrzeby zdoła sobie poradzić z jedną i drugą damą.

– O tym właśnie chciałam z wami porozmawiać – kontynuowała Osnowska. – Uważam, że Janina musi koniecznie pojechać z nami na wieś. Wracamy tam pojutrze, bo w Warszawie nie da się wytrzymać, a mój mąż twierdzi, że nasze okolice są zupełnie bezpieczne i nikt nie będzie się tam bił.

– Doskonały pomysł. – Pani Oktawia zapomniała o dąsach i poparła siostrę. – Na wsi, moje dziecko, wypoczniesz za wszystkie czasy. Ja też się wybieram z Amelią, to się tobą zajmę.

Poza tym nie wypada, żebyś obnosiła się po mieście z odmiennym stanem.

– Rozumiem – upewniła się pani Amelia – że jesteście umówione?

Nina miała wrażenie, że zapędzono ją w kozi róg. Nie umiała być stanowcza wobec babek męża, które przytłaczały ją swoimi osobowościami. Sama myśl, że mogłaby spędzić z nimi kilka kolejnych miesięcy, wzbudzała w niej panikę.

– Moja bratanica nigdzie nie pojedzie. – Ciotka Klara nieoczekiwanie przysłała jej w sukurs. – W domu ma wszystko, co trzeba, i najlepszych lekarzy na zawołanie. Spacerować może po Łazienkach albo po Ogrodzie Saskim.

– Ale tu zaraz będą Niemcy! – jęknęła histerycznie Oktawia.

– Niemcy zaraz będą wszędzie. – Klara natychmiast sprowadziła ją na ziemię. – Wezmą Warszawę i pójdą dalej. Oczywiście zdają sobie sprawę, że na wsi jest zdrowsze powietrze, ale Ninka bardziej od powietrza potrzebuje spokoju.

– Sugerujesz, że w moim domu czekają ją jakieś nieprzyjemności? Jak możesz nawet tak myśleć? – Amelia nie kryła oburzenia.

– Ależ nic nie sugeruję – odparła ciotka. – Uważam tylko, że skoro wszędzie będą Niemcy, Nina powinna zostać w znanym sobie miejscu i

pod opieką kochających ludzi, którzy będą martwić się o nią, a nie wyłącznie o dziecko.

Osnowska pobladła i już otworzyła usta, aby wyrazić własną opinię, ale uprzedziła ją babcia.

– Moja droga, nie bierz tego do siebie – zaczęła uprzejmym acz stanowczym tonem – bo to wyłącznie nasza rodzinna sprawa. Już dwie moje wnuczki wyjechały z miasta i nie wiem, czy kiedyś znowu je zobaczę. Dlatego trzecia opuści ten dom tylko po moim trupie!

Gdyby nie obecność gości, Nina natychmiast rzuciłaby się Adeli na szyję.

3.

Wciśnięta między okienną ramę a plecy jednej z towarzyszek niedoli wsłuchiwała się w monotony stukot kół pociągu, który pruł przez niezmierzone połacie Rosji, z każdą wiorstą przybliżając się do stacji przeznaczenia, czyli Piotrogradu. Za oknem obrazy zmieniały się niczym w kalejdoskopie – wsie, pola, zielone lasy, miasteczka. Znowu wsie.

W wagonie trzeciej klasy stłoczono kilkadziesiąt kobiet w różnym wieku i różnego stanu, ale mimo to panowała w nim cisza, tylko od czasu do czasu przerywana chrapaniem, pokasywaniem i nerwowymi szeptami.

Zofia poruszyła się i jęknęła. Po wielu godzinach podróży bolały ją kości i zdrętwiałe mięśnie; spróbowała je rozmasować. Była też śmiertelnie zmęczona, bo w ciasnocie i niewygodzie nie dało się spać, co najwyżej drzemać.

Natrętne myśli nie opuszczały jej za to nawet na chwilę. Dokąd ją wywiozą? Za Ural? Aż na Syberię? Czy będzie tam tkwić w jakimś areszcie, czy w obozie dla jeńców? A może choć częściowo odzyska wolność? Kiedy wróci do domu? Czy w ogóle wróci? Czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy rodzinę?

Tyle dobrego, że Poli nic się nie stało; Zofia wiedziała, że nigdy nie zapomni ogromnego uczucia ulgi, jakiego doznała, kiedy wśród troskliwie zapakowanych przez rodzinę rzeczy na drogę, znalazła list pisany ręką najmłodszej siostry.

A Janek? Co z Jankiem? Nie mogła wybaczyć sobie, że nie zdążyła pogodzić się z nim po ostatniej scysji. I jeszcze Sabina... Co też sobie ubzduriała w tej pustej głowie?

A może aresztowanie i wywózka to kara za to, że zastrzeliła człowieka? Przecież tak okropny postępek nikomu nie powinien ujsć na sucho.

Chciała zapomnieć o wszystkich nieszczęściach. Mocno zacisnęła powieki i oparła skroń o ścianę. Zaczęła myśleć o rodzicach, o siostrach, uparcie czepiając się tylko dobrych wspomnień. Wreszcie, nieco uspokojona, zapadła w ciężki półsen.

Nie wiedziała, ile czasu przespała, ale otworzyła oczy dopiero, kiedy pociąg zaczął hamować. Wreszcie stanął.

– Czy to już? – zapytała.

– Tak, dojechałyśmy – odparła Marysia, młoda dziewczyna, z którą Zofia zawarła znajomość tuż po tym, jak ruszyły w drogę. – Dworzec Warszawski w Piotrogradzie.

A więc miała za sobą pierwszy etap podróży wiodącej w nieznane.

Ktoś szarpnął drzwi, a kiedy stanęły otworem, do wnętrza wpadło rześkie poranne powietrze i różne dworcowe dźwięki. A także słowa głośnych komend. Wojsko albo żandarmeria.

– Wsiadka! – wrzasnął zażywny konwojent, który właśnie zajrzał do wagonu. – Szybko!

Zofia spróbowała się podnieść. Bez skutku.

– Pospiesz się – ponagliła ją Marysia, pomagając wstać. – Zaraz któryś tu wlezie z karabinem.

Wagon stopniowo pustoszał; aresztantki kolejno wyskakiwały na peron, gdzie strażnicy ustawiali je w równą kolumnę. Także ona, ściskając podróżną torbę, wreszcie dotarła do wyjścia.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, mocno odetchnęła i stanęła w drugim rzędzie, na miejscu wskazanym przez konwojenta. Zauważyła, że z sąsiednich wagonów wysiadały same kobiety, mężczyzn wieziono chyba na końcu składu.

Kolumna stawała się coraz dłuższa, tłum gęstniał. Przez dworcowy dach wykonany z metalu i szkła przebijały się promienie słońca, a padające na peron cienie układały się we wzory krat.

Przez chwilę Zofię kusilo, aby wykorzystać zamieszanie i uciec. Niestety, szybko by ją złapali, bo nie знаła tego miasta. Rodzice zabierali ją i młodsze dziewczęta do Paryża, Rzymu i Wiednia, ale nigdy nie przywieźli ich do stolicy Imperium.

Wtem wstrzymała oddech, bo spostrzegła, że do młodego kapitana zarządzającego całym transportem podszedł człowiek, którego rozpoznalaby na końcu świata. Pułkownik Dubinin, niedawna „gwiazda” warszawskiej Ochrony. Mawiano o nim, że ma węch jak pies myśliwski i wytropi każdego. Nienawidzili go i bali się wszyscy konspiratorzy. Co on tu, u diabła, robi?

Kapitan wyprężył się jak struna. Dubinin na ten widok machnął niedbale ręką, co w języku żandarmerii musiało oznaczać „spocznij”, bo oficer natychmiast przyjął swobodniejszą postawę i zaczął uważnie wsłuchiwać się w słowa pułkownika, który próbował coś mu wytłumaczyć.

Wreszcie skinął na stojącego obok porucznika, a ten wyciągnął z teczki jakiś dokument. Kapitan tylko rzucił na niego okiem i znowu na chwilę się wyprostował. Potem zaś przywołał jednego z żandarmów i wydał mu polecenie.

Żandarm przespacerował się wzdłuż pierwszego rzędu zesańców i stanął mniej więcej w połowie jego długości.

– Zofia Keller! – krzyknął. – Zofia Maksymilianowna Keller, wystąp!

Poczuła, że nie zdoła zrobić ani kroku. Zmartwiała z przerażenia. Stojąca obok Marysia zerknęła na nią współczująco i mocno ucisnęła jej rękę.

– Głucha jesteś?! – Konwojent, który ją znał, bo towarzyszył aresztantkom przez całą drogę z Warszawy, chwycił ją za rękę i mocnym szarpnięciem wyciągnął z kolumny. – Tutaj jest! – krzyknął do żandarma, który natychmiast ją zlustrował od góry do dołu. Chyba chciał zapamiętać wyjątkową przestępczynię.

– Idziemy – mruknął.

Na słomianych nogach podążała za nim, wreszcie stanęła twarzą w twarz z pułkownikiem. Dubinin też dokładnie się jej przyjrzał, a potem uprzejmie zapytał: – Panna Zofia Keller? Z Warszawy?

– Tak, to ja – odparła, zastanawiając się, czy aby nadal nie śpi; żandarm zachowywał się tak, jakby przybył na dworzec, aby ją powitać, a nie wsadzić do aresztu.

– Proszę zabrać swoje rzeczy – polecił, nie spuszczając z niej wzroku. – Pójdzie pani ze mną.

4.

Wybuch był tak potężny, że kamienica zatrzęsła się w posadach, a szyby zadrżały, jakby miały rozprysnąć się na tysiące kawałków.

Nina gwałtownie zerwała się z poduszki i spojrzała na zegarek; właśnie minęła szósta.

– Co to było? Co się stało? – Na sąsiednim łóżku siedziała Pola, tak samo nieprzytomna i przerażona jak ona.

Cóż, przejęte niezwykłymi wydarzeniami rozgrywającymi się poprzedniego dnia w mieście położyły się dopiero o świcie. Bo jak tu spać, kiedy na ulicach pojawiła się wreszcie polska Straż Obywatelska? Kiedy wszyscy powtarzają, że nawet nie dni, ale godziny rosyjskich zaborców są już policzone?

Pogłoski podsycalo zachowanie policji, która bez podania powodu nakazywała przechodniom natychmiastowy powrót do domu. Do tego

późnym popołudniem, jak na komendę, stanęły wszystkie tramwaje, a dozorczy zamykali bramy kamienic już przed dziewiątą wieczorem.

– Coś wysadzili. Może kolejną fabrykę?

Przez ostatnie dwa dni carscy żołnierze, z zadziwiającą jak na nich systematycznością i uwagą, niszczyli to, czego nie zdołano wywieźć. W powietrze wyleciały więc Zakłady Przemysłowe „Bracia Geisler, Okolski, Patschke”, odlewnia Ambrożewicza, fabryka Orthweina i Karasińskiego. W gruzy rozsypały się także wszystkie, co do jednego, budynki należące do zakładów Richtera – przez to, że właściciel uparcie sabotował ewakuację.

– To nie fabryka. – Pola pokręciła przecząco głową. – Wtedy dzwoniły tylko szyby. Teraz to coś większego.

– Błagam, tylko nie kanalizacja – jęknęła Nina.

– Trzeba koniecznie się przekonać. – Młodsza, nie zawracając sobie głowy toaletą, sięgnęła do szafy po ubranie. – Masz! – Wyjęła pierwszą sukienkę z brzegu i rzuciła jej na łóżko, a dla siebie wyszukała ciemną spódnicę i bluzkę.

Guziki dopinały już na korytarzu. Zanim jednak dotarły do przedpokoju, ze swojej sypialni wyjrzała ciotka w dezabilu, też porządnie wystraszona.

– Idziemy sprawdzić, co się dzieje – wyjaśniła jej zaraz Pola.

– Ani mi się waź! – Klara ostrzegawczo uniosła rękę. – Balbina już poszła. Zaraz powinna...

Huknęło po raz drugi. Mocniej niż poprzednio. Przerazona Nina uchwyciła się ramienia siostry. Z sufitu na ich głowy posypał się tynk.

– Trzęsienie ziemi. – Pobladła ze zdenerwowania babcia też wybiegła na korytarz. – Albo koniec świata!

Cisza, która nagle zapadła, wręcz dzwoniła w uszach, więc trzaśnięcie kuchennych drzwi zabrzmiało jak wystrzał.

– Mosty! – wołała od progu Balbina. – Moskale wysadzają mosty na do widzenia. Najsampierw Trzeci, ten w alei. A teraz pewno Kierbedzia.

– Skoro wysadzają mosty, to znaczy.... – zaczęła wolno Klara.

– Wyszli z Warszawy. – Pola nie wytrzymała. – Niech babcia i ciocia się ubierają, musimy iść na ulice i to zobaczyć. Koniecznie!

– Sto lat... – powiedziała w zamyśleniu babcia. – Sto lat tu byli i nareszcie poszli. A ja dożyłam...

O tym, że pójda, mówiło się od tygodni i Nina zdążyła przyzwyczać się do tej myśli.

Kiedy jednak doczekała tego dnia, poczuła się nieswojo. Przecież Rosjanie rządzili tu zawsze.

Nawet babcia nie pamiętała wolnej Polski. Co teraz będzie?

Co zrobią z nimi Niemcy? W zeszłym roku wszyscy umierali ze strachu przed nimi, ale w ciągu minionych miesięcy sytuacja zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni – Warszawa bardziej nienawidziła dotychczasowych władców, niż bała się teutońskich najeźdźców.

Znowu huk. Jeden, a zaraz potem drugi. Potężne.

– Mosty przy Cytadeli... – powiedziała ciotka Klara. – Nie zostawili żadnego.

Nina nie miała wątpliwości, że dzień 5 sierpnia 1915 roku zapamięta na całe życie.

5.

– A państwo nadal tutaj? – zdziwił się kapitan Romanienko, który pojawił się w Turzynie w porze śniadania; przyjechał zapewne po nowe rozkazy do wciąż stacjonującego w dworze generała Susłowa.

Pytanie zostało zadane lekkim tonem, ale nikt z rodziny nie wątpił, że jest śmiertelnie poważne. Sytuacja na froncie pogarszała się z każdym dniem; Niemcy już od ponad tygodnia władali Warszawą i cały czas parli do przodu. Tylko patrzeć, jak dotrą w okolice Łoży.

– Szykujemy się po trochu – odparł spokojnie Klemens Turzyniecki. – Rozumie pan, panie kapitanie, taki wyjazd to nie przelewki. Trzeba pomyśleć, zaplanować...

– Nie ma co zwlekać, bo to źle się skończy – pouczył go Romanienko.

– Mamy żniwa – rzuciła nerwowo pani Matylda.

– Łatwiej będzie nam palić takie zboże w kopkach – rzucił oficer, uśmiechając się krzywo. – Generał u siebie? – Nie czekając na odpowiedź, powędrował do dawnej sypialni rodziców gospodarza, w której obecnie urzędował dowódca.

Rodzina popatrzyła po sobie bez słowa. Julia zdawała sobie sprawę, że świekrowie nie chcą nigdzie jechać, a Andrzej całkowicie podziela ich zdanie, ale nie zamierzali informować o tym Rosjan, którzy taką postawę uważali za zdradę. Opinia Julii nie interesowała nikogo, ale może to i dobrze, bo za mało wiedziała, aby trafnie ocenić sytuację. Do tego nie mogła zdecydować, czy bardziej boi się zdesperowanych i wściekłych carskich wojskowych, czy też nadciągających z zachodu Niemców, o których Rosjanie opowiadali niestworzone i straszne historie.

– Masz te druki, co je rozdawał ostatnio Komitet Obywatelski? – Turzyniecki spojrział wyczekująco na syna.

– Jakie druki? – zapytała jego żona. – Pierwsze słyszę.

– Mówiłem ci przecież! Protokoły gospodarstw i dobytku. Trzeba wypełnić, wypisać wszystko, co zabrali i zniszczyli, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Przecież nikt ojcu nie podpisze kwitów rekwizycyjnych – powiedział Andrzej. – Wszystkie władze z powiatu dawno wyjechały.

– Wyjechały, nie wyjechały... Mieszka u nas generał i on nam podpisze, co trzeba. Porozmawiam z nim.

– Pamiętajcie, że ja nigdzie nie jadę – oświadczyła Turzyniecka, a następnie wstała od stołu i ostentacyjnie opuściła jadalnię.

Mężczyźni nie zwrócili uwagi na tę demonstrację, tylko zaczęli naradzać się półgłosem.

Julia, popijając kawę, która – chyba na złość – stygła bardzo powoli, usłyszała z tej rozmowy wystarczająco dużo, aby uznać, że Andrzej i jego ojciec zaczynają powątpiewać, że uda im się pozostać w domu. I że przy podejmowaniu decyzji nie mają zamiaru oglądać się na desperackie deklaracje pani Matyldy. Ustalili też, że zamiast miejscowych chłopów, który w większości już opuścili wsie, wezmą do żniw bieżenców; ich wielka grupa obozowała w pobliskim lesie, licząc na to, że Kozacy znajdą sobie ważniejsze zajęcia niż dalsze pędzenie ich na wschód.

– I jak zbiorą, niech zabierają zboże. Lepiej tak, niż żeby wszystko miało pójść z dymem – oświadczył pan Klemens.

Dalszy ciąg rozmowy dotyczył zorganizowania wyjazdu licznej służby oraz sposobów uniknięcia strat w inwentarzu; tę ostatnią kwestię obaj gospodarze zamierzali omówić jeszcze z panem Czekerdą.

Julia dopiła wreszcie kawę i wyszła na ganek. Zapowiadał się ciepły, pogodny, ale niespokojny dzień; niosące się od zachodu dudnienie armat było o wiele głośniejsze niż wczoraj i dołączył do niego huk wybuchów. Zniknęła też bezpowrotnie sielska atmosfera, która oczarowała ją pierwszego dnia po przyjeździe. Po folwarku bezustannie kręcili się żołnierze, słychać było ich wrzaski, śmiechy i pijackie śpiewy, a puszczone luzem wierzchowce pasły się na gazonie tuż przed dworem, niszcząc przy okazji wszystkie klomby.

Nagle niebo zasnuła wielka chmura czarno-siwego dymu, którą wiatr przyniósł od strony lasu. Smród spalenizny stawał się coraz bardziej wyczuwalny; wyglądało na to, że Rosjanie podpalili wieś leżącą kilka wiorst dalej. Oprócz domów i obejść płonęło zapewne i zżęte zboże.

Wystraszona Julia cofnęła się do sieni; tam przynajmniej wciąż pachniało suszonymi ziołami.

– Tu jesteś.

Na dźwięk głosu pani Matyldy odwróciła się gwałtownie.

– Bierz Miecz i zaczynamy pakować co cenniejsze rzeczy.

– Wyjeżdżamy? – zapytała, zdziwiona tym, że świekra zmieniła zdanie ledwie w kilka kwadransów.

– Ależ skąd! Trzeba je schować, żeby nie rozkradli. I żeby ogień nie miał do nich dostępu.

6.

Codziennie pytania o termin wyjazdu, które zaczął zadawać im sam generał Susłow, spowodowały, że pan Klemens i Andrzej, ku niezadowoleniu pani Matyldy, w końcu zarządzili wielkie pakowanie. Była ku temu najwyższa pora, gdyż niemiecki pierścień wokół nich zaczynał się zaciskać. Turzynieccy jednak nadal liczyli, że wydarzy się coś, co przyspieszy ucieczkę Rosjan, a rodzinie pozwoli pozostać na miejscu. Nie wiadomo było, jak potraktują ich Niemcy, ale niezależnie od wszystkiego lepsze było siedzenie w domu, na własnej ziemi, niż tułanie się nie wiadomo gdzie z nędzną resztką dobytku.

Tak więc przez trzy dni Julia oraz cała domowa służba pracowała pod kierownictwem pani Matyldy, pakując do skrzyń książki, obrazy, pamiątki i inne cenne rzeczy, które planowano pozostawić w Turzynie zakopane w ogrodzie. Obaj gospodarze nadzorowali zaś szykowanie obroku dla koni pociągowych i paszy dla bydła.

Ostentacyjne przygotowania miały uspić czujność wojskowych; po kryjomu rodzina sposobila sobie schronienie w piwnicy, które pozwoliłoby przeczekać najniebezpieczniejsze chwile.

Niestety, ich plany spaliły na panewce. Po pierwsze, odwrót carskich wojsk wciąż nie przypominał panicznej ucieczki, a po drugie – pewnego ranka przy śniadaniu generał Susłow oświadczył bez ogródek: – Jeśli państwo nie wyjedziecie stąd do jutra, będę zmuszony rozkazać żołnierzom, żeby wywieźli was siłą, a dwór spalili do samych fundamentów.

Pani Matylda otworzyła usta, aby zaprotestować, ale mąż spojrzał na nią w taki sposób, że natychmiast zrezygnowała z tego pomysłu. Julia natomiast pożałowała, że pospieszyła się ze ślubem i zgodziła na opuszczenie Warszawy.

– Liczę, że wasza wielmożność podpisze nam kwity – odezwał się Turzyniecki uprzejmym, acz stanowczym tonem. – Przede wszystkim za zniszczone tartaki.

– Podpiszę. – Generał kiwnął głową. – Ale musi pan dostać jeszcze potwierdzenie w sztabie dywizji. I proszę pamiętać, że odszkodowanie otrzymacie tylko wtedy, gdy będziecie przebywać pod rosyjską władzą.

7.

– Nigdzie się nie wybieram – oświadczyła po raz tysięczny pani Matylda, kiedy rodzina pozostała wyłącznie we własnym gronie. – Nikt mnie stąd nie ruszy. Nawet żołdaci Susłowa.

– A słyszałaś, co zrobili u Olszewskich?! – rzucił Klemens. – Oni też chcieli zostać. Nawet wykopali sobie kryjówkę w ziemi. I co? Kozacy wrzucili ich siłą na jeden chłopski wóz i kazali jechać. Olszewska ledwo wybłagała, żeby pozwolili im zabrać dwa kufry z najpotrzebniejszymi rzeczami. Tak chcesz jechać?

Świekra wybuchnęła płaczem, a Julia przytuliła się do ramienia męża; z natury nie była lękliwa, ale teraz bała się okropnie.

– Damy sobie radę. – Andrzej cmoknął ją w czoło. – We wszystkim słuchaj mojego ojca.

Pan Klemens miał, co prawda, swoje wady, na które nieustannie narzekała jego małżonka, i bywał lekkomyślny, ale znał się na gospodarstwie. Nie brakowało mu też zmysłu organizacyjnego i drygu do zarządzania ludźmi. Szybko podzielił więc zadania między służbę i rodzinę, a później wraz z synem i rządcą udał się na folwark, aby wydać

ostatnie dyspozycje służbie, która w kilkanaście wozów wyruszyła przodem.

Gospodyni, posępna niczym chmura gradowa, pilnowała pakowania bielizny i ubrań wszystkich domowników, futer, pościeli, a także sreber stołowych, które uparła się ze sobą zabrać; wszystkie te rzeczy ostatecznie zmieściły się w piętnastu skrzyniach. Później zaś, wraz z ochmistrzynią, kucharką i podkuchennymi zajęła się prowiantem; większość produktów została, na szczęście, przygotowana już wcześniej.

Julia, na polecenie świekra, także miała w tym pomagać, ale pani Matylda, która uważała, że synowa ma fiubździu w głowie, nakazała jej nie plątać się pod nogami. Młoda pani Turzyniecka sama więc znalazła sobie zajęcie; obeszła kolejno wszystkie pomieszczenia niezajęte przez sztab generała, wypatrując rzeczy, które mogłyby przydać się w podróży. W ten oto sposób w jednej z łazienek znalazła szufladę pełną medykamentów, o których zapomniano w wirze przygotowań. Kazała też zabezpieczyć i zapakować maszynę do szycia, którą niedawno odkryła w jednym z pokoi na piętrze. Dotąd z niej nie korzystała, ale uznała, że w drodze albo, co bardziej prawdopodobne, w nowym miejscu zamieszkania może jej się bardzo przydać.

Na koniec odwiedziła swoją garderobę, aby sprawdzić, czy sama nie zaniedbała czegoś ważnego, a tam natknęła się na siedzącą w kącie zapłakaną Micię.

– Ktoś cię skrzywdził? – zapytała, zaniepokojona pożałowania godnym stanem pokojówki.

Dziewczyna na jej widok zerwała się na równe nogi i niezdarnie wytarła oczy.

– Ja, proszę pani... – wyjąkała. – Nic się nie stało.

– Przecież widzę – rzuciła Julia. – Nie chcesz wyjeżdżać?

– Ależ chcę! Tylko starsza pani powiedziała... że mam zostać, bo na wozie miejsca braknie. A ja tu nie znam nikogo.

Julia użyła w myślach słów, o których znajomość nie posądzałyby jej ciotka Klara. Pani Matylda opowiadała bzdury, ponieważ dawno zostało ustalone, że jedzie z nimi cała domowa służba. Najwyraźniej chciała dokuczyć nielubianej synowej. Nie wiedziała jednak, że ta zatrzymała pokojówkę tylko dlatego, że nie wypadało odmówić. W ciągu minionych kilku tygodni Julia polubiła Mieczę, która choć milkliwa i nieśmiała, była bystra i chętna do pracy. Czuła się też za nią odpowiedzialna.

– Oczywiście, że pojedziesz ze mną – oświadczyła. – Zbierz swoje rzeczy, to zaraz pójdziemy je zapakować.

– Dziękuję jaśnie pani. – Dziewczyna chciała pocałować ją w rękę, ale Julia nie pozwoliła jej na to. – Mam już wszystko gotowe. – Wskazała na sporej wielkości tobołek.

– To chodź.

Ruszyła pierwsza, a dziewczyna pospiesznie podreptała za nią. A kiedy znalazły się na zewnątrz, Julia przy jednym z wypełnionych po brzegi wozów dostrzegła świekę. Bardzo dobrze. Opędzając się od psów, podeszła jeszcze bliżej i głośno powiedziała: – Mieczu, tutaj się zapakuj! Będziesz jechała ze mną powozem!

– Co się dzieje? – Pani Matylda oczywiście połknęła haczyk. – Powiedziałam raz i nie będę powtarzać, że ta dziewczyna zostaje.

Julia kątem oka dostrzegła, że młoda służąca kuli się ze strachu, i nagle ogarnęła ją złość.

Przez ponad miesiąc, ze względu na Andrzeja i zasady wyniesione z domu, pokornie znosiła przytyki, dziwaczne aluzje i złośliwości. Tyle że jej cierpliwość właśnie się wyczerpała.

– Ta dziewczyna to moja pokojówka i jest pod moją opieką – rzuciła dobitnie, patrząc matce męża prosto w twarz. – Jeśli ona nie jedzie, to ja także!

Wokół nich zrobiło się nagle cicho, jak makiem zasiał. Zaciekawiona służba ukradkiem obserwowwała zdumiewającą scenę; otóż ktoś ośmielił się

przeciwstawić pani Turzynieckiej, która przez całe lata żelazną ręką zarządzała domem i pracującymi w nim ludźmi.

Świekra zbladła i przygryzła wargę. Julia nie miała cienia wątpliwości, że gdyby decyzja należała do niej, to także krnąbrna synowa zostałaaby tu po wsze czasy, do tego zamknięta w piwnicy na cztery spusty.

– Nie będzie sama – powiedziała wreszcie pani Matylda. – Kamerdyner i ogrodnik zostają, żeby pilnować dworu.

Kamerdyner Gustaw miał sześćdziesiąt pięć lat i był chory, więc podróż mogłaby mu tylko zaszkodzić, a ogrodnik Maciej był jeszcze starszy. Obaj nie nadawali się już do poboru, więc Rosjanie nie powinni nalegać na ich wyjazd. Problemu pokojówki nie rozwiązywało to jednak w żaden sposób.

– Miecia ma piętnaście lat i jest sierotą – przypomniała Julia, nadal nie spuszczać oczu z twarzy świekry. – Nie wiem jak pani, ale ja nie zasnąłabym spokojnie, wiedząc, że może ją tu spotkać krzywda. Poza tym jest mi niezbędna.

– Co to za kłótnia? – zapytał pan Klemens.

Obaj z Andrzejem wrócili właśnie z folwarku, ale one, skupione na udowadnianiu swoich racji, wcale tego nie zauważyły.

– Policzyłam wszystko – odezwała się Matylda tonem skrzywdzonej niewinności – i próbuję wytłumaczyć twojej żonie – tu spojrzała wymownie na syna – że nie możemy zabrać całej służby. A Mieczysława jest u nas najkrócej.

– Myślę, że mama wie, co robi... – zaczął Andrzej, podchodząc do Julii, która z każdą chwilą coraz bardziej wściekła, szykowała się do kolejnego ataku. Miała ochotę rozszarpać męża na strzępy za jego ciągłą uległość względem matki.

Na szczęście pan Klemens postanowił, że sam rozsądzi sprawę.

– Ależ moja droga. – Popatrzył na żonę tak, jakby nie rozumiał, o co ta cała awantura. – Zabieramy przecież całą służbę. A to dziecko jest lekkie jak piórko. Konie nie poczują, że siedzi na wozie. Jeśli chcesz im naprawdę

ulżyć, to zostaw Władysławę – dodał żartobliwym tonem, spoglądając na pękatą kucharkę, która momentalnie poczerwieniała na twarzy.

– Ale jak to?! Jechać w świat bez kucharki?

– W razie potrzeby wiem, jak ugotować zupę – wtrąciła natychmiast Julia tonem niewiniątka, myśląc z wdzięcznością o Balbinie, która miała w zwyczaju wygłaszać monologi nad garnkami. – Ale bez pokojówki nie obędę się nawet przez pół dnia.

– Skończcie ten temat, moje drogie. – Turzyniecki machnął ręką. – Są ważniejsze sprawy.

– Wszystko zapakowane? – Na ganku pojawił się generał Susłow w towarzystwie jednego ze swoich licznych adiutantów.

– Prawie. – Gospodarz pospieszył z odpowiedzią, ponieważ jego żona udawała, że nie dostrzega żadnego z oficerów; była wściekła na Susłowa o wiele bardziej niż na synową. – Jutro z rana ruszamy.

– Ktoś zostaje?

– Gustaw i Maciej... To znaczy kamerdyner i ogrodnik.

– Bardzo dobrze – odparł generał. – Obiecuję, że nie puszczę wam dworu z dymem. Ale za innych ręczyć nie mogę.

Do wieczora uporali się z pakowaniem. Czekala ich ostatnia noc w domu.

Po kolacji Julia poszła do pokoju, bo wspaniałomyślnie postanowiła nie drażnić pani Matyldy więcej, niż to konieczne. Nie miała też ochoty na wysłuchiwanie kazań obrażonego męża, który wyraźnie miał jej za złe, że ośmieliła się sprzeciwić jego matce.

Sprawdziła odzież przygotowaną na jutro, wzięła ciepłą kąpiel, a potem położyła się do łóżka. Była tak zmęczona, że zdążyła usnąć, zanim Andrzej skończył pracę i przyszedł do sypialni.

Wyruszyli zaraz po wschodzie słońca. W powozie jechały obie panie Turzynieckie wraz ze swoimi pokojówkami i ochmistrzynią – ich mężowie wybrali bryczkę, gdyż po drodze zamierzali poszukać sztabu dywizji. Na wozach poroządzano domową służbę, a rządca Czekierda wraz z

kilkunastoma parobkami zajął się transportem bydła; niestety psy, a w tym i Flaszka, musiały zostać w Turzynie.

Pani Matylda, patrząc przez okno na znikający w oddali dwór, w którym przeżyła ponad trzydzieści lat, płakała rzewnymi łzami. Julia mieszkała w Turzynie bardzo krótko, ale nie dziwiła jej bezsilna złość i rozpacz świekry – zbyt dobrze pamiętała emocje, które towarzyszyły jej, gdy na zawsze żegnała rodzinną willę. To miejsce opuszczała jednak bez żalu. Zdążyła już uświadomić sobie, że jej jedynym i prawdziwym domem jest Warszawa. Tylko nie wiedzieć czemu, dręczyło ją przeczucie, że już nigdy nie zobaczy ani swojego miasta, ani pozostawionej tam rodziny.

8.

Zapiski Poli

Niemcy rządzą w Warszawie dopiero dwa tygodnie, ale na opisanie wszystkich zmian, które zaszły w tym czasie, nie wystarczyłoby mi chyba miejsca w kajecie. Wspomnę więc tylko o tym, że z murów poznikały tabliczki z pisanymi cyrylicą nazwami ulic, a znad sklepów rosyjskie szyldy. Szczere mówiąc, wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić.

Najważniejsze jest jednak to, że już 5 sierpnia, na rozkaz Komendanta, nasze warszawskie POW zaczęło jawną i legalną mobilizację! Członkowie organizacji udadzą się na front, aby wesprzeć w walce Legiony. Pomyślałam od razu, że gdyby Zosia tu była, natychmiast zgłosiłaby się do służby, nie zważając na to, że do oddziału przyjmują tylko mężczyzn. Kobiety, jak zwykle, zajmują się zaopatrzeniem.

Ale Zosię wywieźli i nie dostałyśmy dotąd żadnej wiadomości ani od niej, ani od pana Witolda. Nawet pan Richter nie wie, co się z nimi dzieje. Nie mamy też wieści od Julii, więc ciotka snuje najczarniejsze przypuszczenia, bo raczej pewne jest, że musiała wyjechać z Turzyny do Rosji.

W takich warunkach nie mam odwagi nawet wspomnieć, że chciałabym dalej działać w organizacji. Ktoś bowiem musi zająć się Ninką, która nadal źle się czuje, oraz babcią, w czasie gdy ciocia Klara urabia się po łokcie w sekcji bezdomnych. Ostatnio powiedziała nam jednak, że zrezygnuje z tego zajęcia i poszuka sobie czegoś, co pozwoli jej zarabiać pieniądze; coś czujemy, że niemieckie rządy mocno odbiją się na naszych portfelach.

15 sierpnia do Warszawy zjechał sam Komendant! Żałuję, że nie mogłam zobaczyć go na własne oczy... Komendant zgodził się, aby ze zmobilizowanych peowiaków stworzyć osobny Batalion Warszawski.

W ogóle przez pierwsze dni oddział miał siedzibę w Pałacu Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu, a potem przeniesiono go na róg Wielkiej i Żurawiej, do budynku, gdzie do niedawna urzędował sam szef żandarmerii na cały Kraj Nadwiślański. Tak sobie myślę, że to chichot losu. Michał też tak zresztą uważa.

Byłabym zapomniata – Michał zgłosił się do oddziału jako jeden z pierwszych. Już jutro wyrusza na front. A dziś wpadł do mnie na chwilę – w pierwszej chwili nie poznałam go w mundurze – żeby się pożegnać. I poprosił mnie, żebym na niego czekała.

Speszyłam się okropnie, bo nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Naprawdę jest mi drogi, ale uczucie, które do niego żywię, w niczym nie przypomina miłości. Mogłabym bez problemu nazwać go przyjacielem, ale nie ukochanym. I to wcale nie przez Witolda, bo wiem, że jego nie zdobędę nigdy.

Chciałam to jednak rozegrać dyplomatycznie, bo chyba nie ma gorszej rzeczy niż pozbawianie nadziei człowieka, który wybiera się na wojnę. Powiedziałam mu więc, że porozmawiamy poważnie dopiero wtedy, gdy cały i zdrowy wróci do domu.

Julia obudziła się z potwornym bólem głowy. Na samą myśl, że za chwilę będzie musiała wstać i szykować się do dalszej drogi, zachciało się jej płakać. Kiedy jednak otworzyła oczy, przypomniała sobie, że od dwóch dni wraz z świekrami jest w Grodnie, w eleganckim Hotelu Europejskim, i nie musi nigdzie się zbierać, dopóki nie przyjedzie Andrzej. Nie musi nawet wstawać, bo na zegarku jest dopiero szósta.

Nieco uspokojona opadła na poduszkę i przykryła się kołdrą po sam czubek głowy. Czuła się słabo i mimo że za oknem świeciło słońce, było jej zimno. W sumie nie powinna się chyba dziwić; miała za sobą kilka dni podróży, która nie była ani łatwa, ani tym bardziej przyjemna.

Rozdzielili się kilka wiorst za Turzyną. Pan Klemens i Andrzej udali się na poszukiwanie sztabu dywizji, a pani Matyllda i ona, pod opieką stangreta i służby, jechały w kierunku Białegostoku. Po drodze mijaly wyludnione i w ogromnej części spalone wsie. Zboże od dawna stojące na polach w snopkach – najwyraźniej podpalano je, kiedy było świeżo zżęte i nie chciało się zająć. Mogiły na poboczach. I przede wszystkim bieżęćców – zabiedzonych i pozbawionych nadziei – którzy z resztką dobytku parli przed siebie, gnani strachem przed kozacką nahajką i nadchodzącymi Niemcami, o których wojskowi oraz prawosławni księża opowiadali im niestworzone historie. Widywały też prowizoryczne obozowiska – im bliżej Białegostoku, tym było ich więcej – pełne głędných ludzi.

Julii, która niezmiennie miała przed oczami sceny rozgrywające się przed rokiem w Dolinie Sz wajcarskiej, było ich żal – a szczególnie dzieci – więc w trakcie postojów rozdawała im niekiedy trochę jedzenia. Starala się, aby nie zauważyła tego świekra, wierna zasadzie, że przede wszystkim należy dbać o siebie.

Po drodze zatrzymywały się na odpoczynek lub nocleg w majątkach ziemskich, których właścicielei nikt jeszcze nie zmusił do ucieczki. Co ciekawe, wszyscy okazywali się znajomymi Turzynieckich. Trzeciego dnia podróży dogonił je pan Klemens. Na szczęście obaj z Andrzejem zdołali odnaleźć sztab i uzyskać potwierdzenie wszystkich rekwizycji i zniszczeń dokonanych w majątku przez wojsko. Istniała więc nadzieja, że rodzina

dostanie odszkodowanie od państwa i nie pójdzie z torbami. Andrzej na jakiś czas dołączył do Czekerdy, który ponoć znalazł dobrego kupca na całe stado bydła; po zakończeniu transakcji obaj mieli ich odnaleźć.

Nie chcąc im tego utrudniać, państwo Turzynieccy zrezygnowali z planowanej wcześniej podróży koleją do Wilna – zresztą w Białymstoku dowiedzieli się, że zapakowanie do wagonu całej rodziny, służby i bagażu graniczy z cudem – i postanowili jechać powozem do Grodna.

Okazało się też, że część folwarcznej służby albo się zgubiła, albo wybrała samodzielność, za to wszyscy domowi pracownicy trzymali się dziedzica.

Dalsza droga wyglądała podobnie jak ta, którą już zdołali pokonać. Ze wszystkich stron dolatywał ich smród spalenizny, a to, co Julia brała za poranną mgłę, okazywało się unoszonym przez wiatr dymem. Widok ognistych łun był czymś tak zwyczajnym, że w końcu przestali zwracać na nie uwagę.

Lawirowali też nieustannie wśród wojsk wycofujących się w głąb Rosji. Większość oddziałów wciąż sprawiała wrażenie gotowych do walki, ale ich sytuację utrudniały braki w amunicji i pociskach. Niemcy mieli za to wszystkiego pod dostatkiem. Nic więc dziwnego, że wygrywali.

Grodno osłonięte fortami solidnej twierdzy wydawało się bezpiecznym miejscem. Przynajmniej na razie. Mimo to Turzynieccy zamierzali opuścić je jak najszybciej; pan Klemens stawał na głowie, aby zdobyć dla wszystkich miejsce w pociągu do Wilna albo nawet do Dziwińska czy samego Piotrogradu.

– Zamierzasz w ogóle wstać? Już dziewiąta.

Julia rozwarła powieki i z trudem skupiła wzrok na świekrze. Migrena nie ustąpiła, a nawet chyba się wzmogła. Do tego okropnie bolał ją brzuch i czuła mdłości, mimo że od wczorajszego popołudnia nie wzięła do ust ani kęsa; zupełnie nie miała apetytu.

– Pani wygląda na chorą – powiedziała cicho Miecia, która właśnie wsunęła się do pokoju.

– Akurat na chorą! – prychnęła pani Matylda. – Jest leniwa. A przecież trzeba pakować rzeczy. Andrzej właśnie wrócił, a Klemens wyszarpał dla nas miejsca w wieczornym pociągu.

Musimy jechać. Niemcy są coraz bliżej... Julio, wstawaj! Nikt nie będzie cię wyręczał. Brakowało jej sił, aby się odezwać, a zresztą co miałyby powiedzieć, skoro nie była w stanie nawet zebrać myśli. Znowu zamknęła oczy. Niech się dzieje, co chce.

Chyba zaczynała mieć zwidy, ponieważ wydawało się jej, że oto właśnie wróciła do domu, do Warszawy. I że jest wolna i swobodna. Zaraz zobaczy siostry. I ciotkę Klarę. A przede wszystkim babcię... Tak straszliwie za nią tęskniła. I za...

– Mówię mamie, że ma wysoką gorączkę. – Głos męża dobiegał jakby z oddali. A więc naprawdę przyjechał. – Jest cała rozpalona i prawie nieprzytomna. Trzeba natychmiast posłać po doktora.

– Doprawdy nie miała kiedy się rozchorować – jęknęła świekra. – Zawsze...

Co zawsze? Julia nie usłyszała końcówki zdania. Chyba znowu zasnęła. A może tylko zemdlała.

Dotarły do niej dopiero słowa wypowiedziane stanowczym tonem przez jakiegoś nieznanego mężczyznę, zapewne lekarza.

– To tyfus. Nie ma najmniejszych wątpliwości. Wygląda na ciężki przypadek.

Nieco oprzytomniała, więc zdołała na niego spojrzeć. Starszy, siwy, w okularach. Mówił ze wschodnim akcentem. Jak Stanisław. I jak Józef... Tak, jemu też się to zdarzało, kiedy był czymś przejęty albo zdenerwowany. Pochodził przecież z tych stron.

– Powtarzałam jej, żeby nie karmiła chłopskich bachorów – powiedziała pani Matylda. – Pewnie złapała od kogoś i teraz...

– Co robić? – Andrzej, wyraźnie zdezorientowany, wpadł matce w słowo. – Trzeba ją ratować.

– Nie może zostać w hotelu, bo pozaraża gości – odparł doktor. – Natychmiast trzeba do szpitala. Przydałby się jakiś powóz.

– Mamy powóz.

– W takim razie proszę przygotować żonę. Pojadę z państwem.

Z kolejnych godzin – a może tylko minut – zapamiętała tylko czyjś ostrożny dotyk, chyba Mieci. I jej płacz. Uspokajający szept męża. Podniesiony głos świekry. I jeszcze oślepiający blask słonecznych promieni. Powiew ciepłego wiatru.

Bujanie, nieustanne bujanie. Myślała, że przez nie umrze albo oszaleje.

Duży piętrowy budynek, który okazał się miejskim szpitalem. Niewygodnie metalowe łóżko. Pochylające się nad nią obce twarze. Czyjeś krzyki. Jęki i płacz.

Intensywna woń lizolu i medykamentów.

Ból przewiercający brzuch na wylot. Niekończące się fale mdłości. Dreszcze. Zimno i dzwoniące o siebie zęby.

– Same z nią kłopoty – odezwała się przenikliwym szeptem pani Matylda. Musiała być gdzieś blisko, skoro Julia bez problemu słyszała każde słowo. – Same z nią kłopoty od początku.

– Nie mogę przecież zostawić jej tu samej – rzucił nerwowo Andrzej.

– Słyszałeś, co mówili lekarze? To bardzo ciężki przypadek. Na pewno umrze, nie masz co się łudzić.

Jezu Chryste, umierała... A jej mąż przyjmował to tak spokojnie? Bez cienia rozpacz?

Czyżby nie kochał jej tak samo, jak ona kochała jego?

– Nawet jeśli popełniłem błąd, jest moją żoną.

– Myśl o sobie, synu. I o nas. Co będzie, jeśli cię zarazi? Jesteś naszym jedynym dzieckiem.

– Ale skoro to beznadziejny przypadek... Powinienem zostać, aż...

– Pociąg odchodzi za trzy godziny i nie będzie czekał. Drugiego może już nie być.

Utkniemy tu na dobre, a jak wejdą Niemcy, zostaniemy nędzarzami. Nikt nam nie wypłaci nawet kopiejki odszkodowania. Wszystko przepadnie.

– Wiem to, proszę mamy, ale...

– Jest nieprzytomna z gorączki. I tak nie wie, czy ktoś przy niej siedzi. Zostawimy lekarzowi pieniądze na pogrzeb... Albo pielęgniarce. Zajmą się wszystkim. Zresztą Miećka chce z nią zostać. Miała kiedyś tyfus. A my przyjedziemy tu po wszystkim, sprawdzić...

– Ależ proszę mamy... – Mąż ściszył głos, więc nie zdołała zrozumieć nic więcej.

– Ojcu powiemy, że umarła. – Za to świekra nadal mówiła bardzo wyraźnie. – Może przecież już nie żyć, jak będziemy wsiadać do wagonu.

„Co się dzieje? – Julia była przerażona jak nigdy w życiu. – O czym oni mówią? A może to tylko sen?”

Znowu zrobiło się ciemno.

Ocknęła się, kiedy poczuła na czole chłód mokrego okładu. Wraz ze świadomością powrócił strach. Bała się zostać sama, chora i bezradna, w obcym mieście i wśród obcych ludzi.

Chciała do domu. Do rodziny. Do najbliższego człowieka.

– Józef... – wyszeptała spieczonymi wargami, otwierając oczy. – Ratuuj.
Ale Józefa nie było.